



KATHY PAGE

HISTORIA
MOJĄ TWARZĄ

WYDAWNICTWO LITERACKIE



Wydawnictwo
Literackie

KATHY PAGE

Historia mojej twarzy

Tytuł oryginału The Story of My Face

Copyright Kathy Page 2002

(tłum Ewa Elżbieta Nowakowska)

2003

Nie będziesz czynił żadnej rzeźby ani żadnego obrazu tego, co jest na niebie wysoko, ani tego, co jest na ziemi nisko, ani tego, co jest w wodach pod ziemią!

(Księga Wyjścia 20, 4)

Unoszę wzrok znad mapy i widzę kobietę w watowanym płaszczu, która stoi jakieś dwa metry od mojego samochodu i gapi się na mnie. Siatki z zakupami postawiła na ziemi, ale ramiona nadal opadają wzdłuż ciała, jakby dźwigała coś ciężkiego. Gapi się wciąż. Nie lubię tego, lecz nie da się ukryć, że jestem tu całkiem obca, w tej miejscowości o nazwie nie do wymówienia, Elojoki, gdzie diabeł mówi dobranoc, mniej więcej dwieście kilometrów na południe od koła polarnego, przypominającej plamkę rzuconą na środek płaskiego lodowatego pustkowia. Cztery sklepy, jedna droga, skupisko niewysokich domków, wichry, lód i ciągnące się kilometrami lasy iglaste. Byłoby dziwne, gdyby na mnie nie patrzono. Poza tym przez ostatnie dwadzieścia pięć lat nauczyłam się, jak sobie radzić z natarczywymi spojrzeniami. Umiem bez trudu uchwycić czyjś nieustępliwy wzrok i obrócić go w uśmiech lub początek rozmowy. Potrafię również tak popatrzeć, że może zaboлеć.

Ale ta kobieta gapi się bez przerwy, nawet kiedy zobaczyła, że patrzę wprost na nią - i wtedy staje się jasne, że nie jest to zwyczajne wlepianie oczu z ciekawości. Wydaje się, że próbuje mi coś zrobić, spowodować coś samym tylko spojrzeniem. Mogłabym po prostu pojechać dalej, lecz coś mi mówi, żeby skończyć z tym jej gapieniem się, zanim odjadę. Opuszczam więc szybę, uśmiecham się, wskazując przed siebie, i pytam, choć i tak już wiem:

- Czy do kościoła to tędy?

Mój głos brzmi rześko i zwyczajnie, mówię powoli, lecz prawidłowo wypowiadam obce dla mnie głoski; oddech wzbiera falą i opada w powietrzu, które nas dzieli. Kobieta ani nie odpowiada, ani się nie porusza. Daję sobie

spokój z fińskim, próbuję zagadnąć ją po szwedzku. W końcu wzruszam ramionami, rozkładam ręce, po czym ruszam w ostatni kilkusetmetrowy etap mej podróży. Kobieta - widzę w lusterku - obraca się i nadal mnie obserwuje.

W Elojoki wydarzyła się pewna historia. Jestem tu z tego powodu, więc będę musiała wziąć to pod uwagę. Teraz jednak czuję się zbyt zmęczona, by się nad tym zastanawiać. Opóźniony lot, jazda samochodem - ostatnia godzina okazała się najgorsza: kilometr za kilometrem po wąskiej, oblodzonej drodze, ciągnącej się dokładnie wzdłuż zamarzniętej rzeki - po obu stronach rosną drzewa o tak ciemnym odcieniu zieleni, że równie dobrze można by je uznać za czarne. A teraz ta gapiąca się kobieta. Właśnie w tej chwili cała moja wyprawa, do której zmierzałam przez długie lata życia, wydaje się śmieszna - czterdziestoczteroletnia kobieta, niezamężna, nawet nie pozostająca w żadnym związku, poszukuje jakiegoś od dawna nieżyjącego mężczyzny. W Elojoki.

Ale już tu jestem. Tuż po drugiej stronie mostu znajduje się kościół, który postawiono na pokrytym otoczakami, wznoszącym się o parę stóp wyżej miejscu. Ma przysadzistą sylwetę; zbudowano go z drewna, a ściany oszalowane ściśle zachodzącymi na siebie deszczułkami pomalowano na szaroniebieskawy kolor. Dach pokrywa gont, widać też niewysoką wieżyczkę. Widok kościoła - jego obcy cudzoziemski styl, sam fakt, że w ogóle przetrwał! do dziś - poprawia mi nieco nastrój. Za nim stoi dzwonnica i rozciąga się cmentarz. Po prawej stronie, w gąszczu bezlistnych brzoź kryje się pappila, długi dom z poddaszem - miejsce pracy pastora. Obecnie jest pusty. Gdzieś dalej, jak sądzę, musi stać mniejszy dom dla gości, w którym Tuomas Envall mieszkał zaraz po przybyciu tutaj, i gdzie dzięki czystemu przypadkowi również i ja się zatrzymam, gdyż zdecydował o tym termin mojego podania. Wszystko, czego w zamian oczekuje się ode mnie, sprowadza się do publicznego wygłoszenia wykładu na temat moich odkryć; mam to uczynić przed wyjazdem.

Heikki Seppa, wysoki, lekko przygarbiony mężczyzna, wyłania się z

wnętrza zaparkowanego przed pappila jeepa. Stanowisko, które piastuje, nosi oficjalnie nazwę Inspektora Okręgowego przy Departamencie Ochrony Zabytków i Dziedzictwa Narodowego, lecz ponieważ poznaliśmy się już w tamtym roku, kiedy dopiero ustalano mój przyjazd, nie ma, na szczęście, potrzeby wzajemnego przedstawiania się. Prędko uścisk dłoni, po czym Heikki zabiera od razu plecak i pudło z książkami i idzie przodem, ostrzegając mnie przed śliskimi fragmentami ścieżki.

Domek składa się z zaledwie jednego pomieszczenia o wyłożonych drewnem ścianach, drewniana jest też podłoga. Znajduje się tu staroświecki piec, opalany drewnem. Potrójnie szklone okna wychodzą na trzy strony świata. Pośrodku ustawiono duży stół. Poza tym zauważam przykrótkie na pierwszy rzut oka drewniane łóżko, dywanik, szafki i kredens, wszystko zabytkowe. Część kuchenna i zlew są pod wschodnim oknem; wniesiono tu lodówkę, której górnej części można używać jako blatu, kuchenkę mikrofalową i pojemny ekspres do kawy z białego plastiku i szkła. Instalacje: wodno-kanalizacyjną, elektryczną, nowe okna i ogrzewanie, a także dobudówkę z tyłu, służącą jako łazienka, wyjaśnia Heikki, dodano całkiem niedawno. Przepaść dzieląca enwallistów i oficjalny Kościół pogłębiła się, przez co nie napływały nowe fundusze na unowocześnienie pappili, więc pastor wprowadził się tu na krótko przed swą ostateczną wyprowadzką. Za rok, kiedy rozpoczną się prace renowacyjne, usunie się wszelkie ślady modernizacji, a dach z falistej blachy zostanie zastąpiony autentycznym gontem.

- Jest więc pani na czas! - stwierdza.

Bardzo ważne jest, żebym nie próbowała używać pieca i nie paliła w domu ani też nie pozwalała na to innym - mówi po angielsku, powoli, niemal bezbłędnie, formułując zdania najpierw w myślach. Kiedy mówi, otwiera i zamyka drzwiczki szafek, lodówki, kuchenki mikrofalowej, zerkając do ich środka, znowu je zamyka, wyraźnie zadowolony, że są puste. Chłonie mnie, rzucając ukradkowe spojrzenia, które z łatwością wytrzymuję.

Mówię, że nie palę i z pewnością nikomu na to nie pozwolę. On wyraża nadzieję, że będzie mi wystarczająco ciepło i nie będzie mi doskwierać zbytnio samotność w tym cichym, odludnym miejscu.

- Domek jest świetny - rzucam. - Jestem taka wdzięczna, że mogę tu przebywać, czytać kroniki i źródła, rozmawiać z ludźmi ze wsi o historii, wysłuchiwać wspomnień, które przekazały im poprzednie pokolenia i badać ich wierzenia, a nawet jeśli wiąże się z tym odrobina nie wygody, wcale mi to nie przeszkadza. W obecnym stanie rzeczy nie śmiałybym nawet prosić o nic więcej...

- To dobrze - mówi, przeciągając dłońią po siwiejących jasnych włosach, krótko ostrzyżonych i przerzedzonych. - zostawiam tu panią ze wszystkim - i kieruje się do drzwi, przypominając sobie w ostatniej chwili, że trzeba dać mi klucz. Kiedy znowu podajemy sobie dłonie - tym razem bez rękawiczek - dostrzegam, że jego są ogromne, lewej zaś brakuje małego palca, czego wcześniej nie widziałam. Maleńki szczegół, który nas łączy, fizyczne podobieństwo. Może to dobry znak.

Dużo później, kiedy już wzięłam prysznic, parzę kawę, przebrana w szlafrok i domowe pantofle, siedzę przy świerkowym stole (z czasów Tuomasa Envalla, choć zdaniem Heikkiego Seppy, nie jest to oryginał) i gapię się przez wychodzące na północ okno. Wieczór wydaje się jakby błękitniejszy niż w domu.

Snuję leniwe i chaotyczne rozważania o latach pracy, które poprzedziły mój przyjazd tutaj. Najpierw nauka języków, pobierana co wieczór w laboratorium językowym, gdy moje postępy przypominały wysiłki kogoś, kto wspina się po nagiej skale, posuwając się centymetr po centymetrze dzięki rakom i linom. Potem badania, kontakty, podania o przyznanie mi grantu, roczny urlop, laptop, mapy. Mam przed oczami skrótowy, wyraźny obraz mojego gabinetu na uczelni, tak jak wyglądał przed moim spakowaniem się - książki na półkach, kasztanowe krzesła z pianką wyłożoną ze szwów tapicerki,

słońce wpadające do wnętrza przez uszkodzone żaluzje - a potem myślę o moich studentach, tych najbardziej i najmniej lubianych. W końcu minęły zaledwie trzy dni, odkąd uprzątnęłam swoje papiery i książki. W tamto popołudnie urządziłam pożegnalną imprezę dla koleżanek i kolegów wraz z osobami towarzyszącymi, w czasie której dziekan wygłosił przemówienie pełne przesadnych pochlebstw. Rozkwitały żonkile, trawa przybrała odcień soczystej zieleni.

Teraz jestem w zupełnie innym miejscu i wcale nie tęsknię za układaniem we właściwej kolejności slajdów ani za nudnym rozwodzeniem się nad „Religią a Społeczeństwem”, „Pojęciem Boga”, „Paradoksami Wiary”, i tak dalej. Wyłączam lampkę przy biurku, zapalam inną przy łóżku i zasuwam trzy pary zasłon z grubego materiału na pledy. Łóżko pasuje, w sam raz na mój wzrost i jest przyjemnie miękkie. Na początek wyciągam się na nim, uświadamiając sobie, że obiecałam zadzwonić do matki, i że powinnam wyszczotkować zęby przed zaśnięciem. Szafir między drzewami przechodzi w czerń i wokół mnie śpiewnie dźwięczy cisza. Jakies pół godziny później tkwię w tej samej pozycji, wpatrując się w sufit i trwając w błogostanie chwilowego bezruchu, kiedy dobiega mnie pukanie do drzwi - zrazu niepewne, ale wystarczająco głośne, bym niemal wyskoczyła ze skóry. Chwilę potem robi się głośniejsze i natarczywsze. Uzmysławiam sobie raptem, że oto stoję już przy drzwiach (nie mają łańcucha), a serce mi łomocze, kiedy obserwuję drgające framugi. Jestem sparaliżowana, kompletnie nie potrafię znaleźć odpowiednich słów w żadnym języku.

- Kto tam? - jakoś się w końcu odzywam po angielsku.

- Wpuść mnie - odpowiada ktoś stojący na zewnątrz, też po angielsku. To kobieta. Musi to być jej język ojczysty albo tak dobrze nim włada. Pukanie ustaje, jakby wiedziała, że jej usłucham.

Chociaż jest bardzo ciemno, widzę, że to ta sama kobieta, która się tak na mnie gapiła we wsi; teraz ma na sobie kurtkę narciarską i czapkę uszankę. Białą

kleks twarzy, niemłodej, bez makijażu. Ciężko oddycha. Albo jest w tarapatkach, albo... to ona sprowadza tarapaty... W torebce, leżącej na stole za mną, jest moja komórka. Nie wiedziałabym jednak, do kogo zadzwonić.

- Przepraszam, kim pani jest? - pytam znowu, a lodowaty powiew wdziera się między moją skórę a szlafrok, po czym wpada do ciepłego pomieszczenia. - Czy coś się stało?

- Wpuść mnie - odpowiada niskim matowym głosem, który zdaje się prawie znajomy. Cóż więc pozostaje mi zrobić?

No i wchodzi razem ze mną do środka, wysoka, dobrze zbudowana kobieta, o lekko kwaskowym zapachu. Zdejmuje czapkę i hałaśliwie zabiera się do rozpinania zapięć przy kurtce - nieprzemakalnym cudeńku z „oddychającego” materiału - i rzuca ją za siebie na jedno z dwóch krzeseł. Ma na sobie ciemnofioletowy sweter, przyciasne dzinsy i ozdobione futrem botki. Siada, kładzie dłonie na potężnych kolanach, po czym podnosi na mnie wzrok. Jej ciemnobrązowe oczy płoną pod gęstymi brwiami. Aż nagle, mimo trzydziestu lat, które minęły od tego wszystkiego, co się wydarzyło, wiem, kim jest.

- Christina! - przez krótką chwilę ogarnia mnie czysta przyjemność, płynąca z rozpoznania jej. Jasne! Wystarczy tylko popatrzeć - nawet przedziałek czesze tak samo, dokładnie pośrodku głowy, choć teraz ścięła włosy na pazia i sięgają żuchwy, dawniej zaś wiązała je do tyłu w kucyk.

- Dlaczego tu przyjechałaś? - pyta, kiedy też siadam.

- Przyjechałam, żeby prowadzić badania nad biografią Tuomasa Envala - mówię.

- Nie dość ci było tego, co nam zrobiłaś ostatnim razem? - jej głos załamuje się, gdy wypowiada to zda nie, po czym szlocha, nie spuszczać ze mnie wzroku; jej twarz pokrywają plamy, czerwone i wilgotne, dłonie zaciśnięte w pięści spoczywają na kolanach. - Przyjechałaś, żeby nas zniszczyć - stwierdza.

Nie mogę uwierzyć w to, co się dzieje. Po prostu nie mogę uwierzyć w to, co mówi, ani w to, że mówi to do mnie. Nie potrafię nawet się zastanowić, co jej odpowiedzieć, ani też co ewentualnie mogłabym przez to osiągnąć. Gdybym chciała ją przekonać, musiałabym zacząć od początku i wyjaśnić wszystko, od tamtego czasu aż do dziś, a nawet wtedy... W końcu z pomocą przychodzi mi gest. Wskazuję, używając kalekiej ręki, swą asymetryczną połataną twarz, plamistą parodię jakiegokolwiek innej twarzy, choć i tak wtedy nie dało się z nią zrobić nic lepszego. Pytam:

- Czy to ci nie wystarczy?

Potem szarpię klapy szlafroka, rozchylając je szeroko, tak by widziała całą resztę.

- Christina, spójrz - mówię - to ja zostałam zniszczona.

I ona patrzy. Widzę, jak lekko poruszają się jej oczy, gdy stara się ogarnąć to, co widzi. Lecz chyba jednak w jakiś sposób udaje się jej nie widzieć, bo kiedy kieruje z powrotem wzrok na moją twarz, nadal potrafi wytrzymać moje spojrzenie i powiedzieć:

- Zasłużyłaś na wszystko, co cię spotkało. Tylko sam Bóg wie, dlaczego ulitował się nad tobą. - To stwierdzenie, tak niezwykle, tak kompletnie, szaleńczo niesłuszne, sprawia, że prawie chce mi się śmiać. Jednocześnie gwałtownie wali mi serce, wysychają wargi, jestem przerażona - to odczucie podobne do tego, jakiego się doznaje, kiedy się na moment zamknie oczy, a po otwarciu ich jest się na zupełnie innej planecie.

- Ty nas rozdzieliłaś - odzywa się - rozproszyłaś. Całe rodziny się rozpadały. A teraz tu przyjeżdżasz, by odebrać nam również naszą przeszłość. Dlaczego? Dlaczego nie zostawisz nas w spokoju?

Moje ostatnie wspomnienie o Christinie pochodzi z czasu, gdy byliśmy trzynastolatkami. Jej matka była po jej stronie, a Barbara po mojej. Teraz, oczywiście, jesteśmy same.

Owijam się szlafrokiem.

Żadna z nas nie odzywa się przed dłuższą chwilę. Christina ma nabiegłe krwią oczy i woskową cerę. Wcale nie wygląda dobrze.

Niewykluczone, że też wspomina. Na górnej części któregoś jej ramienia - myślę, że prawego - ciągle może widnieje niewielkie okrągłe znamię, ślad po moim ukąszeniu. Pamiętam, że wgryzłam się w jej ciało z całych sił, pamiętam jej wrzask, słony smak, pamiętam, jak później stałam na polu, wzburzona całą tą sytuacją, nie zgadzając się, żeby ją przeprosić. Ale to było niczym w porównaniu z pozostałym biegiem wydarzeń. I zdarzyło się to kawał czasu temu, dawno, przed tym.

Być może - z pewnością - wcale nie miała na myśli tego, co właśnie powiedziała. Czy mogło być tak, że powtórzyła coś, co usłyszała od kogoś lata temu, i tak w niej utkwilo, że dopiero teraz wyrzuciła to z siebie?

Mam zaproponować jej drinka?

Nie robię tego.

- Christino - zaczynam w końcu, a mój głos, o dziwo, nie rwie się, choć jednocześnie słabnie - nie naruszę tego, w co wierzysz, nawet gdybym chciała. Ale na pewno wolno mi nad tym rozmyślać, wyjaśniać to sobie, a także o tym pisać - a wtedy wzbiera we mnie wściekłość, tak więc kończę swój apel do rozumu sformułowaniem - tak jak mi się tylko, kurwa, spodoba! - i walę dłonią w stół z taką siłą, że wszystko w szufladzie podskakuje. Christina też.

No tak, teraz patrzy. Teraz widzi.

Kładzie łokcie na stole, skrywa czoło w dłoniach, czepia się palcami swych prostych brązowych włosów, rwie je na głowie, wydaje dziwaczne gardłowe odgłosy. Trwa to dość długo. Siedzę i obserwuję ją.

Niby jak to się dzieje, że tak głupio zaczynam jej współczuć? Tak bardzo, że aż mówię:

- Nie martw się, naprawdę. To było dawno temu. Czy mam do kogoś zadzwonić?

Potrząsa przecząco głową, nie podnosząc wzroku. Hm, litość swoją drogą,

ale widzę, że nadeszła moja chwila i muszę ją jak najlepiej wykorzystać: właśnie teraz mogę się jej jakoś pozbyć, inaczej będzie tu siedzieć całą noc.

- W takim razie cię odwiozę - mówię, zrzucając szlafrok i naciągając sweter, potem spodnie, botki, płaszcz, czapkę, rękawiczki, wszystko co trzeba. Pomagam się jej ubrać. Zrobiła się nieporadna i spokojna. Obejmuję ją ramieniem i prowadzę do samochodu, jakbym miała do czynienia z kimś niepełnosprawnym. Prowadzę z nad mierną ostrożnością, gładko, w ciszy, po to, by wszystko zostało tak, jak w tej chwili. Mijamy centrum wsi i jedziemy jeszcze parę kilometrów dalej - gospodarstwa są od siebie coraz bardziej oddalone i ogarnia mnie niepokój, gdy w końcu każe mi się zatrzymać. Jest tu brama, podwórze, kilka budynków, w jednym wciąż się pali światło. Przechyliłam się przez nią, by otworzyć jej drzwi, ale ona nie wysiada.

- Przyjechałam tu ponad dwadzieścia lat temu - odzywa się, teraz już całkiem spokojnie - wcześniej wyszłam za mąż. Przypuszczam, że chciałam zacząć wszystko od nowa. Wtedy umarł Jukka. Cóż, mam oczywiście połowę rodziny na wyspie, reszta rozpierzchła się na wszystkie strony - nawet nie wiem, gdzie mieszka dwóch moich braci, w każdym razie nie mogę pozbawiać chłopców ich korzeni... No to wiesz, gdzie mnie znaleźć - kończy. I nareszcie gramoli się i pcha drzwiczki samochodu, ale nie zamyka ich jak należy.

Ręce mi drżą, kiedy sprawdzam zamki przy drzwiach i zasuwę w oknach mojego domku. To wariatka, wmawiam sobie, ale to nic nie daje. Dalej nie mogę uwierzyć w to, co od niej usłyszałam, nie mogę też uwierzyć w to, co zrobiłam.

- Na pewno zasłużyłaś na to - mówię do siebie, wyjmując z lodówki butelkę Finlandii i nalewając dobre pół szklanki bardzo mocnego płynu: o wiele za dużo, niż zdoła przyswoić mój żołądek, lecz zarazem za mało, żebym mogła oderwać myśli od tego, co się właśnie wydarzyło.

Mogłam - powinnam była - przypuszczać, że ktoś z tamtych czasów i miejsc przebywa tu także obecnie. Po prostu nie pomyślałam. A najdziwniejsze

przeżycie polega na dowiadywaniu się, jak jedna z tych osób odbierała mnie w owym czasie: jak Christina oceniała moje postępowanie, inaczej, niż sama pamiętam. Myśl, że ktoś, kto, jak sądziłam, stał raczej na uboczu ówczesnych wydarzeń, czuje się tak bardzo przez nie odmieniony, przeze mnie również - jak mam to rozumieć?

Nie tego się spodziewałam. Ale wszystko jedno, odbyłam daleką podróż i już nie mogę zawrócić. Nie mam wyboru, tylko tu zostać, właśnie tu, w tym samym pokoju, w którym zapewne Tuomas Envall rozpakowywał swe kufry i paczuszki owinięte w skórę fokii: niemal go widzę, jak próbuje rozpalić w piecu, rozcierając dłonie jedną o drugą, cichutko coś śpiewając pod nosem. No tak, Christina też usiadła przy tamtym stole. Na podłodze leżą jeszcze ślady żwiru opadłe z jej botków.

Wódka zdaje się teraz słabsza i piję ją dużymi haustami, czując, jak gdzieś odpływam. Wdrapuję się na łóżko, nastawiam budzik i gaszę światło, raz mogę się jej jakoś pozbyć, inaczej będzie tu siedzieć całą noc.

2

Następnego dnia, jeszcze przed dziesiątą rano, mam już za sobą trzygodzinną jazdę samochodem na południe, w czasie której przedzierałam się w półmroku najpierw przez mgłę, a potem padający śnieg; idę teraz za kustoszem miejscowego Muzeum Regionalnego, Ilsa Numminem, mijając ogromne okno sięgające od podłogi do sufitu (widać przez nie coraz więcej nawianego śniegu krzepnącego w grudy, a dalej zamrożone morze w odcieniu cyny i bieli), po licznych kamiennych schodach. Lisa jest smukłą kobietą przed trzydziestką: nieskazitelna blada cera, gęste jasne włosy, ostrzyżone na krótko, wielkie i, co zaskakuje, brązowe oczy. Ma zrobiony manikiur i polakierowane paznokcie, na środkowym palcu lewej dłoni nosi cieniutki złoty pierścionek z niewielkim brylantem. No tak, robi wszystko, byle nasze spojrzenia się nie skrzyżowały. Nie mogę jej winić. Zazwyczaj, kiedy poznaję kogoś nowego,

ułatwiam rozmowę, otwarcie poruszając drażliwy temat na samym początku. Brzmi to na przykład tak: „Pewnie się pani zastanawia, co stało się z moją twarzą? To był wypadek”. Teraz nie miałam po temu okazji, bo dyrektor długo mnie przedstawiał, obszernie omawiając mój projekt badawczy. Nie bez wpływu jest też spotkanie z Christiną. W sumie nie stać mnie na taki wysiłek i zostawiam Ilse z tą sprawą, niech sama dojdzie z nią do ładu.

Zatrzymuje się u dołu schodów, żeby wyjaśnić, że to w głównym budynku - wzniesionym z kamienia i zwróconym frontem do portu - dorastał Tuomas Envall pod opieką swego wuja Runara i ciotki Eavy. Drzwi na prawo prowadzą do archiwów regionu, w których przechowuje się kilka dokumentów związanych z interesami Runara, prowadzeniem gospodarstwa przez jego żonę, i tak dalej; mogę się później z nimi dokładnie zapoznać. A teraz, jeśli jestem gotowa, obejrzymy zbiory muzeum. Jej wysoki ze zdenerwowania głos odbija się echem po klatce schodowej nad naszymi głowami.

We środy muzeum jest zamknięte dla zwiedzających aż do popołudnia. Wyfroterowane klepki skrzypią i przesuwają się tajemniczo, kiedy idziemy przez puste mroczne sale, mijając kolekcję opatrzonych napisami eksponatów i dokumentów: butelek dla niemowląt, z rogu i skóry, malowanych krzeseł i szaf; znajduje się tu również naturalnej wielkości dół ze smołą, motki farbowanej wywarem z jagód wełny, bale materiału na pledy, małe ubranka, haczyki do łowienia ryb. Jest też sala wypełniona kilkoma setkami jaskrawo malowanych krzeseł, inna mieści mnóstwo zegarów, a także całą łódź z naturalnej wielkości postaciami myśliwych polujących na foki.

Lisa staje przy szklanej gablocie, pokazując fotografię: ośmioro dzieci, ustawionych według wzrostu i ubranych na czarno. Nie jest to specjalnie ciekawe, ale fascynuje mnie niezwykła ilość małych białych guzików przy czarnych strojach. Żadnego z nich nie brakowało i każdy był zapięty.

- Tak się składa - mówi lisa - że nie jestem pewna, w co oni tak dokładnie wierzyli, ale z całą pewnością musiało to być jakieś surowe wyznanie. W owym

czasie istniało wiele sekt, dążących do odnowy religijnej. Był, rzecz jasna, Lars Laestadius, był też Paavo Rvotsalainen i Przebudzenia. Ludzie mieli widzenia, przemawiali dziwnymi językami, rozpaczliwie szukali zbawienia.

Jej zdaniem te skrajne zjawiska wynikały z poczucia niestabilności społecznej, związanej z walkami nacjonalistów, upadkiem przemysłu stocznioowego i tak dalej. Ona osobiście jest przeciwna wszelkim regułom i przepisom, jeśli nie urażą mnie jej słowa.

- Absolutnie nie - tłumaczę jej - proszę nie zakładać - dodaję, czując, że w tym nie moim języku wyrażam się bardziej oficjalnie niż zwykle - że ktoś, kto bada takie sprawy, czy nawet się nimi fascynuje, od razu w nie wierzy. Z pewnością nie dotyczy to mnie.

Nasze spojrzenia spotykają się na krótko, ona się lekko rumieni, po czym pokazuje, że powinniśmy zwiedzać dalej; idziemy więc obok tokarki do drewna, odtworzonej jednoizbowej chaty (bez komina, z otworem w dachu) i pokazanej kolekcji matowoczarnej ceramiki. „Wszystko - myślę - upchnięte tutaj. Gdyby przechodziło się lub przejeżdżało koło muzeum, nikt by nie domyślił się, co się kryje w środku; to zimno, jak sądzę, wpędza całą przeszłość do kryjówek w zamkniętych pomieszczeniach”.

Na piętrze czeka nas coś zupełnie odmiennego: bogate pokoje mieszczkańskie, przepelnione porcelaną, złoceniami i obiciami. W dużej sali nazwanej „Dziewiętnasty wiek” lisa podnosi jedną z żaluzji i wskazuje na portret wiszący po drugiej stronie pomieszczenia.

- Oto Tuomas.

- Nie miałam pojęcia, że coś takiego w ogóle istniało!

Chłopiec na obrazie ma chyba ze czternaście czy piętnaście lat, namalowano go w pozycji stojącej, przed ciotką i wujem, którzy siedzą. Jego opiekunowie są krzepcy i zażywni. Runar, rumiany i z bokobrodami, wylewa się prawie ze swej ciasno pozapinanej na guziki kamizelki, za to twarz Tuomasa obleka bladość, dorównująca niemal jego koszuli; ma skryte i nieobecne

spojrzenie. Nikt by się nie domyślił, jak dalej potoczą się jego losy, ile zrodzi cierpienia, zarówno fizycznego, jak i duchowego. „W młodości - odnotował Tuomas w swych opublikowanych pośmiertnie Zapiskach (niepełnej relacji opisującej odkrycie i rozwój jego wiary, którą to książkę, jak zresztą wszystko, co wyszło spod jego pióra, przeczytałam i przywiozłam tu ze sobą) - nękały mnie porywy entuzjazmu dla różnych dziedzin i wszelkiego rodzaju fanaberie. Mój Wuj zastanawiał się, rozważając wszelkie możliwości, co też można ze mną uczynić. Często wzywał mnie do swego gabinetu, by omówić te sprawy”.

- A właśnie, co z gabinetem Runara Envalla? - pytam. - Czy wie pani, gdzie się znajdował?

- Ależ tak - mówi lisa - jej usta nieco się rozluźniają, jest przynajmniej szansa, że się kiedyś uśmiechnie - gabinet się zachował i stanowi część ekspozycji.

Opuszcza swoje stanowisko przy oknie i kiwa na mnie, żebym przeszła z nią do wyłożonej boazerią sali; jej trzy okna wychodzą na zamarznięty port, a ciemne okiennice są starannie złożone. Przy ścianie, daleko ode mnie, stoi masywne biurko, a za nim obrotowe krzesło biurowe w kształcie balii. Na ścianach obrazy olejne ze scenami marynistycznymi, popiersie Napoleona z szarego marmuru na postumencie. Ten pokój też czymś pachnie...

- Pastą? - podsuwa lisa. „Dziegciem - myślę - zmieszonym z wodą kolońską”. Stoję bez ruchu, wdychając tę woń. „A więc - zastanawiam się - Tuomas, jeszcze młody człowiek, w przybliżeniu wyglądający jak na tym portrecie, wszedł tymi drzwiami i pewnie stanął dokładnie w tym miejscu, zawahawszy się, zanim wziął jedno z mniejszych drewnianych krzesel...”

- Mogę? - pytam lisy, która jak zwykle robi nie znaczny ruch głową, przytakując.

Krzesło bezszelestnie przyjmuje moje ciało. Wąskie oparcia na łokcie mają taką wysokość, jak potrzeba. Wuj Runar, wyobrażam sobie, siadywał za

biurkiem, by prowadzić rozmowy, a z pewnością przemawiał ze swadą; był w stanie zrobić krótką pauzę między zdaniami, lub nawet w ich środku, która mogła mu służyć do wykonania jakiejś drobnej, zbędnej czynności, na którą akurat naszła go ochota - ułożenia rzędkiem pieczętek albo przycięcia cygara...

- Interesujesz się tylko tym, co w życiu bezużyteczne i przysparza kłopotów - rzekł do Tuomasa - zajmujesz się kwestiami, którymi większość z nas nie zaprzęta sobie głowy, chyba że jesteśmy absolutnie zmuszeni, by je roztrząsać. Nie masz pojęcia o rachunkach; brak ci hartu, by stać się marynarzem. Co prawda, nie odznaczasz się dyscypliną umysłową, niezbędną w tej profesji...

I w tym momencie wyobrażam sobie, jak Runar odchyła się na swym krześle, zakłada dłonie na brzuchu opiętym kamizelką skrojoną wedle najnowszej mody, opuszcza brodę aż do piersi i spogląda spode łba. Nie tak całkiem nieprzyjaźnie, ale trzeba sporo odwagi, by znieść to spojrzenie.

- Nie ma zatem większego sensu analizować, jak doszło do takiego stanu rzeczy. Co powinno się z tobą uczynić?

Tuomas pisze dalej: „Do rozpoczęcia mych studiów nie przywiodło mnie jakieś przemożne powołanie, lecz raczej poczucie, że jest to jedyne dla mnie wyjście. Zgodnie uznaliśmy wraz z Wujem, że ze wszystkich moich przelotnych fascynacji, zainteresowanie sprawami duchowymi mogło zapewnić mi godziwy byt. Zostałbym duchownym. Lata studiów, sześć, może siedem, w Turku, opłaciłby Runar...”

Wyobrażam ich sobie: krzepki mężczyzna i wątlý, nieudolny syn, jaki mu został po bracie, stojący koło okna w gabinecie Runara przy zasuniętych od słońca żaluzjach. Tych dwóch podaje sobie ręce, by uczcić podjęcie decyzji. Tęgą twarz Runara na chwilę ożywia uśmiech. Potem odwraca się bokiem, zapala cygaro, a jego wzrok wędruje po krawędziach żaluzji. Czeka na ostatni w tym roku statek, który ma zawinąć do portu. Francuskie towary. Porcelana, meble, może nawet garderoba dla pań.

I znikają, a ja zostaję, siedzę w maakuntamuseo.

- Może pani zrobić zdjęcie, jeśli pani sobie życzy - proponuje lisa, choć wie, że umiem przeczytać znaki z zakazem fotografowania, po czym nieśmiało się uśmiecha.

Po zwiedzaniu pijemy razem mocną czarną kawę w opustoszałej kawiarence muzealnej, w której na ustawionych rzędami stołach stoją w wazonikach gałązki jałowca; tu jeszcze więcej ogromnych okien wychodzi na zamarzniete morze. Lisa opowiada mi o miasteczku, w którym się wychowała, gdzie podobno za czasów młodości jej matki można było się ślizgać po lodzie na morzu i widziano przez lód i potwornie zimną wodę dno portu, na którym to dnie spoczywały wraki statków kupieckich zatopionych podczas wojny krymskiej. Później je wydobyto, więc ona nigdy nie mogła czegoś takiego przeżyć. Ta właśnie historia, jak sądzi, obudziła w niej zainteresowanie przeszłością.

To za trudne - i zbyt zawile - by opowiedzieć jej, co z kolei obudziło moje zainteresowanie przeszłością, więc po prostu dziękuję i podaję rękę, gdy żegnamy się u szczytu kamiennych schodów.

Volvo już pokrywa parę centymetrów śniegu. Wycieram szyby i przekręcam klucz w stacyjce, czekając, aż się silnik zagrzeje. Po dwudziestu minutach wyjeżdżam z miasteczka. Mój samochód to jeden z nielicznych pojazdów na pustej, dobrej jakości drodze, która wiedzie mnie z powrotem do Elojoki: najpierw prosto, potem w prawo... Wciskam na nos kupione na lotnisku okulary słoneczne, by uchronić się od oślepiającego blasku, wygodnie odchylam się na siedzeniu.

Wybieram się do Elojoki, nagle uderza mnie to po raz pierwszy, prawie dokładnie o tej samej porze roku, co niegdyś Tuomas. Ukończył studia w październiku 1861 roku i wyruszył do swego pierwszego miejsca pracy w charakterze pomocnika pastora dwudziestego marca następnego roku. Choć, oczywiście, najpierw udał się z Turku do Pori, do Narpes, Vaasy, i tak dalej -

myślę, że zabrało mu to ponad tydzień, nawet zaprzężonymi w dwa konie sańmi. Wyobrażam sobie, że w młodości nie był drobny, lecz silny i żyłasty, miał jasnobrązowe włosy, zielone oczy i wychudłą, czujną, gładko ogoloną twarz. Pod płaszczem podbitym futrem nosił być może nowe czarne szaty duchownego i krótką podwójną krawatę, oznakę swej godności. Zapewne dodałby do sań wysokie boki i usiadłby starannie wyprostowany na samej górze stosu ułożonego ze skrzyń z książkami, dzierżąc lejce w odzianych w rękawice dłoniach, które trzymał na po-dołku. Jeden kozuch podesłał sobie pod plecy, drugi położył na kolana i opatulił nim łydki i stopy. Rozpościerała się przed nim droga, znaczona gdzieniegdzie słupkami, którą ledwo dało się odróżnić od pól - zdawała się bowiem gładszym i bardziej oblodzonym białym obszarem.

Oczywiście, marzec nie jest najlepszą porą na podróż, ale i nie najgorszą. Dni stają się coraz dłuższe. Tego roku wiosna jest najwyraźniej wyjątkowo opóźniona, w czasach podróży Tuomasa była mniej więcej taka jak zwykle: słońce świeciło w miarę często i rozpoczęła się odwilż. Zwisające z okapów sople rozplływały się bez śladu. W ciągu dnia na lodzie tworzyły się tafle wody, nad którymi o zmierzchu snuły się nisko mgły. Musiało minąć około sześciu tygodni, zanim śnieg się zupełnie roztopił, a spod spodu zaczęła się sączyć zamarznięta dotąd wilgoć ziemi, niszcząc jednolitą powierzchnię dróg i zalewając je błotem; podobnie błyszczący lód po lewej stronie sań Tuomasa napęczniał powietrzem, które uczyniło z niego rozmiękły i zdradliwy plaster miodu, po którym trudno było w ogóle się poruszać, a czasem graniczyło to z niemożliwością. Po dwóch miesiącach, lub dłuższym czasie, puszczały lody na morzu. Mimo wszystko był to już początek wiosny. Lód na morzu mienił się jak mleczny opal pod niezmiernym bezchmurnym niebem. Czerwieniły się gałązki brzoź, a na niektórych pojawiły się kotki i maleńkie pachnące pączki. W ciągu kolejnych tygodni robiły się coraz czerwieńsze, aż nagle pokrywała je zieleń. Do tego czasu odzywał się skowronek.

Gdy mijam gospodarstwo Christiny, staram się nie patrzeć w tym kierunku, ale nie całkiem mi się to udaje. Dom należy do najstarszych w okolicy, przez co zasługuje na odrobinę uwagi. Zaparkowano przed nim ciężarówkę. Dwóch młodych mężczyzn, pewnie jej synów, rozmawia z kierowcą.

W supermarkecie schludnie ułożono przy wejściu niewielkie ilości importowanych warzyw i owoców, które wyglądają jakoś obco - i chyba zbyt jaskrawo; wszystko, z wyjątkiem jogurtu, jest bardzo drogie. Mimo to ładuję mój koszyk do pełna, żałując, że nie mam wózka na zakupy.

- Pani naukowiec - mówi pulchna kobieta po trzydziestce siedząca przy kasie. Jej pociągnięte żywą czerwienią szminki usta uśmiechają się szeroko. - Z Anglii. Trochę tu zimno, co? Ale przynajmniej nie umrze pani z głodu! - Do spodni ogrodniczek ma przypiętą plakietkę „Katrin”.

- Natalie - przedstawiam się.

Potakuje głową, uśmiech nie znika z jej twarzy, gdy pakuje mi do torby zakupy. Co jeszcze o mnie wie? Znowu zdarza się coś, czego nie wzięłam pod uwagę. Ale zachowuje się życzliwie, więc pytam, czy by mi poradziła, z kim mogłabym porozmawiać o dawnych czasach. Katrin zastanawia się przez chwilę, po czym wypisuje parę nazwisk.

- Pomówię z nimi. No i szkoła - odzywa się - powinna pani ją odwiedzić. Zamykają ją, chwala Bogu, i w końcu będziemy mieć normalną. Wożę moją dwójkę dzieci dwa razy w tygodniu aż czterdzieści kilometrów, odkąd się tu wprowadziliśmy.

Ledwo wchodzę, a już w ciszę domku Tuomasa wwierca się przenikliwy dzwonek mojej komórki, nieco bojaźliwie, ale gniewnie; to, rzecz jasna, moja matka.

- Ależ się zamartwiam - informuje mnie.

- Przepraszam. U mnie wszystko w porządku. Muzeum jest wspaniałe - mówię. Opisuję jej śnieg, lód na morzu, szczególny odcień, jaki przybiera niebo.

Matka niewiele podróżuje. Nawet w młodości niezbyt ją to pociągało. Prowadziła szalony tryb życia, ale wszelkie przygody przytrafiały się jej na miejscu, a potem, gdy wszystko uległo zmianie po wypadku, miała znakomity pretekst, by osiąść na dobre... Szkoda: naprawdę chciałabym, by mogła zobaczyć ten przedziwny, odległy zakątek, choćby oczyma wyobraźni. Ale z jej strony nie wyczuwam specjalnego zainteresowania:

- Czy wiesz, jak długo to potrwa? - przerywa mi.

- Nie potrafię jeszcze ocenić. Kiedy się zrobi cieplej - mówię - mogłabyś tu przyjechać i mnie odwiedzić. Na przykład statkiem. Byłoby cudownie.

- Ale nie chcę - oświadcza. - Jakby ktoś zapytał mnie o zdanie, to oni wszyscy się zaplątali w straszne problemy. Chciałabym tylko, żeby ci się wiodło i żebyś żyła swoim życiem.

Matka zawsze sprzeciwiała się tej wyprawie, a w mniejszym stopniu była przeciwna także wielu decyzjom, które ją poprzedzały - przede wszystkim mojemu nagłemu, nawet nieco perwersyjnemu pragnieniu zdobycia dalszego wykształcenia, choć w końcu przyznała, że jednak miałam rację; potem zagmatwany temat mojej obrony i jeszcze bardziej niejasna praca dyplomowa. Zupełnie, jakby przewidziała, na długo przede mną, gdzie przywiodą mnie te wszystkie sprawy: tutaj, do Enojki. Wiem o tym, ale nie warto się w to zagłębiać.

Oczywiście, nie zdradzam jej, że wpadła do mnie Christina: pewnie od razu by tu przyjechała i zaciągnęła mnie do domu.

- Żyję swoim życiem - oznajmiam jej. - Obiecuję, że będę je mieć. Są przecież różne drogi - przypominam.

- Czasem myślę, że robisz to po to, żeby mnie ukarać - mówi, zanosząc się kaszlem, którego nawet nie usiłuje stłumić, jakby chciała dać do zrozumienia, że znowu pali przez stresy, w które ją wpędzam. Ale ja się nie dam szantażować.

- To nie tak - odpowiadam.

- Masz wszystko, co potrzebne? - pyta, chrypnąc jeszcze bardziej -
wzięłaś dosyć swej maści?

- Ależ oczywiście - mówię - nie martw się. A ty? A mieszkanie?

- W porządku - głośno wyciera nos.

- Uważaj na siebie - mówię.

- Ty też - i dodaje, znienacka całkiem czystym głosem, który zdradza dezorientację: - Natty, co ty sobie myślisz, że niby co ty tam robisz? - i odkłada słuchawkę, zanim zdąży jej coś wyjaśnić.

3

Ten przyjazd nie należał do najłatwiejszych, lecz być może odbyło się to jak należy, bo i Tuomas nie miał łatwo. „Zapukałem do drzwi i odprawiono mnie - wspomina w swych Zapiskach. - Ale zostałem. Parafia odwróciła się ode mnie, ale ja zostałem. Miałem tu Dzieło do wykonania, chociaż wówczas nie posiadałem wiedzy o tym, na czym to Dzieło polega”.

Dom pastora to duży parterowy budynek, choć dostrzegam też rząd okienek na poddaszu, każde z nich wybite powyżej większego okna. Pośrodku dłuższego boku domu znajduje się spory drewniany ganek, do którego prowadzą stopnie; ganek ma podwójne drzwi i widne okna po obu stronach. Ta część domu stanowi jakby przedłużenie głównego korytarza - nie byłam tam jeszcze - choć widać wewnątrz: pod każdym oknem stoi sekretarzyk, rozmieszczono symetrycznie lampy, troje drzwi wiedzie w trzy różne strony, podłogę przykrywa pasiasty dywanik. W tym korytarzu musiał stać Tuomas razem ze starszą pokojówką Ullą.

Poinformowała go, że pastora nie ma i zabrała do salonu, gdzie czekał tak długo, aż zmorzył go sen. Kiedy się przebudził, odkrył, że stoi nad nim rosły mężczyzna w imponujących rozmiarem czarnych szatach, bodajże najstarszy człowiek, jakiego w życiu widział, białowłosy, o białych brwiach, brodaty - pastor. Jego dłonie wykrzywiały artretyzm, a oczy, otoczone nieregularnymi

asymetrycznymi fałdami skóry jak u słonia, sprawiały wrażenie, jakby jednocześnie rozlewały się i płonęły. Pastor się w ogóle nie odezwał, tylko sięgnął po list polecający Tuomasa, który napisał biskup, zaniósł go do swego gabinetu i zamknął drzwi.

Nareszcie wróciła starsza kobieta.

- Tuomasie Envallu, pastor Elojoki poprosił, bym panu przekazała - z całym szacunkiem, gdyż pastor jest pewien, że zaszła pomyłka nie z pańskiej winy - iż nie potrzebuje on żadnego pomocnika. Przedstawi sprawę jasno biskupowi. Tymczasem może się pan zatrzymać w domku w ogrodzie. Rozpalono w piecu. Tam będziemy nosić panu posiłki.

Najpierw wytyczył i uprzętnął ścieżkę biegnącą przez śnieg i lód ogrodu pastora, i codziennie, po odmówieniu swych prywatnych modlitw i medytacji w domku, udawał się wzdłuż niej do głównego budynku na pierwszy posiłek dnia, podczas którego dopytywał się o jakieś wieści od biskupa i kolejny raz zapewniał, że jest chętny do wszelkiej pomocy, nawet skromnej posługi. Dzień po dniu Esko Lehtinen, który wyraźnie miał problemy z gardłem (mimo to dało się go zrozumieć w kościele, gdy przemawiał na wpół szepcząc, na wpół krzycząc), omiatał go niewidzącym spojrzeniem i nie odzywał się. Podobnie cała służba, ludzie pracujący w kościele, dzierżawiący ziemię rolnicy, ci członkowie zboru, z którymi Tuomas miał okazję się zetknąć - wszyscy odmawiali jakiegokolwiek rozmowy poza wymianą zwyczajowych grzeczności... Informacje dotyczące jego osoby, które usiłował im przekazać, wpadały w jakąś wielką otchłań, każde pytanie, które zadawał, powracało do niego niczym zabłąkana łódź, która przypadkowo uderzyła w brzeg rzeki i odbijała się od niego z dokładnie taką samą siłą.

Tak więc Tuomas zbił sobie kilka nie heblowanych półek, zamocował poręcz do wieszania ubrań, rozpakował swój dobytek z pudeł i toreb, starannie rozplanowując, gdzie umieścić każdy przedmiot. Miał świetne materiały piśmiennicze, a wśród jego książek znalazły się nie tylko teksty teologiczne, ale

i rozprawy naukowe, poezja, historia - porównując jednakże resztę jego rzeczy osobistych z tym, co posiadałby dzisiejszy pastor, okazuje się, że miał ich mało: dwa staroświeckie flety, srebrny zegarek, ubrania, które nosił przed wyświęceniem, dobrze uszyte z porządnych tkanin. Mała, nigdy nie noszona czapka wełniana w kremowo-czerwony wzór, zrobiona na drutach przez, jak twierdziła ciotka Eava, jego prawdziwą matkę, zanim się narodził. Zawiesił ją na jednym z czterech kołków przy drzwiach, gdzie teraz przechowuję kilka płaszczy przeciwdeszczowych.

Rozpadająca się torba skórzana, którą rozpakował na samym końcu, ukazała zawartość dolnej szuflady komody z jego domu: nie wykorzystaną papeterię, stare notatniki i drewniane pudełeczko - drobiazg z lat chłopięcych, w którym mieściło się sześć spękanych zbiorniczków z akwarelami, z nich błękit, czerń i zieleń były najbardziej zużyte. Później wspominał w Zapiskach to pudełko, jakby było puszką Pandory: „Miało ono odwieść mnie od Boga tak daleko, jak nigdy dotąd. Było mym Jabłkiem, które zacząłem pożerać zaraz, jak tylko wpadło mi w ręce; przebywałem na pustyni nie więcej niż czternaście dni, a już się poddałem...”

Sądzę jednak, że niedługo po przyjeździe Tuomasa otwarciu tego pudełka towarzyszyło subtelne uczucie przyjemności, na poły zaskoczenia, na poły deja vu; aż sięgnął z powrotem do torby skórzanej i znalazł jeszcze pędzelek z sobolego włosia, który idealnie pasował do rowka między dwoma rządkami farbek.

Moim zdaniem, jeśli Tuomas miałby prawdziwą matkę lub ojca - czy też jedno z rodziców, albo nawet tylko siostrę czy brata - wówczas, kiedy uzmysłowił sobie, że pastor Elojoki go nie chce, przenocowałby w miasteczku i od razu wyjechał nazajutrz rano. Ale było inaczej, i to, w jaki sposób Elojoki go odrzuciło, oraz to, jak on to przeżył, odmieniło Tuomasa całkowicie. Być może właśnie tego pragnął i po to tu przyjechał, choć kompletnie nie zdawał sobie z tego sprawy.

Jeśli chodzi o moją osobę, to zgodnie z oficjalnie przedstawionym projektem mam napisać biografię założyciela jednej z najmniej znanych, lecz najbardziej frapujących sekt postlutrańskich fińskich protestantów, rodzaj książki, którą przeczyta pewnie dziesięciu innych naukowców, a która umożliwi mi parę wyjazdów za granicę i niewykluczone, że pewnego dnia pomoże w zdobyciu odrobinę lepszej posady.

Może jednak tak naprawdę zajmuję się ciągle, od momentu wypadku aż do teraz, opowiadaniem historii mojej twarzy, w której pewną rolę odgrywa Tuomas Envall. Od tamtej pory nieprzerwanie składam elementy tej historii, po czym znowu ją rozkładam, na przemian nadaję jej kształt, a następnie przerabiam od nowa w sposób, który, jeśli się nad tym zastanowić, zdaje się wyjątkowo trafnie dobrany do jej tematu. Wydobywam z pamięci drobne detale i znajduję inne, z nimi powiązane. Staralam się wyobrazić sobie to, czego nie wiem, czytałam o tym, rewidowałam swoje wyobrażenia, myślałam o tamtych wydarzeniach, patrząc na nie z perspektywy innych ludzi (choć, rzecz jasna, zapomniałam o punkcie widzenia Christiny!). A historia mojej twarzy wiąże się, oczywiście, z pozostałymi historiami: historią małżeństwa, matki i jej syna; narodzin marzenia; archeologią pewnego wypadku. Jest to także swego rodzaju historia miłosna.

Muszę ją opowiedzieć, a na razie nie wiem, gdzie się kończy. Wiem za to, że zaczęłam brać udział w tej historii w pewne wiosenne popołudnie ponad trzydzieści lat temu, kiedy rudowłosa dziewczynka o chyba już wtedy niezwykłej twarzy (choć jednak wyróżniającej się w dość zwyczajny sposób), czyli ja, po raz pierwszy ujrzała Barbarę Hern.

4

Mam trzynaście lat. Noszę mundurek szkolny i zieloną torbę uszytą jak worek marynarski, którą przewieszam z początku jak należy, na ukos przez piersi, potem trzymam w ręce, aż ociera się o trawę, w końcu dźmierzę ją

kurczowo w obu dłoniach, przyciskając do przepony. Jest wiosenne popołudnie i idę przez aleje, gdzie jaskrawozielone wstęgi trawy oddzielają chodniki od ulic. Spaceruję i dostrzegam różne rzeczy - przykładowo, czy każdy dom ma garaż, czy nie, a jeśli drzwi są otwarte, to jaki pojazd stoi w środku, z którego roku i jakiej marki.

Gdyby ktoś mnie zapytał, jak mi na imię, skłamałabym, że „Mary”, „Elisabeth”, „Jane”. A gdyby zagadnął: „Co tu robisz, czemu się tak włóczysz?”, powiedziałabym: „Poszłam na skróty i zgubiłam się”, albo: „Niechcący wrzuciłam klucz do studzienki ściekowej i teraz czekam, aż mama wróci z pracy”. W zależności od tego, jak oceniłabym osobę zadającą mi pytania, mogłabym powiedzieć po prostu: „Tylko się rozglądam” i to byłoby najbliższe prawdy. Ale czynność „rozglądania się” to zbyt poważna sprawa, żeby ją zbyć słówkiem „tylko”, w każdym razie chodzi nie tyle o rozglądanie się, czy nawet wyglądanie czegoś, lecz o czekanie.

Czekam od dłuższego czasu, choć zapomniałam, że to robię. Kiedyś o tym wiedziałam jedynie przez krótki, płomienny moment. Czekam na właściwą osobę i właściwe miejsce. Kiedy się połączą, pasując do siebie jak klucz do zamka, ta druga osoba też będzie o tym wiedzieć.

Mijam schludnie utrzymane ogródki, błyszczące świeżością trawniki, kwiaty ciężkie od deszczu, który spadł w zeszłym miesiącu. Jednorodzinne lub dwurodzinne wille stoją w sporym oddaleniu od ulicy. Trudno cokolwiek wypatrzeć. Tu i ówdzie dostrzegam ciemne zarysy mebli, obraz odcinający się od tła, gdyż pada na niego plama światła, wazon z kwiatami, jakąś postać mknącą w pośpiechu z pokoju do pokoju. Wszelkie luki wypełniam wyobraźnią i wspomnieniami. Sporządzam w myślach - wtedy jeszcze bez emocji - listę szczegółów, którymi to pierwszorzędnie zadbane miejsce różni się od mojego domu. Sandra, moja matka, nie jest kimś stworzonym do domowej zrudnej krzątania, wystarcza jej czystość ubrań, pościeli i umywalki w łazience.

Słyszę jakieś głosy i idę w ich stronę, przechodzę przez ulicę do narożnej

willi. Drzwi wejściowe są uchylone. Drzwi od garażu też są otwarte, tak samo drzwi od przyczepy kempingowej zaparkowanej na podjeździe koło Hillman Minx, całkiem nowej, ciemnozielonej, lśniącej chromem. Obok pojazdów kuca kobieta w okularach, próbując podnieść coś leżącego na wysypanym żwirem podjeździe; długie brązowe włosy związała w gruby koński ogon.

Kiedy wstaje, okazuje się niespodziewanie, że jest bardzo wysoka. Ma na sobie, co nie było częste w owym czasie, męskie niebieskie ogrodniczki założone na jasną bluzkę z krótkimi rękawami, ale nawet ten strój nie ukrywa miękkich linii jej ciała, które przebijają przez materiał. W pobliżu stoi niski brodaty mężczyzna i tnie drewno na kawałki.

- Witam - woła do mnie kobieta. Jej głos jest zdyszany, niemal przesadnie serdeczny, figlarny, a zarazem poważny. Nie spuszcza ze mnie wzroku i podchodzi do bramy przy podjeździe, wykonanej z kutego żelaza polakierowanego na bladoniebieski kolor, który pasuje do drzwi garażu i ganku. Gdy się zbliżają, zauważam, że nie ma makijażu; nieco przesuszoną cerę pokrywają drobne zmarszczki. Jest starsza, niż myślałam, i choć jej pełne wdzięku brwi wznoszą się strzelistym łukiem nad grubym szklami okularów, to oczy, każde inaczej powiększone, nieprzyjemnie rozjeżdżają się i falują. Jej szerokie usta zdają się upodabniać do oczu, bo również zmieniają się z sekundy na sekundę dzięki mimice, która wyraża ocenę sytuacji i emocje. Nie jest piękna, jak Sandra, ale znowu nie ma tak pospolitej i nijakiej urody jak ciotka Sue. Jest gdzieś pomiędzy, a może jeszcze inna niż one.

- Popatrz - mówi kobieta, wyciągając w moim kierunku ramię. Po bladej stromiźnie skóry wspina się z mozołem biedronka. Kiedy dociera do łokcia, nieznajoma przenosi ją na palec u drugiej ręki. - To pierwsza w tym roku - oznajmia - lubisz je? Nigdy się nie zastanawiałam nad tym, czy lubię biedronki, czy nie.

Znowu zagarnia biedronkę palcem i kładzie ją tym razem na moim ramieniu. Z początku to nic, ale kiedy owad dochodzi do połowy drogi, jestem

pewna, że czuję, jak po mnie łązi, każdą nóżkę z osobna.

- Co pani z nią zrobi? - mam ściśnięte gardło. Kończę pytanie nienaturalnie wysokim głosem; biedronka podrywa się do lotu, ciężko trzepocząc skrzydełkami.

- Długo tu stoisz? - pyta z kolei ona. - Jak masz na imię? - Jej gładki głos wlewa się w słuchacza jak mleko.

- Natalie - mówię prawdę. Demonstruję to słowo jak pustą filiżankę.

- Ależ wejdź i zobacz.

Zanim wejdę do ogrodu, szybko zerkam w bok na mężczyznę, który przerwał pracę przy drewnie i teraz patrzy prosto na mnie, potem przenoszę wzrok na dom. Tuż pod dachem jest okrągłe okienko. Rządki dachówek ponad nim układają się w rodzaj powieki nad okiem, wiem, ktoś jest na górze i obserwuje nas.

- John, to Natalie.

Brodaty mężczyzna wkłada kawałek drewna do kieszeni i podaje mi prawą rękę.

- Ile masz lat, Natalie? - zwraca się do mnie nie zręcznym, nazbyt dostojnym tonem, najwyraźniej przeznaczonym dla obcych.

- Trzyście - informuję. Nasza trójka stoi przez parę sekund, mierząc się wzrokiem.

- Co pan z tego robi? - wskazuję na kawałek drewna.

Prawie wszystko, co mówię w tym wieku, ma formę pytania. Kiedy uzyskam odpowiedź, przechodzę do następnego.

- Jadą więc państwo na wakacje? Co jest w przyczepie? A gdzie państwo się wybierają? Daleko? Jaką prędkość rozwija ten samochód? Co państwo robią na tych wakacjach?

- Pójdę po Marka - odzywa się kobieta, kiedy w końcu udaje się jej przerwać mój potok wymowy.

- A kto to jest? - pytam, znowu spoglądając w okienko na poddaszu.

Wciąż się waha, piorunując mnie wzrokiem; potężny, wysoki chłopak o nieco pulchnej twarzy, brązowych kręconych włosach i uniesionych w wiecznym zdziwieniu brwiach, które nie całkiem do niego pasują. Nosi szare spodnie, białą koszulę i rozluźniony niebiesko-żółty krawat: oznaka szkoły świętego Józefa. Dostrzegam, jak pożera wzrokiem moją sukienkę w zielono-białe paski, z której już wyrosłam, zdarte buty, workowatą torbę. Widzę, jak rozpościera się przed nim życie, szarozielony bezmiar spokojnych wód pod błękitnym niebem (to, co się właśnie rozpoczyna, zmieni jego życie, chociaż nie tak bardzo jak moje).

- Gdzie twe maniery, Mark? - upomina go Barbara. Wtedy chłopak wyciąga do mnie rękę, a kiedy nie mogę się połapać, o co chodzi, chowa ją z powrotem do kieszeni.

- Odrabiam zadanie - mówi do niej, nie do mnie.

- Kiedy weszłam, to nie odrabiałeś - odpowiada matka. - Możesz mi pomóc wynieść parę krzeseł przed dom? Czy chcesz u nas chwilę zostać?

- Och, tak - mówię.

Przynosi dzbanek oranżady i talerz ciasteczek.

- Domowe - wyjaśnia - weź sobie parę.

John wyciera ręce w ogrodniczki i wszyscy siadamy. Mark gapi się i gapi, na wpół wrogo, na wpół jakoś tak, że nie do końca rozumiem. Wpatruje się w moją skórę. Aż do tego momentu istniały po prostu różne rodzaje ludzkiej skóry, karnacje: blade, śniade, gładkie, pomarszczone. Ale moja trzynastoletnia skóra uderza go jako coś zupełnie niecodziennego, jakiś odmienny byt. Jej odcień zbliża się do bieli na tyle, by zachować zdrowy wygląd, ta biel nie jest jednak przejrzysta, lecz gęsta. Nos i policzki są upstrzone jasnymi piegami w kolorze imbiru - takie same pokrywają moje ramiona i dekolt, który odsłania wycięta w szpic sukienka - wydają się zawieszane na różnych głębokościach pod skórą,

wzmacniając wrażenie jej nieprzejrzyistości. Tu i ówdzie widnieje pojedyncza, znacznie ciemniejsza plamka, tuż pod powierzchnią skóry. Spoglądam na świat z wnętrza tego okrycia, jakby to było odzienie spowijające mnie od stóp do głów - nie do końca część mnie samej. Całkiem tak, pewnie myśli Mark, jakbym nie była istotą ludzką, tylko udawała. Boi się mnie: jestem niemal pewna.

- Do której chodzisz szkoły? - pyta, czerwieniąc się.

- Świętej Anny - uśmiecham się szybko i szeroko, jakby to był jakiś zrozumiały tylko dla nas dwojga żart. Moje zielone oczy prawie natrafiają na jego spojrzenie, jednak nie do końca - mam taki nawyk, całkiem jak te pytania. Wbijam zęby w kruche ciasteczko, łapiąc okruchy drugą ręką, i przesuwam wzrok z niego na Barbarę i z powrotem, w ogóle nie zważając na ojca Marka - nie wiem, do czego miałyby być nam potrzebny.

- Mark chodzi do gimnazjum dla chłopców - podsuwa Barbara.

- Jaki jest twój ulubiony przedmiot? - pyta Mark.

Przeżuwam, połykam, wycieram ręce w sukienkę.

- Gotowanie - mówię nareszcie do Barbary. - Czy mogę zajrzeć do środka przyczepy?

- Pokaż jej, Mark.

Od razu mi się podoba ta przyczepa: składany stolik, który naprawia jego ojciec, kuchenka pod pokrywą. Chcę wiedzieć, gdzie każde z nich śpi, dlaczego jest dodatkowe miejsce na piętrowym łóżku oraz gdzie się wszystko kładzie i przechowuje. Szarpię za kasztanowe zasłonki z aksamitu, zawieszzone na plastikowych karniszach, śmieję się, z powrotem odsłaniam okna. Śledzę losy lotu na Księżyc, a przyczepa kojarzy mi się ze statkiem kosmicznym.

- Co robicie, kiedy już wyjedziecie tą przyczepą? - pytam. - Gdzie jest toaleta? Co zwykle jecie?

- Fasolkę w sosie pomidorowym - odpowiada, znowu oblewając się rumieńcem. Cały czas stoi przy wejściu, wpatrując się we własne stopy.

Kiedy wychodzimy na zewnątrz, Mark obserwuje mnie, jak biorę kolejne

ciasteczko z położonej na skrzynce z narzędziami tacy, po czym jeszcze jedno, które trzymam, jedząc poprzednie. Jestem ciągle głodna. A nawet jak nie jestem, chętnie sięgam po coś dobrego domowej roboty, żeby po prostu coś przekąsić. Jem szybko, dużymi kęsami, choć staram się jednocześnie zachowywać nienagannie, ukrywając rozpaczliwe wysiłki, żeby się nasycić.

- Mogę obejrzeć wasz dom w środku? - Jest za bardzo zaskoczony, żeby odpowiedzieć. Poza tym wcale nie jego pytałam: w pobliżu stoi Barbara, starając się zatuszować zadrapanie na lakierze przyczepy. To ona mnie interesuje. On się tylko przyplątał.

- Weźcie ze sobą krzesła, skoro idziecie do środka - mówi ona.

- To tylko kuchnia - informuje Mark. Białe kafelki, kwadratowy czerwony stół pokryty laminatem, krzesła ze sklejki o czerwonych siedzeniach, metalowy zlewozmywak z paroma ociekającymi talerzami. - Nie ma tu nic do oglądania.

Chcę zajrzeć do szafek, ale on mówi, że nie mogę, więc, biorąc kolejne ciasteczko, postanawiam przejść dalej, samowolnie otwierając drzwi. Zaglądam do jadalni, nie zatrzymuję się i przez korytarz trafiam do saloniku, przestronnego pomieszczenia pomalowanego na kremowy kolor, które przechodzi przez środek domu, łącząc przód z tyłem. Rozśmiesza mnie.

- Czemu wszędzie położyliście identyczny zielony dywan? - pytam Marka. - Jest jak trawa. - Pokazuję palcem do tyłu, gdzie trawnik, dokładnie w tym samym odcieniu, zdaje się podchodzić aż pod oszklone drzwi. - Możecie sobie zagrać w jakiegoś głupawego golfa! - mówię.

- Nie, nie jest jak trawa - odzywa się, celowo wymawiając każdą sylabę z wielką poprawnością.

„Za kogo ty się niby uważasz?”, myślę.

- Nie za wiele macie w tym pokoju, Mark - rozglądam się wokół, żeby wszystko lepiej ogarnąć. - Nic tu nie ma, oprócz tej dywanowej trawy. Dlaczego?

- Skoro tak twierdzisz. - Wymienia sobie w myśli wszystkie sprzęty, żeby

udowodnić mi, jak bardzo się mylę: dwie brązowe sofy, trzy ciemnożółte fotele, kominek kaflowy, okrągły drewniany stolik do kawy nakryty białym obrusem, na którym stoi wazon z ogrodowymi kwiatami, kredensy po obu stronach kominka, nad jednym półka z książkami w twardych oprawach, nad drugim gramofon i radio. W oknie frontowym olbrzymia, dorodna trzykrotka oraz skrzyżowanie torby, pudła i stołu, które zrobił jego ojciec dla matki, żeby miała gdzie kłaść przybory do szycia i dziergania.

- Nie ma fotografii - mówię - żadnych drobiażdżków, ozdób. Żadnych obrazków. Nic, kompletnie nic na ścianach. Nawet tapet!

- Takie rzeczy nie uzyskały naszej aprobaty - oświadcza.

- Co masz na myśli, mówiąc „aprobaty”?

- Skończyłaś?

- Chcę pójść na górę.

- Tam są tylko sypialnie - oznajmia.

- Tak czy owak, chcę tam iść.

Nie jest przyzwyczajony do ludzi, którzy łamią zasady. Zdaję sobie sprawę, że najchętniej by mnie wyrzucił za drzwi, ze swojej głowy też - ale chyba nie wie, jak się do tego zabrać. Nie jest przyzwyczajony do walki.

- Nie - mówi - nie wolno.

- Kto tak powiedział? Czyje są te sypialnie? Spytałem twojej mamy. - Jestem już z powrotem za otwartymi drzwiami, w korytarzu, zaczynam iść po schodach.

Dogania mnie przy drzwiach prowadzących do pokoju jego rodziców, łapie za ramię tuż przy łokciu. Na pewno wie, że to boli, ale ja nie daję po sobie poznać, więc ścisną mnie coraz mocniej: taka gra, którą mogłabym wygrać, ale niespecjalnie mi zależy.

- Słuchaj no - mówi - nie możesz wejść.

Pokój jest we frontowej części domu, jego ogromne okna osłonięto zwykłą firanką i kotarami w kolorze kremowej bieli.

Ściany pomalowano na jasny błękit; dywan ma ciemniejszy odcień. Stolarka, kapa na łóżko i dywaniki po obu stronach łóżka są białe. Stoją też dwa małe drewniane stoliki z identycznymi białymi lampkami i robione domowym sposobem szafy po obu stronach kominka. Nie ma lustra. Pokój jest widny, lecz panuje w nim jakiś smutek. Później dowiem się, że raz w miesiącu matka Marka spędza w nim prawie cały dzień przy zasuniętych kotarach. Wyjaśniła mu, że to z powodu wczesnego nadejścia Zmiany w Życiu, która oznacza, że nigdy nie będzie miał brata ani siostry, co pierwotnie planowali jego rodzice, wybierając ten dom; byłoby idealnie, gdyby mieli jeszcze jedną córkę i jednego syna... Teraz jednak odczuwam tylko lekkie rozczarowanie, że ten pokój nie przypadł mi do gustu.

- W porządku - odzywam się do Marka - już widziałam.

Puszcza moje ramię i prowadzi przez półpiętro aż do niedużego pomieszczenia pomalowanego na przeraźliwie żółty kolor; okna i obramowania mają tu jaskrawą, zielononiebieską barwę.

- Pokój gościnny - mówi.

Jest tu prowizoryczne trzyćwiertciowe łóżko, nakryte zieloną haftowaną kapą, i komódka wielorakiego użytku.

Po drugiej stronie łazienki znajduje się większy pokój w tonacji różowoseledynowej, wychodzący na ogród z tyłu domu. Wyposażono go w jedno łóżko, krzesło z wikliny i pasujący do niego mały stolik z szufladką. W narożnej szafce widać żelazko i deskę do prasowania, a przy oknie ustawiono stolik z maszyną do szycia. Obok stoi jasnozielony piecyk olejowy, obecnie używany jako stojak na kwiaty. Pokój służy do szycia oraz przechowywania roślin przez zimę, okno ma bowiem szeroki, dogodny parapet. W powietrzu unosi się rześka woń geranium z wyczuwalnymi nutkami opału z piecyka.

- Ten pokój - mówię po chwili - mógłby być bardzo przyjemny. Czyj on jest?

- Niczyj. Nie możesz wejść - przypomina mi.

„I tak kiedyś wejść - odpowiadam mu w myślach - to mój pokój”.

- Co jest na górze?

- To część prywatna.

- To co, chodźmy tam - biorę jego wilgotną dłoń w moją suchą i szarpię - tam na górze musi być...

Nie ma pojęcia, jak mnie powstrzymać. Ma szczęście - w korytarzu właśnie zjawia się Barbara i woła nas, byśmy zeszli.

Robi się późno.

- Czy twoi rodzice nie będą się martwić? - chce wiedzieć Barbara.

- Nie. Pojechali - mówię, co mniej więcej jest prawdą, dodaję tylko - do szpitala, odwiedzić babunię a to już wierutne kłamstwo.

- Aha - mówi Barbara. Pachnie leciutko farbą i niesie swe ogrodniczki w zawiniątku. Zastanawia się przez moment, po czym proponuje:

- Może lepiej zostaniesz u nas na kolację? Musisz umyć ręce? Mark, pokaż Natalie, gdzie jest łazienka. Potem możecie oboje nakryć do stołu.

Wiem, że się na mnie wciąż patrzy. Rumieni się, gdy go na tym przyłapuję, ale nie przestaje. No tak, w domu, w bliskiej odległości muszę mu się wydawać jeszcze dziwniejszą istotą. Na ramionach mam delikatne rudawe włoski, a czasem pod światło widać jeszcze delikatniejsze, które rosną mi na twarzy, znikomy ślad futerka, zwłaszcza tuż nad brwiami i na górnej wardze. Dolna warga cały czas mi drży, jakbym miała się rozpląkać, ale jednocześnie wydaje się to wręcz nieprawdopodobne: najpierw bym kogoś zabiła, skoczyła mu na plecy jednym susem jak tygrys... Sukienka, którą noszę, jest bardzo brudna. Na przodzie ma masę plam i cała już zszarzała, nie pierzemy jej zbyt często.

Naśladowuję sposób, w jaki Mark układa na stole sztuce, swoje kładę dokładnie naprzeciw jego, patrzę, jak przynosi z kredensu pojemniczki na sól i pieprz. Nigdy dotąd nie widziałam takich rzeczy.

Gdy zajmujemy miejsca przy stole, zachodzi słońce. Rodzice siedzą

naprzeciwko siebie, zupełnie jak my z Markiem, tylko dzieli nas mniejsza odległość. Unika teraz mojego wzroku, patrzy za to na matkę, która właśnie sięgnęła po łyżkę wazową, zatrzymała się w pół drogi i usiadła wygodnie, czekając.

- Boże - głos jego ojca brzmi donośnie, lecz jednocześnie bardzo osobiście, jakby zwracał się do kogoś dobrze mu znanego, ale tymczasowo ukrywającego się za ścianą lub cierpiącego na lekką głuchotę. - Boże, który stworzyłeś ten świat i wszystko, co istnieje, przyjmij dzięki, jakie składają ci, których stworzyłeś. - Następuje pauza, po której Barbara podnosi pokrywę wazy, waza wydaje lekki zgrzyt: makaron rurki w sosie serowym, z wkrojonymi plasterkami pomidorów, a do tego chleb.

- Czy ty wierzysz, Natalie? - pyta ojciec Marka dokładnie w momencie, w którym Barbara podaje mi talerz przez stół.

- Jak potem będziesz miała ochotę, jest jeszcze mnóstwo na dokładkę - mówi.

- To znaczy? - Biorę widelec i zaczynam jeść. Nikt mi nigdy nie powiedział, że się czeka, aż wszyscy dostaną swoją porcję. A nawet gdyby mi o tym powiedzieli, spytałabym się dlaczego. Mark znowu gromi mnie spojrzeniem.

- Czy chodzisz do kościoła? - nie daje za wygraną jego ojciec.

- Oczywiście - mówię pogodnie, podnosząc do ust wypełnioną po brzegi łyżkę.

- Do którego?

- Świętego jakiegoś tam. Nie znam imienia. Byłam tam tylko parę razy - wyjaśniam - poszliśmy ze szkołą.

- A czy ty znasz Boga? - pyta mnie Mark.

- Dajcie dziecku zjeść - przerywa Barbara - jest głodna.

- Bo my tak - odzywa się Mark.

- No i jaki On jest? - pytam, wiedząc, że mam tupet. Gapię się na niego i

mówię z pełnymi ustami.

- On nie jest jakiś - objaśnia mi ojciec Marka, surowo, lecz dobrodusznie. Kładzie sztuce na stole i składa dłonie tak, że opuszki palców stykają się - można Go porównać do wielu ziemskich rzeczy, w ten sposób wyrażamy swe pragnienie, by się z Nim zjednoczyć. Lecz ostatecznie można Go poznać tylko przez Niego samego, istniejącego immanentnie w Swym stworzeniu. - Uśmiecha się do mnie ciepło. Biorę jeszcze więcej jedzenia do ust, patrzę w bok. Nie przyszedłem tutaj ze względu na Boga.

- Natalie, masz obłędne włosy - mówi Barbara - co za kolor!

To ona, jak się później dowiaduję, zajmuje się wystrojem wnętrza, remontami, przynosi do domu puszki z farbami o nazwach przywołujących różne obrazy - Żółcień Słoneczny, Błękit Gołąbkowy, i tak dalej. Ojciec Marka raczej wzbrania się przed porównaniami lub metaforami - obrazowaniem werbalnym - w odniesieniu do zjawisk świata doczesnego.

- Kiedy dorosisz - mówi dalej o moich włosach Barbara - będą wspaniale wyglądać związane w węzeł. Czy to po mamie, czy tacie? - pyta ze swobodą. - My zawsze mawiamy, że Mark odziedziczył wzrost po mnie, a rozum po ojcu.

- Moja mama ma jeszcze bardziej ogniste włosy - oznajmiam. - Wszyscy mówią, że z niej szykowna babka.

- Widzisz, Natalie - ucina tę dyskusję ojciec Marka - jesteśmy członkami Światowej Wspólnoty Enwallistycznego Kościoła Łaski, który został powołany, by od dawać cześć Bogu Immanentnemu i strzec się Wizerunków. Nasz kościół założono w Finlandii. Dlatego mamy przyczepę, bo dzięki niej możemy jeździć tam co roku.

Miotam się między rozdrażnieniem a ciekawością i ponownie napełniam usta, prawie się do niego uśmiechając.

Pomagam Barbarze w zmywaniu, a ojciec Marka rozkłada na stole płachtę „Czasu Enwallistów” i czyści, buty całej rodzinie. Mark idzie na górę

skończyć zadanie domowe.

Kiedy schodzi z powrotem, siedzimy z Barbarą naprzeciw siebie przy kuchennym stole. W radiu koncert fortepianowy. Czyste buty stoją w rzędzie na podłodze; John gdzieś się zapodział. Cała nasza trójka milczy jakiś czas. Patrzymy po prostu na siebie, wyczuwając, każde na swój sposób, że coś się zmieniło.

Prawda jest taka, że parę godzin temu, zanim się zjawiłam, oni - ojciec, matka i syn - stanowili rodzinę, która różniła się od reszty mieszkańców. Wewnętrzne podziały w rodzinie nie miały większego znaczenia. Ale od teraz każdy z Hernów będzie się różnił od pozostałej dwójki. Mark poczuje swą odrębność w stosunku do matki, powinowactwo w stosunku do ojca, gdyż obaj są mężczyznami. Barbara i ja należymy do innego rodzaju - nieprzewidywalne, budzące lęk...

Przez otwarte drzwi wpada gwałtownie powiew chłodniejszego powietrza, pachnącego skoszoną trawą. Spotykam wzrok Marka, zmuszam go, by odwrócił spojrzenie. „Kiedy ona sobie pójdzie - myśli - wszystko wróci do normy, będzie po dawnemu”.

Nic a nic nie rozumie.

- Lepiej odprowadź Natalie do domu, kochanie - mówi Barbara. Jestem tak blisko, mogłabym sięgnąć ręką przez stół i dotknąć jej dłoni.

Schodzimy z Markiem ze wzgórza, mijając żywopłoty po lewej, a szosę po prawej; o tym, że posuwamy się naprzód, orientujemy się dzięki zmieniającym się pomarańczowym polom światła, rzucanego przez latarnie uliczne; są na przemian jaśniejsze, ciemniejsze i znowu jaśniejsze. Po chwili pytam:

- Jak to się stało, że nie macie telewizora? Wszyscy mają - Wypożycza się odbiornik. Jak coś się psuje, oni naprawiają albo dają nowy.

- Kiedy pojawiła się telewizja - mówi Mark - niektórzy członkowie naszego Zgromadzenia chcieli na nią pozwolić. Wiesz, jak działa telewizja?

Potrząsam przecząco głową. Jasne, że nie wiem!

- Otóż działa dzięki lampie kineskopowej, czyli katodowej, w której, najprościej rzecz ujmując, zmienna wiązka elektronów pędzi przez próżnię i dociera do ekranu pokrytego związkami fosforu. Bombardując tę powłokę, elektrony zmuszają ją do świecenia. Punktik świetlny porusza się po ekranie wzdłuż pewnych linii, poziomo, potem znika, potem znów się pojawia i biegnie pionowo, i znowu poziomo; to jest jak pismo, ale dzieje się strasznie prędko - tak prędko, że ludzkie oko i mózg odczytują ten ruch jako obraz. Nie rejestrujemy ruchu tego świetlnego punktu, bo nasze oko nie zdoła dostrzec tak szybkich zmian. Gdybyśmy jednak byli muchami, które widzą szybciej, nie dostrzegalibyśmy obrazu, tylko świetlny punkt biegający po ekranie. Tak więc pewna grupa ludzi twierdzi, że obraz na ekranie telewizyjnym nie istnieje obiektywnie.

Słucham tego, jakbym była na tureckim kazaniu, ale zadziwia mnie, że ktoś potrafi tak dużo powiedzieć za jednym razem i to całymi zdaniem.

- Byli, rzecz jasna, w błędzie - podsumowuje. - Nieistotne jest, jak powstaje obraz. Najbardziej liczy się funkcja, którą ma spełniać. Czy zaś zastępuje on zjawiska rzeczywiste, czy też nie, albo czy jest oknem na...

- To znaczy, że nie oglądacie telewizji, w ogóle? Przegapisz lądowanie Amerykanów na Księżycu - wtrącam.

- Wcale nie chcę tego oglądać - mówi. - Mogę o tym poczytać. Albo wysłuchać w radiu.

- Jaka szkoda, że nie mogę być tam z nimi - ciągnę. - Jakbym uciekła tak daleko, nie dałbyś rady mnie złapać tu na ziemi... A widziałeś, co oni jedzą? Suchą żywność w paczkach. Nic, co by się kruszyło, bo oni unoszą się w stanie nieważkości i nie mogą niczego podnieść, no i okruszki mogłyby im wpaść do oczu albo płuc, a wtedy można się zadławić. Muszą siusiać do butelki.

Nagle zatrzymuję się na rogu. Osiedle nie jest może tak odległe jak Księżyc, ale z całą pewnością Mark nie bywa tu często. Domy są małe i niskie,

mieszkańcy nie dbają o ogródki, lecz używają ich jako garaży.

- Nie idź dalej, to już tu.

Stoimy pod ostatnią latarnią uliczną. Przed nami rozciąga się długi odcinek drogi, na którym lampy nie świecą.

- Lubisz dziewczyny? - pytam. Pomarańczowe światło sprawia, że kolor moich włosów staje się jeszcze intensywniejszy, skóra wygląda, jak nakrapiana złotem.

- Zależy od konkretnej osoby - odpowiada.

- A mnie? - upieram się.

- Nie znam cię - mówi.

- Chcesz mnie znowu zobaczyć?

Ma ochotę powiedzieć coś tak okropnego, że natychmiast się ulotnię, ale otrzymał staranne wychowanie.

- Nie, tak naprawdę to nie - udaje mu się wyrzucić z siebie. „Nigdy, przenigdy już nie wracaj - myśli. - Zostaw nas w spokoju”.

Biegnę przez ulicę, nie rozglądając się, czy coś nie jedzie, znikam w ciemnej czeluści po drugiej stronie, wynurzam się przy następnej działającej latarni i idę w kierunku zaciemnionego narożnego domu z popsutą bramą. Stoję przez chwilę przy drzwiach, nasłuchując, jak zawsze. Kiedy wiem, że jest pusto, wchodzę. Wchodzę po omacku po schodach do ciemnego pokoju Sandry i patrzę przez okno na ulicę. Mark stoi jak wryty, czekając, aż zapali się światło, aż coś się stanie, dam mu jakiś znak, że dotarłam do domu. Ale na pewno się nie doczeka. Obserwuję go niewidoczna, aż rezygnuje i odwróci się, kierując się do domu. Wtedy schodzę na dół i włączam telewizor.

Tak to się zaczyna. Tamto popołudnie przywiodło mnie, pół życia później, tutaj, do tego drewnianego domku o jednym pomieszczeniu, o krok od kościoła Tuomasa Envalla.

Coś mnie zbudziło - jakiś dźwięk. Leżę przez dłuższą chwilę, zanim sobie uzmysłowię, że już nie jest ciemno. Światło śmiało się przedziera przez cztery pary grubych kotar, szczególnie przez te po mojej lewej stronie - chyba tam jest południe. Na zewnątrz musi się już niebieskawo rozwidniać, pewnie jest zimno, ale tkanina kotary ociepla i łagodzi światło, poleżałabym więc tak chętnie jeszcze z godzinę. Mój zegarek jednak, kiedy znajduję go w kieszeni szlafroka, wskazuje niemal środek dnia. Nie mam zatem wyjścia.

Kiedy idę, by wziąć prysznic, zauważam jakąś kopertę wepchniętą pod kratki wentylacyjne drzwi. Napisano na niej na maszynie wielkimi literami moje imię, podkreślono je i postawiono po nim kropkę.

W środku znajduje się list bez żadnego nagłówka, również napisany drukowanymi literami:

WYBACZ, JEŚLI CIĘ PRZESTRASZYŁAM, ALE MÓWIĘ CI: POMYŚL. CHCĘ CI POWIEDZIEĆ, ŻE WIEM, ILE WYCIERPIAŁAŚ, LECZ STAŁO SIĘ TAK DLATEGO, PONIEWAŻ NIE PODDAŁAŚ SIĘ WOLI PANA. PRAWDA JEST TAKA, ŻE TWE - CIERPIENIE MOŻE STAĆ SIĘ BEZCENNA PERŁĄ, JEŚLI TYLKO OTWORZYSZ OCZY. I PROSZĘ CIĘ NADE WSZYSTKO, NIE PRZYJEŹDŹAJ TU, BY ZNOWU UCZYNIĆ TO SAMO, CO WTEDY. ZASTANÓW SIĘ, DO CZEGO CIĘ TO DOPROWADZIŁO OSTATNIM RAZEM - PAMIĘTAJ O TYM. TAK, ONI CHCĄ WSZYSTKO ZAMIENIĆ W MUZEUM, ZABRALI JUŻ NAM NASZ KOŚCIÓŁ, ALE TO NIE JEDYNY, JAKI MAMY - NADAL ODPRAWIAMY CO TYDZIEŃ NABOŻEŃSTWA W MOIM DOMU. TO WŁAŚNIE JEST WŁAŚCIWA DROGA. PRZYJDŹ I SIĘ PRZEKONAJ. DO MNIE NALEŻY PRZEBACZENIE, RZECZE PAN., I MOŻE ONO OPAŚĆ NA NAS NICZYM PORANNA ROSA.

Nie podpisała się. Moją pierwszą reakcją był gniew, bo całe to nielogiczne gadanie o cierpieniu doprowadza mnie do szału - coś jednak w tym liście sprawiło, że zapragnęłam wziąć jej dwie dłonie w moje i zapłakać.

Czytam teraz ponownie i coś mi mrozi krew w żyłach. To z powodu środkowych linijek listu: Zastanów się, do CZEGO CIĘ TO DOPROWADZIŁO OSTATNIM RAZEM - PAMIĘTAJ o tym. Hm, raczej trudno, żebym zapomniała. Czy ona mi grozi? Zależy to całkowicie od tonu głosu, jakiego używam, czytając list w myślach. Prawda jest taka: siedzę tu sama w drewnianej chatce, i dalej nie wiem, do kogo miałabym się zwrócić, jeśli by się coś działo.

Wtedy, zniemacka, wracam tam, na pole. „Grzesznica! Grzesznica!” krzyczy Christina, nie charakterystycznym śpiewnym głosem, jakim zwykle dzieci wymyślają sobie nawzajem, ale szybko i mocno, jak gdyby faktycznie okładała mnie po grzbiecie czymś ostrym. Jej pulchna twarz bieleje ze złości, brązowe oczy błyszczą jak u ptaka. Jeszcze teraz odczuwam przypływ gniewu, który wtedy mną targnął. Na pewno nie pozwolę, by przerwała moją pracę - ale jak się przed nią zabezpieczyć? Mam iść na policję? Czy zrozumieją? Nie wiem, i tyle, wpycham list do koperty i nie potrafię nawet zdecydować, gdzie go położyć. Tak naprawdę, zdaję sobie sprawę z tego, że najbardziej chciałabym go spalić, jestem wstrząśnięta - ale to mnie daleko nie zaprowadzi, poza tym włączy się alarm. W końcu muszę błyskawicznie wziąć prysznic i wyjść z domu z mokrymi włosami; jestem już prawie spóźniona na zwiedzanie kościoła.

Drewniana konstrukcja zabytku uległa osłabieniu, z tego też powodu musiałam uzyskać specjalne zezwolenie na zwiedzanie; po podpisaniu oświadczenia, że nikogo nie pociągnę do odpowiedzialności, w razie gdybym odniosła jakiegokolwiek obrażenia, mogę oglądać kościół w asyście Heikkiego i pastora najbliższej parafii, który również tutaj pełni obowiązki duszpasterskie. Pastor czeka już przy bramie, jest to bardzo szczupły, żwawy mężczyzna, który mówi po szwedzku, rozmowa nie jest jednak jego ulubionym zajęciem. Ze wszystkim musimy poczekać na Heikkiego. A on usuwa ręcznie pisany plakat, przyklejony grubą taśmą spajającą równocześnie wielkie podwójne drzwi. „Wiara wciąż żyje! Oddajcie nam nasz Kościół!”

Heikki przesuwa go ostrożnie na jedną stronę i znów przymocowuje tymi

samymi kawałkami taśmy.

Wszystko, nawet dach i elewacja, która wygląda, jakby zbudowano ją z dużych bloków malowanego kamienia, jest drewniane. W środku nie ma elektryczności, za to światło wlewa się tu przez olbrzymie i czyste szyby okienne. Całość pomieszczenia sprawia wrażenie, że jest ono o wiele za duże, jak na taką małą miejscowość, trzeba mieć jednak na uwadze, że ludzie niegdyś wyruszali dzień wcześniej i przemierzali wiele kilometrów, by móc uczestniczyć w nabożeństwie. Wnętrze pomieściłoby czterysta lub pięćset osób, wliczając chór, pomalowany na dwa subtelne odcienie zieleni. Znajdują się tam organy i miejsca dla śpiewaków. Na ambonę z baldachimem wchodzi się po dwunastu stopniach. Pomiędzy przyjazdem Tuomasa do Elojoki a momentem, w którym wspinał się tymi schodami, by wygłosić swe pierwsze kazanie, minęło sześć trudnych miesięcy, w czasie których jego zwykła luterańska wiara przekształciła się w nowe wyznanie, enwallizm. Interesuję się przede wszystkim okresem tych właśnie sześciu miesięcy: chcę zbadać, co dokładnie natchnęło Tuomasa do napisania pierwszego kazania, zatytułowanego „Zapomniane przykazanie”?

„Pozwólcie, że opowiem wam - tak się rozpoczyna - o Zbawieniu”. Tekst, przesycony poezją i pasją, jest ekstremalny, absolutny. Krańcowo różni się od sztamkowej rozprawy, którą Tuomas napisał dwa lata wcześniej. Czytałam go wiele razy, poszukując jakichś wskazówek co do ewentualnych źródeł jego przemiany w czasie, który dzieli te dwa teksty. Teraz, stojąc w kościele, mogę sobie wyobrazić, jak przez okno wpadało światło, które oświetlało go, kiedy stał przy pulpicie. Słyszę jego ciepły powolny głos, jakim wymawiał każdy wyraz z osobna, nadając mu właściwą wagę. Widzę jego oczy i opalizującą zieleń lodu na morzu, lśniące w taki sam sposób.

„W tej najbardziej gruntownej z wszelkich przemian”, rzekł, wszystko pozostało na zewnątrz takie samo, lecz uległo wewnętrznemu przeobrażeniu. W zbawionej osobie płonął ogień, i czuć było jego ciepło „w każdym oddechu i na każdym kroku”. Czy chcieli, pytał mieszkańców Elojoki, zostać zbawieni? A

jeśli tak, czy przestrzegali przykazań Bożych tak, jak powinni?

Odczytał z wielkiej Biblii, z Księgi Wyjścia 20,4: „Nie będziesz czynił żadnej rzeźby ani żadnego obrazu tego, co jest na niebie wysoko, ani tego, co jest na ziemi nisko, ani tego, co jest w wodach pod ziemią!” Poprosił wiernych, by rozejrzeli się po kościele i pomyśleli także o tym, co znajduje się w ich domach: było jasne, jak bardzo i jak nisko wszyscy, włączając w to jego samego - nie oszczędzał zwłaszcza siebie - upadli. Lecz Bóg w swym miłosierdziu pokazał Tuomasowi Envallovi jego błąd, a on pokaże im.

„Obraz - powiedział Tuomas swym parafianom - jest oknem, przez które może wślizgnąć się diabeł”, żeby zaś przygotować się na Zbawienie, by „otworzyć drogę”, muszą usunąć ze swego życia wszelkie wizerunki i wyobrażenia. Rozumiał przez to nie tylko przedstawienia o treściach religijnych, ale również wizerunki każdego typu: jakież to niewielkie poświęcenie w porównaniu do ekstazy Zbawienia, należy to jednak zrobić skrupulatnie i z pełnym przekonaniem. Bóg, mówił, oczekuje od mieszkańców Elojoki, by pozbyli się kwiatów wymalowanych na skrzynkach na kosztowności i kufrach, by je zniszczyli, by uczynili to samo z kołowrotkami i zegarami, kołyskami i krzesłami; by roztrzaskali i zakopali malowane zagraniczne zastawy stołowe, bez względu na to, ile za nie zapłacili; by zdarli tapety we wzory przedstawiające kwiaty, liście, owoce, okręty i podobne rzeczy, i spalili je, razem z innymi malowidłami, grafikami i rysunkami, które posiadają; żeby zebrali wszelkie rzeźby, także dziecięce zabawki, które mogą mieć w domach; żeby przetrząsnęli książki w poszukiwaniu ilustracji i usunęli je po to, by je spalić; by przeczesali zawartość szaf i komód, szukając ubrań lub tkanin, na których, w odróżnieniu od tradycyjnych wiejskich pasiastych materiałów oraz kraciastych na pledy, mogą być jakieś wizerunki wyhaftowane, wydrukowane bądź utkane - ich jednak nie trzeba palić, można je podrzeć na wąskie pasy i używać jako derek.

Wierni, poruszeni i oszołomieni, wyszli z kościoła na żółte jesienne

światło; wiatr nawiewał im pod nogi pierwsze opadłe liście, niebo było tak bardzo błękitne, że aż bolały oczy. Niewykluczone, że wciąż się wahali. Ale rankiem wyrznięto piłą cherubiny, koronę i słońce z ambony, usunięto też posąg biedaka, stojący na zewnątrz świątyni. Grupa mężczyzn zabrała się do roboty na terenie samej plebanii. Ułożyli w ogrodzie wielki stos papierów i drewna, do którego Tuomas dołożył jeszcze swe olejne obrazy i akwarelowe szkice oraz ilustracje z rozlicznych ksiąg. Ludzie przyszli popatrzeć, potem, jeden za drugim, rozeszli się do domów, by zbudować własne stosy i je podpalić.

Zauważono, że życie bogatych bardziej obfitowało w wizerunki niż życie biednych, że wiele przedmiotów przeznaczonych na zniszczenie pochodzi z zagranicy i że zamiłowanie do rozmaitych wyobrażeń mieli nie tylko papiści, ale i Rosjanie. Zanim skończył się tydzień, uporano się z przemalowaniem ścian i położeniem nowych tapet w domach, w oknach zawieszono zasłony w nie rzucających się w oczy barwach, uszyte z tradycyjnych materiałów w kratę i pasy. Tuomas, niemal jednogłośnie wybrany na nowego pastora Elojoki, objął władzę nad plebanią. W ciągu kolejnych tygodni i miesięcy zakazane wizerunki pojawiały się, rzecz jasna, tu i ówdzie i musiano je za każdym razem unicestwiać, generalnie ludzie byli jednak już przygotowani, oświadczył Tuomas, na rozpoczęcie Bożego dzieła, które nazwał Dziełem Miłości.

Drewno ambony jest ciepłe w dotyku.

- Proszę spojrzeć - wołam - widać ślady piły! A tam - czego tam brakuje?

- Tam był herb - informuje mnie szybko Heikki - a z kolei na ścianie za ołtarzem wisiało niegdyś olbrzymie malowidło, przedstawiające scenę Ukrzyżowania, wykonane w Holandii na specjalne zamówienie miejscowego właściciela ziemskiego na krótko przed przybyciem Tuomasa Envalla. Można dostrzec miejsce, w którym było umocowane.

- Interesuję się szczególnie tym, co go do tego natchnęło - mówię - co tak naprawdę podsunęło mu ten pomysł.

Pastor czeka na nas przy drzwiach, jakby się faktycznie bał, że osłabiony

sufit zawali się. Kiedy w rozmowie się go trochę przyciśnie, przyznaje, że uważa, biorąc pod uwagę obecne oderwanie się części wiernych od oficjalnego Kościoła, iż zabytkowi powinno się przywrócić jego pierwotny wygląd, który istniał jeszcze przed przyjazdem Envalla. Enwalliści są, naturalnie, przeciwnego zdania.

- A ja jestem, jak się to mówi, między młotem a kowadłem - wyznaje Heikki, kiedy zamykamy za sobą drzwi.

Wracamy później do domu kultury. Całą ścianę gabinetu Heikkiego zajmują mapy, plany okolicy i jej zabudowy. Jego duże, jasne, drewniane biurko jest natomiast wypastowane i uprzątnięte z papierów. Stoi tu komputer, leży para rękawiczek, jakieś kluczyki od samochodu, oprawiona fotografia, obrócona do mnie tyłem, plus nieodłączna filiżanka do kawy ze spodkiem - na stojącej w kącie szafce z szufladami na akta stoi ekspres przelewowy; kiedy Heikki proponuje mi filiżankę kawy, nie odmawiam.

- Jest tu pewna kobieta z Anglii - odzywam się - ktoś, kogo znałam dawno temu. Christina. Kiedyś jej nazwisko brzmiało Gardner, ale...

- Kirsti Saarinen - mówi Heikki. Nachyliła się nad biurkiem, by dolać mi kawy. - Nie mogłaby jej pani zabrać ze sobą do kraju? Ta kobieta nic, tylko jątrzy na wszystkie strony. Jej synowie też. Biwakowała ze swymi zwolennikami przed kościołem, by zablokować jego zamknięcie. Nawet śpiewali. Wszystkiemu się sprzeciwiają - odnowie, pomysłowi z muzeum, nowym granicom parafii. Nie podoba im się, oczywiście, zamknięcie szkoły. Narzekają na nową salę, chociaż wynajmują ją na swoje wesela.

Opowiadam mu więc o odwiedzinach Christiny. Mówię, że przyszła późnym wieczorem i miotała jakieś straszliwe oskarżenia pod moim adresem. Nie wyjaśniam, jakie. Mówię, że przysłała mi list z pogrózkami, ale mu go nie pokazuję.

- Nie miałam pojęcia, że ona tu jest - oświadczam. - Sądzi pan, że gdyby nadal mnie niepokoiła, powinnam powiadomić policję?

Heikki odchyła się na krześle.

- Trudno mi to ocenić - mówi.

Nic dziwnego, powiedziałam mu raczej niewiele: bo albo ujawnić tylko tyle, albo już wszystko, całą Historię Mojej Twarzy; gdybym poszła na policję, miałabym podobny dylemat.

- Ona chce, żebym przerwała swoje badania - dodaje.

- No, myślę, że teraz pani jeszcze bardziej chce się nimi zajmować! - woła Heikki. Wypisuje na papierze firmowym numer telefonu na najbliższy posterunek policji i wręcza mi go.

- Najprawdopodobniej jednak - dodaje - jest po prostu niezrównoważona. Wiosna to pora depresji. Jakoś się przebieduje zimą, ale nagle robi się gorzej. Błoto, plucha, ciągle za mało światła - sama się pani przekona. Naprawdę nie umiem pani doradzić, co z nią zrobić. Lecz mogę pomóc - stwierdza - w ważniejszych sprawach.

Pokaże mi następnie księgi parafialne, dokładnie mnie oprowadzi po głównym budynku plebanii.

Cały się rozpromienia za biurkiem, gotów do wyjścia - choć ja tak naprawdę mam ochotę wrócić do domu, położyć się na łóżku Tuomasa, pogapić się w sufit i dać się ponieść leniwemu nurtowi myśli, i żeby mi nikt nie przeszkadzał.

- Najpierw muszę sporządzić notatki z dzisiejszego dnia - mówię - i uporządkować papiery.

- Ależ oczywiście - przytakuje, dalej cały w uśmiechach. - Proszę dać mi znać, kiedy będzie pani gotowa - i wtedy, zniemacka, patrzy w bok, bierze fotografię stojącą na biurku i wyciąga ją w moją stronę. Dziewczyna o bardzo jasnych, prawie białych włosach, w letniej sukience, o rysach twarzy bez wątplenia przypominających jego twarz.

- Moja córka Kirsikka - tłumaczy. - Jestem rozwiedziony. Mieszka ze mną w weekendy - dodaje.

Pod tym uśmiechem, jak zauważam, kryje się coś więcej: bacznie mnie obserwuje, starając się wyrobić sobie opinię na mój temat, oswoić się ze mną. Wiem, bo to naturalne (co nie znaczy, że to lubię), także dlatego, że już to przerabiałam. Nie często, raz czy dwa: bywają mężczyźni, do których mrocznych fantazji jakoś pasuję lub którzy chcą się przekonać, jak by to mogło być, albo myślą, że muszę być tak zdesperowana, że jakoś ich zniosę lub też, że uzyskają nade mną jakąś niemiłą przewagę.

- A pani? - pyta.

- Nie mam - odparowuję; to przyjemne, że nie przesądza niczego z góry, lecz jednocześnie denerwuje mnie, że zadaje takie pytanie: każdy, kto ma choć odrobinę rozumu, może przecież zgadnąć.

Podrywam się z krzesła, podaję mu rękę. Nie pozostaje nic innego, jak pójść do domu Tuomasa, zostawić gdzieś w tyle Christinę i jej obłąkany list i zająć się tym, po co tu przyjechałam.

7

Podczas gdy Mark, Barbara i ja powiedzielibyśmy, że cała historia rozpoczyna się w tamto wiosenne popołudnie, kiedy Barbara odsunęła zasuwę w bramie, by mnie wpuścić, John Hern, jestem pewna, patrzyłby na to z innej perspektywy. Uznałby raczej, że to, co mu się zdarzyło, wzięło swój początek z listu, który przyszedł jakiś tydzień później.

John Hern: człowiek, który byłby zdolny każdego zanudzić na śmierć swą gadaniną, ale który uwielbiał wygłaszać nagłe ekstatyczne mowy o naturze boskiej miłości lub doświadczeniu „bycia w Bożej chwili” i który miał skłonności do krzyczenia przez sen z powodu dręczących go koszmarów. Człowiek, który, zanim odłożył strug i dłuto, zawsze je ostrzył. Który uważał, że ostrożności nigdy nie za wiele, jeśli w grę wchodzi uniknięcie błędu, i właśnie dlatego zapuścił brodę, zawiązywał krawat na wycucie, prowadził samochód w niebezpieczny sposób, nie używając lusterek - choć Envall otwarcie ich nie

zakazywał. Człowiek, który kochając się z żoną, miał szeroko otwarte oczy, by widzieć tylko to, co naprawdę istniało: wiotczenie i napinanie się skóry, bladość, pękające naczynka i inne oznaki ich śmiertelności. I który nalegał, by żona zachowywała się tak samo, mimo to wybaczał jej, gdy za każdym razem jej powieki w pewnym momencie opadały, przez co twarz stawała się niejako doskonała, a wszystko, z czego było zbudowane jej ciało, miękło i poddawało się temu, co z nią czynił i temu, co odczuwała, tak więc nie mógł mieć pewności, czy on sam miał oczy otwarte, czy zamknięte, i czy był w niebie, czy na ziemi.

John Hern: jedyny spośród nas, który nie przeżył wydarzeń lata, które nastąpiły po nadejściu tego listu:

Nawiązując do Państwa podania o odnowienie paszportów, odsyłamy Państwa dokumentację, jest ona bowiem niekompletna. Są Państwo zapewne świadomi, że w przeszłości urząd nasz, kierując się wyłącznie własnym uznaniem, zezwolił w kilku nielicznych przypadkach na uczynienie wyjątku ze względów religijnych co do konieczności zaopatrzenia paszportu w fotografię. W wyniku nieuniknionej ratyfikacji traktatów międzynarodowych przez rząd Jej Wysokości, które odnoszą się bezpośrednio do tych procedur, takich wyjątków obecnie nie można już uczynić...

Tego samego dnia składam im drugą wizytę.

Tym razem samodzielnie odryglowuję niebieską bramę, podchodzę do drzwi wejściowych i dzwonię. Zdaje się, że Barbara mi wierzy, kiedy tłumaczę, że pękła rura wodociągowa, więc wypuszczono nas ze szkoły do domu.

- Mama jest w pracy - dodaję, co jest prawdą.

Idę za nią korytarzem aż do schludnej kuchni, gdzie częstuje mnie szklanką czegoś, co nazywa lemoniadą, choć nie ma bąbelków, i ciasteczkami, innymi niż poprzednio, bardzo chrupiącymi, o orzechowym posmaku, którego nie potrafię nazwać.

- Mamy dziś złe wieści. List - mówi, patrząc, jak zajadam się

ciasteczkami. - Tak więc bardzo miło, że przyszedł ktoś, kto mi doda otuchy. Weź je ze sobą i chodź, usiądziemy w ogrodzie. 60 cieniu potężnego drzewa stoją drewniane krzesła i stolik.

- Co pani robiła tuż przed moim przyjściem? - pytam, dziwiąc się sobie. Nawet jak na mnie jest to dziwaczne pytanie, ona jednak chyba się tym nie przejmuje.

- Byłam na górze - odpowiada - po prostu rozmyślałam. Trochę mi było smutno - i opowiada o liście, że w sumie się go spodziewali, ale wbrew zdrowemu rozsądkowi mieli nadzieję. Będą teraz musieli poważnie przedyskutować, co dalej. Prawda jest taka, że używają już przecież pieniędzy, na których widnieją wizerunki. W tej sprawie istnieje przynajmniej pewien sporny precedens w Biblii, choć rzecz jasna, nie ma tam ani słowa o fotografiach, lecz gdzie należy postawić granicę?

- John twierdzi, że nie powinniśmy się ugiąć - mówi. To oznacza, że nie pojedą z przyczepą kempingową na wakacje do Finlandii. - Jeśli o mnie chodzi, aż tak mi to nie przeszkadza. To męcząca podróż. Ale Markowi będzie jej brakować, panu Hernowi też. Na pewno go to wyprowadzi z równowagi. Jego rodzina przybyła z tej wioski lata temu, jeden z nich zrobił tę serwantkę w przedpokoju. Ale ze mną jest inaczej. Dopiero od czasu naszego ślubu...

Liczy się enwallistyczna ceremonia ślubna, tłumaczy Barbara, choć sama w sobie nie ma statusu prawnego. Jej własna odbyła się pół roku po załatwieniu sprawy w urzędzie stanu cywilnego; brali ślub pod gołym niebem, w zagajniku świerkowym w pobliżu jeziora, niedaleko Elojoki w Finlandii. Jej rodzice nie uczestniczyli w uroczystości, za to był obecny jej brat Adrian.

- Słońce świeciło prawie do wpół do dwunastej w nocy - wspomina - potem jedliśmy przy wielkich stołach na drewnianym molo, na gładkim jak tafla szkła jeziorze. Oglądaliśmy słońce, które ześlizgiwało się co raz niżej za drzewami. Było rewelacyjnie, gdyby nie komary, takie ogromne, po których dostaje się wielkich bąbli... - śmieje się, robi głupie miny i drapie po nie

istniejącym ukąszeniu na ramieniu.

- Miejsca, w których ukąsił cię komar, najlepiej posmarować kryształkami dwuwęglanu sodowego. Piecze, ale przestaje swędzieć. Zostawia na skórze białe proszek...

Czy ma jeszcze trochę tych ciasteczek?, pytam. Okazuje się, że zjadłam ostatnie, ale upieczenie następnych nie potrwa długo, więc wracamy do kuchni. Kiedy Mark pchnięciem otwiera drzwi wejściowe, czuje zapach piezonego ciasta i słyszy mój głos. Przychodzi do kuchni, by się upewnić. Jestem obrócona tyłem do drzwi, lecz wiem, że tam stoi. Barbara siedzi naprzeciwko mnie, jej delikatny jak muśnięcie motyla wzrok spoczywa na mojej twarzy. Też go nie widzi. Właśnie skończyła mi opowiadać o ślubie cywilnym, który zabrał im zaledwie dziesięć minut, i jak poszła po nim do domu, by powiadomić o tym rodziców, oni jednak zostawili jej karteczkę, że postanowili pojechać do miasta, musiała więc poczekać.

- I co pani zrobiła? - uwielbiam, jak odpowiada mi na pytania, nawet najbardziej głupkowate, pozwalając, bym wypytywała o wszelkie szczegóły, które mnie zaciekawiają. Nigdy nie oświadcza: „Ależ jesteś wścibska!” albo „Żadnych pytań!”, czy też „Bezczelność! Niby dlaczego mam ci o tym mówić!” Nie, zawsze się stara, szukając w myślach tego, co może mi powiedzieć. Okręcam palcem koniuszek warkocza i czekam na jej odpowiedź:

- Po prostu weszłam do środka i zrobiłam sobie kolację, bo niewiele jadłam przez cały dzień.”

I znowu, cokolwiek powie Barbara, nawet jeśli mnie to rozczaruje, zawsze mogę zadać kolejne pytania:

- A co pani przyrządziła?

Jej twarz rozciąga się w uśmiechu.

- Natalie! To było tak dawno! Ale mnie złapałaś!

- Proszę - słyszę teraz własny głos tak, jak musiał go słyszeć Mark: cieniutki, ale zarazem poważny, przeskakujący z beztroskiego tonu w całkowitą

rozpacz, jak gdyby właśnie w tej chwili brak odpowiedzi ze strony Barbary miał mi sprawić fizyczny ból. Ten głos, wiem, powodował, że moje wszystkie pragnienia wciskały się w słuchacza tak mocno, że zaczynały w nim krążyć wraz z jego krwią. Nikt, z wyjątkiem Sandry, nie pozostawał na niego obojętny.

- Mark! - Barbara wstaje i całuje go w czoło.

Wiercę się na krześle, marszczę brwi. Udaje, że mnie nie widzi.

- Co tam? Wszystko dobrze?

- Nie - mówi z wyrzutem (jak ona mogła zapomnieć o liście?) - oczywiście, że nie.

- No cóż, skarbie - w lodówce jest lemoniada, a Natalie i ja właśnie czekamy, aż ostygną ciasteczka migdałowe.

- Nie mam ochoty - mówi Mark - idę na górę.

- Mark, Mark. Mark? Mark! - wołam na tyle głośno, by było słychać przez drzwi. Dobiega mnie skrzypienie klepek w parkiecie, podchodzi, stoi zaledwie jakieś dziesięć centymetrów dalej. Nie dzieli nas zamek w drzwiach.

- Pamiętaj, nie wolno ci tu wejść - odpowiada, niezbyt głośno, zgaszonym, bezbarwnym głosem; nie ma pewności, czy w ogóle usłyszałam. Stoi tam jak słup soli, czekając, aż zrezygnuję i sobie pójdę. Zamiast tego słyszy, jak raz za razem wciągam gwałtownie powietrze.

- Mark, ja płaczę - mówię głośno.

Oczywiście, to nieprawda. Udało mi się jakoś sprawić, że zwilgotniały mi oczy, ale zaraz potem zapominam o oddechu.

- Co robisz, Mark? - pytam.

- Nic - mówi, zanim zdąży wpaść na to, żeby wcale się nie odzywać.

Szarpię za klamkę. On trzyma ją z drugiej strony, by mnie nie wpuścić. Tak właśnie, pewnie to sobie uzmysłowił, będzie już teraz między nami. Nie chce mieć ze mną nic do czynienia. Ja też nie chcę się z nim zadawać, ale jakoś tak się złożyło, że stanął na mojej drodze. Pewnie ze mną jest podobnie.

- Nie możesz nic nie robić. Nikt nie może - informuję go. - Założę się, że

przynajmniej myślisz. Musisz, bo inaczej byś nie żył.

Siedzi cicho. Ja też. Po chwili otwiera z impetem drzwi, ale oczywiście do tego czasu mnie już tam nie ma, wracam na dół do Barbary.

- Czy wszystko dobrze? - pyta Barbara, kiedy idziemy do bramy. Uśmiecha się, widząc moje powolne i poważne skiniecie głową. Teraz nastaly długie wieczory, mówi. W związku z tym uważa, że nic się nie stanie, jak pójdę do domu sama. (Oczywiście tak naprawdę ma ochotę przejść się ze mną, żeby zobaczyć, skąd jestem, ale lada chwila ma wrócić z pracy John i trzeba mu dać kolację).

- Pozdrów ode mnie mamę. I nie zapomnij liściku. Mam nadzieję, że lubi ciasteczka.

Znowu kiwam głową.

- Czy mogę wrócić?

- Oczywiście, że tak.

- Kiedy?

- Kiedy tylko mama ci pozwoli. Zawsze jesteś mile widziana.

- Ale Mark nie chce, żebym tu przychodziła. - Chcę sprawdzić, co do tej pory spostrzegła i co teraz robi. Spuszczam wzrok i badam palcem zawartość brązowej torebki z ciasteczkami, którą zabieram do domu. Ślinka mi cieknie.

- Przywykł do samotności. Albo wszedł w taki wiek. Przyjdź po prostu wtedy, kiedy będziesz chciała.

Wyciąga rękę, by założyć mi za ucho niesforny kosmyk włosów... i wiem, że chce też rozprostować zawinięty prawy rękaw mojej sukienki i zapiąć guziki przy mankietach, choć brakuje lewego, w każdym razie rękawy zrobiły się już przykrótkie, i przydałoby się inaczej wywinąć mankiety... Ach, jakże ona marzy o tym, by delikatnie wszystko poprawić, musnąć tu i tam - ja też tego pragnę - ale się hamuje. Wydaje się jej niestosowne, by robić takie rzeczy przed poznaniem mojej matki i uzyskaniem jej pozwolenia.

- Idź już - mówi - prędko - do domu.

Prostuję się, lekko obracam głowę w jedną stronę, jednocześnie nieco ją przekrzywiając, przymykam oczy - tak robi czasem Sandra, widziałam. Barbara nie ma wyboru, nachyla się więc i całuje mnie w nadstawiony policzek. Wtedy już wszystko gra, mogę iść.

- Niech cię Bóg błogosławi - odzywa się swoim schrypniętym szeptem, który - nawet teraz, kiedy to sobie przypominam - rozluźnia mnie całkiem, zmusza do zaczerpnięcia powietrza w płuca, uspokaja i podsuwa myśl, że wszystko, tak czy owak, dobrze się skończy. Zostawiam ją w ogrodzie z przodu domu, gdzie stoi i wdycha wieczorny zapach kapryfolium i staroświeckich róż, czując się lżejsza na duchu i dzielniejsza, choć równocześnie rośnie w niej czułość - i zachłanność na inne upajające wonie: zapach główki niemowlęcia, ubrań, w których chodziło się i pracowało przez cały dzień, suszonej na wietrze pościeli, seksu, ozonowy szczypiący zapach jej własnej krwi miesięcznej, krwi przy porodzie. Truskawek, śliwek z ogrodu w tyle domu, pleśni na liściach, pary wodnej, wyrzeźbionej przez wiatr plaży - jej własna, osobista i intymna więź ze światem, jakiej nie sposób podrobić, jedyna rzecz, której nikt nigdy jej nie odbierze...

Wyobrażam sobie, jak potem idzie wprost do Marka.

- Co się z tobą dzieje? - pyta.

Mark kręci się nieswojo na krześle, udając, że czyta; nic nie odpowiada. Na brodzie pojawił mu się na razie cień zarostu; pewnie go nawet jeszcze nie zauważył. Ma ściągnięte brwi, a jego twarz przybiera jedną z charakterystycznych min Johna Herna, rodzaj gniewnego nieprzejednania. Znienacka wydaje się potężny.

- Nie wiem, dlaczego taki teraz jesteś, ale tego, jak się dziś zachowałeś - jak udawałeś, że nie widzisz Natalie, nawet się do niej nie odezwałeś, już nie wspominając o tym, co wyprawiałeś, kiedy się tu zjawiała - nie da się dłużej tolerować, twój ojciec powie ci dokładnie to samo, jak tylko się dowie...

To jej syn, ale Barbara wcale nie ma ochoty go dotknąć i pogłodzić jego

włosów lub ubrania. A on, siedząc tam, niewzruszony jak skała, też by nie był tym zachwycony... Jak doszło do tego układu między nimi?

- Dobry z ciebie chłopiec - mówi łagodniej i siada na jego łóżku - ale zawsze byłeś jedynakiem. Nie wiesz, jak mogłoby być inaczej. Twój wuj Adrian i ja byliśmy bardzo zżyci w dzieciństwie. Nawet teraz, pomimo zmartwień, nie mam żadnych wątpliwości, że mogę na niego liczyć w ważnych sprawach. Mark, wiesz przecież, jak zawsze pragnęłam, żebyś miał siostrę...

- Ta dziewczyna za nic w świecie nie będzie dla mnie żadną siostrą! - woła. - Nie pleć bzdur!

Barbara często wybucha płaczem. Z reguły płacze podczas nabożeństw, zwłaszcza jeśli jest mowa o dziecku, bezpłodności lub macierzyństwie. On dostrzega, jak ona wierci się na krześle obok i zmusza się, by na nią nie patrzeć, choć wie, że ona szuka po omacku torebki ukrytej pod krzesłem, by wyjąć chusteczkę. Z początku płacze cichutko. Jej okulary zachodzą mgiełką, policzki czerwienieją i błyszczą od łez. Potem zaczyna dyszeć, nie może złapać tchu i pociąga nosem. Nie uda się jej znaleźć torebki, więc on będzie musiał to zrobić, położyć jej na kolanach, otworzyć zatrzask. Później, kiedy Barbara skończy, lekki trzask zamykanej torebki znowu wyrwie go z rozmyślań.

- To była wola Boga. On ją zabrał - mówi teraz - nie płacz, mamó. Mamó, proszę...

Kiedy ona już poszła, przepaszając, łapiąc z trudem powietrze, schodząc na wycucie po schodach, Mark wyciąga spod łóżka pudło z ciężarkami. Przepęlnia go chęć walki, pragnie pokazać swoją siłę. Chce zmieść intruza z powierzchni ziemi; chce ukarać matkę za całe zamieszanie, które wywołuje, ale oczywiście nie wolno nawet myśleć w ten sposób, w każdym razie nie potrafi wymyślić, jak by to uczynić. Chce rzucić szkołę, chce walczyć z rządem, wszelkimi rządami, które wspierają handel wizerunkami, reklamy, wiadomości, sztukę, billboardy, neony, kolorowe rozkładówki na dwie strony, odbiorniki telewizyjne, i które uniemożliwiły im teraz wyjazd na letnie zgromadzenie w

Elojoki... Ma po uszy takiego życia. I wtedy czuje, że musi rozładować tę chęć walki, walczyć dopóty, dopóki każdy staw i każda kość jego ciała nie zaklinują pozostałych, paralizując dalszy ruch. Dodaje do ciężarków jakieś dwa i pół kilograma więcej niż ostatnio, trzyma han-tle na wysokości ramion, leży na podłodze, siada.

Gorąco uderza o powierzchnię skóry. Serce obłądnie pompuje krew. On nie ustaje, góra, dół, góra, dół. Twarz i piersi spływają potem, ma zaciśnięte powieki. Proszę, powiedz mi, prosi, z odrobiną lęku: Chcę służyć. Zrobię wszystko. Daj mi znak.

8

TAK WIĘC NATALIE, TO JUŻ TRZY TYGODNIE. CZY POBYT TUTAJ WYWOŁUJE TWOJE WSPOMNIENIA? I CZY SA TAK SILNE, JAK MOJE? ŻAŁUJESZ, ŻE TU PRZYJECHAŁAŚ? BO JA TAK.

Tak. Tak - i jednocześnie nie. Są dni, w które wieś - ten zlepek betonowych budynków i domów o barwie zaschniętej krwi - wydaje mi się jakimś kompletnym zadupiem. Innym razem, kiedy światło nieco ociepla się lub nawet przeblyskuje słońce, układające się warstwami krajobrazy - gałązki, korony drzew, niebo - widziane z okien maleńkiego domku Tuomasa znienacka olśniewają swą różnorodnością i pięknem.

Dzisiaj jednak jest dzień zadupia. Liścik od Christiny spowodował, że żółć aż się we mnie burzy, boli mnie twarz podrażniona lodowatym pylistym wiatrem. Trzymam się postanowienia, że w jasny dzień będę zażywać tyle ruchu i powietrza, ile się da. Mężnie idę więc dalej główną ulicą, mijam dom kultury i supermarket, skręcam w prawo, obchodząc pokryte świeżym lodem kałuże, i co jakiś czas zerkam na przysadziste jak kloce betonowe bloki, sprawdzając, dokąd już doszłam.

Wewnątrz jest chyba ze trzydzieści stopni: muszę zdjąć rozpinany sweter

i sweterek spod spodu, rozpiąć górny guzik przy bluzce. Mimo to pani Lohi, która niedawno przeprowadziła się z jednego z odległych domów, 68 zbudowanych w tradycyjnym stylu, do nowego mieszkania na parterze, jest szczelnie okutana ubraniami. Siedzi w jasnoniebieskim fotelu, tyłem do potrójnie oszklonych przesuwanych drzwi, które prowadzą do ogródków działkowych - parę niewielkich brzózek, oczywiście bezlistnych, drabinki i piaskownica, teraz powleczona cienką taflą lodu i skorupką zleżalego podziobanego śniegu.

Pani Lohi ma ponad dziewięćdziesiąt lat i każdy fragment jej twarzy, policzki, broda, nozdrza, są pomarszczone, choć jeszcze w ubiegłe lato, twierdzi Katrin, jeździła na rowerze, by dotrzeć do swej działki, położonej na drugim brzegu rzeki.

- Mam kiepskie oczy - mówi - nie widzę już żadnych szczegółów, tylko pani zarys na tle ściany. Wykańczam tę robótkę na wycucie, ktoś mi to wszystko upina w odpowiednich miejscach - podnosi z kolan kawałek materiału, aplikacje i hafty, abstrakcyjny wzór w barwach pszenicy, rdzy i zgniłej zieleni.

- Wyznaczyli mi termin operacji zaćmy na czerwiec. Nie mogę się doczekać!

Na tacy w małej kuchni ułożono filiżanki do kawy i ciasteczka; wysyła mnie, żebym je przyniosła.

- Katrin z supermarketu mówiła, że pani mogłaby mi coś opowiedzieć - przypominam jej za jakiś czas. - Mówiła, że uprzedzi panią, że ja...

- Mam dobrą pamięć - oświadcza - wiem, kim pani jest, Natalie - dodaje szybko. - Kirsti Saarinen powiedziała mi, że pani tu jest już w dniu pani przyjazdu.

- O czym mi pani może opowiedzieć? - pytam.

- Pamiętam to, co mówiła mi moja matka - wyjaśnia, patrząc, jak mi się wydaje, na pomalowaną na biało ścianę parę metrów za mną - starszy brat mojej matki, Eino, stolarz, był jednym z pierwszych, którzy wyjechali z Elojoki. Czy

wie pani, że do obowiązków pastora należało wciągać w rejestr osoby przybywające na teren parafii oraz z niej wyjeżdżające, a także narodziny i zgony? No i małżeństwa, rzecz jasna. To pastor wystawiał rodzaj listu potwierdzającego tożsamość danej osoby, ówczesny paszport. Może więc pani odszukać wyjazd Eino w księgach, odnotowano tam również pozostałych parafian, którzy wyjechali - głównie młodych mężczyzn lub pary - niedługo po klęsce głodu, około 1872 roku. Zobacz pani też wszystkie zgony. A w innej księdze parafialnej widnieją nazwiska przybyszy, którzy zjawili się tu z różnych miejsc, niektórym powiodło się nawet jeszcze gorzej niż nam. To były bardzo ciężkie czasy. Dopiero kiedy sytuacja trochę się poprawiła, część ludzi znalazła w sobie dość sił, by opuścić dom i szukać dla siebie nowego miejsca, w którym nie zdarzą się takie rzeczy. Nikt nie chciał, by wyjeżdżali, ale trudno było ich potępić.

Tak więc Eino udał się do Tuomasa Envalla po zezwolenie na wyjazd. Gdy wyszedł stamtąd, według relacji mojej matki, łyzy kapały mu po policzkach. Odprawiono nabożeństwo i urządzono mu uroczystość pożegnalną. Podjął pracę na angielskim statku. Zamierzał dotrzeć do Kanady, lecz statek zawinął do Ipswich, gdzie poznał pewną kobietę, ożenił się i tam osiadł. Mieli czterech synów i córkę. Cała piątka zachowała swą wiarę, założyli własne rodziny. Inni poszli w ich ślady.

Tradycję Zgromadzeń Letnich zapoczątkowano w 1880 roku. Sama nawet pamiętam Eino, bo wracał do nas, kiedy tylko mógł, a potem odwiedzały nas też, oczywiście, jego dzieci i wnuki. Mam gdzieś łyżkę, którą dla mnie wyrzeźbił. Patrzyłam, jak to robił. Spróbuję ją odnaleźć, jeśli to panią interesuje. Dla moich wnucząt nie ma żadnego znaczenia. Zastanawiam się, czy nie oddać jej do muzeum, które zamierzają tu stworzyć...

Matka zawsze powtarzała, że kiedy Tuomas Envall spojrzał komuś w oczy, a ten ktoś odwzajemnił jego spojrzenie, odczuwał wówczas ciepło, najpierw w sercu, skąd rozchodziło się ono aż po koniuszki palców i włosów.

Wierzyła, że tu, w Elojoki, żyjemy wszyscy w ziemskim raju. Tak właśnie uważała. Aż do samej śmierci.

- A pani? - pytam, kiedy zapada zbyt długa cisza w co pani wierzy lub co pani o tym sądzi?

Dłonie Lohi, podobne do szczypców kraba, o dużych kłykciach, opadły na kolana i znieruchomiały.

- Ja też jestem tu od lat bardzo szczęśliwa - odpowiada po dłuższej przerwie - przestrzegam zasad wiary i o ile siły pozwolą, chodzę na nabożeństwo. Zakaz nigdy nie był dla mnie źródłem niepokoju. Oczywiście, może po prostu leży to w mojej naturze, że czuję się szczęśliwa w każdym miejscu... w sumie to już sama nie wiem.

Uśmiecha się, unosi dłonie. Przez mgnienie oka błyska złoto, ukryte w wałeczkach jej serdecznego palca. Będzie bardzo ciekawa, do jakich dojdę wniosków, mówi, opierając się o balkonik do chodzenia, podczas gdy ja nakładam na siebie kolejne warstwy ubrań w przedpokoju. Jak znajdzie tę łyżkę, da mi znać.

Tak więc, Christino, prawda jest taka, że czasami bardzo się cieszę, że tu jestem. Niekiedy, co dziwne, czuję, jakbym należała do tego miejsca. Chciałabym wiedzieć, na co liczysz, co pragniesz przez to osiągnąć. Na pewno zdałaś sobie do tego czasu sprawę, że nie będę...

Za każdym razem, gdy przychodzi list, kusi mnie, żeby naprawdę odpisać, a nie tylko układać w myślach parę zdań. Jak pomyślę o tym, jaka była w dzieciństwie i porównam ze stanem obecnym, widzę jasno, że jeśli już wtedy wylapywała wszelkie przewinienia innych i czerpała przyjemność z obwiniania ich, to teraz się to pogłębiło, stało się dla niej desperacką potrzebą. Właściwie przed czym chroni ją nienawiść do mnie, przed jaką stratą czy raną? Kiedy przejeżdżałam koło jej domu, zwłaszcza w zeszłą niedzielę, widziałam, jak zjawiają się inne samochody i parkują w równych rzędach na błotnistym placu przed budynkiem, przyłapałam się na myśli, czy nie byłoby najlepiej zatrzymać

się i wejść do środka - no tak, ale co dalej? Rozejrzeć się. Zobaczyć, gdzie wylądowała. Porozmawiać? Ale przecież wiem, że to mnie tylko jeszcze bardziej wciągnie w tę grę, a tego sobie nie życzę. Tak więc nasza rozmowa musi być zawieszona w powietrzu.

Nie potrzebuję, żeby Christina mnie ostrzegła, abym „znowu nie uczyniła tego samego, co wtedy”. Nie mówię tylko o okaleczeniu fizycznym, bo nie jest tak, że nie gryzą mnie wyrzuty sumienia: żałuję na przykład nieuczciwości środków, którymi się posłużyłam. Bez nich nie wydarzyłoby się nic z tego, do czego doszło. Przyznając to jednak, sama wpadam we własne sidła, bo gdyby to wszystko się wówczas nie wydarzyło, gdzież byłabym teraz?

9

Jest niedziela po tym, jak nadszedł list z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i jak po raz drugi odwiedziłam Hernów. Członkowie zboru z całego Suffolk - przeszło trzydzieści osób - zgromadzili się u Thornów we frontowym pokoju z drewnianą powalą. Siedzą na kanapach i krzesłach, poprzynoszonych z całego domu - tych z jadalni, z oparciem z poziomych jak w drabinie deszczulek, i tych z oparciami na ręce, na dębowych ławach z kuchni, na niedobranej parze krzesel windsorskich, zbieraninie malowanych krzesel z sypialń i półpięter, na jakichś dwóch nie posiadających specjalnej nazwy krzesłach z plecionymi z sitowia siedzeniami, na kilku okrągłych stołkach z trzema nóżkami. W ostatniej chwili przyniesiono z przyczepy kempingowej Thornów zestaw składanych krzesełek turystycznych z aluminium. Nawet to nie wystarcza, więc cała szóstka dzieci od Gardnerów musi zadowolić się poduszkami na podłodze.

Pan Thorn sadowi się, twarzą do wiernych, w fotelu ustawionym tuż przy nakrytym obrusem stole na kozłach, który służy za ołtarz. Rozgląda się ze skupieniem po pomieszczeniu. Jego duże, kościste dłonie spoczywają na kolanach jak uspięne wilki, których na razie nikt nie wywołał; dwa ogromne

wazony z ostrózkami, stojące za nim na stole. Gruba świeca ma niewidoczny płomyk. Na podłogę u stóp pana Thorna pada przez jedno z okien kwadrat światła.

- Najpierw poczekamy w milczeniu przed Panem naszym - ogłasza.

Milczenie, zgodnie ze słowami Tuomasa Envalla zawartymi w jego „Medytacjach”, to „substancja, nieobecność, miejsce, przedmiot, ciecz, w których mogą odnaleźć Boga ci, którzy Go chętnie i uważnie poszukują”. Może ono stanowić miarowy wpływ małych, doskonałych kropelek, odliczających minuty. Czasami milczenie sypie iskry. Czasami pochłania wszystko - niczym zimowe jezioro, ciemniejsze od nieba. Czasami zaczyna się niepozornie, płytko, lecz kropla po kropli, krok za krokiem, nabiera głębi... U enwallistów milczenie rozpoczynające nabożeństwo trwa zazwyczaj całe pół godziny, lecz niekiedy zdarza się, że przerwie je czyjaś natchniona przemowa, wtedy jest bardzo krótkie. Kiedyś, jak pamięta Mark, przez całe pół godziny przemawiała Joanna Weston, prawiąc o swej odpowiedzi na mękę Chrystusa, którą nazwała „lekcją wewnętrznego niezrównanego doświadczenia ciała, dowodem na jego wartość, mimo skapania w grzechu”. Słowa kłębiły się w jej ustach, tłoczyły się niczym akrobaci na arenie, oszałamiając swym pędem, przenikliwością, latami medytacji i rozmyślań, które je zrodziły. Po jakimś czasie w słuchaczach zostawało raczej ogólne odczucie niż dokładna treść jej mowy.

Dziś Milczenie jest nasycone, ciężkie i oczy Marka zaczynają błędzić po pomieszczeniu, częściowo po to, by od niego uciec. Oto miejsce, do którego niegdyś chodził co sześć tygodni, więc pamięta: niski strop, na ścianach boazeria, okna o małych szybkach z szerokimi na kilkadziesiąt centymetrów parapetami, widok na płaskie pola obsiane zbożem i jaskrawozielonymi burakami. Porywy i westchnienia wiatru rozdzielają i wygładzają łany pszenicy, po czym ustają, i zboża znów zdają się na moment nietknięte.

We wnętrzu panuje cisza. Siedząc obok ojca, w ostatnim rzędzie, Mark - widzi tylko tyły głów; niektóre są podniesione, inne pochylone nisko, z włosami

o różnych odcieniach brązu i blond, ostrzyżone lub związane na wiele sposobów. Na starszych głowach mignie skrawek nagiej czaszki albo zmatowiała szpakowata czupryna. Gęste włosy Anny Heniek, zebrane w dwa luźno splecione warkocze, zwinięte w obwarzanek i upięte z tyłu, są już całkiem białe, zawsze takie były, jak tylko Mark sięga pamięcią. Kiedy był mały, brał u niej darmowe lekcje gry na fortepianie, ale nie należał do grona wybranych, których zechciała kształcić na wyższych stopniach zaawansowania. Jej poważny stosunek do muzyki przerażał go wtedy, teraz jednak jej twarz pasuje do włosów, budząc w nim raczej ciekawość niż lęk.

Pleczysty pan Gardner i jego synowie mają rzadkie włosy koloru słomy, raz na jakiś czas króciutko przycinane przez fryzjera, a na bieżąco wyrównywane w domu. Trzy córki Gardnerów, Christina, Mary i Eva, mają włosy zaplecione w jeden gruby warkocz, podobnie ich matka Josie, choć jej włosy zdecydowanie nie są tak starannie uczesane jak dziewcząt. Susannah East i jej matka, co tutaj niezwykcyjne, mają kasztanowe loki; pan East i pan Thorn wyglądają niemal identycznie ze swą przyprószoną siwizną i przerzedzoną szczecina włosów.

W środkowym rzędzie z kolei siedzą Tim Anderton i jego brat bliźniak Peter, mniej więcej rówieśnicy Marka. Byliby nie do odróżnienia, gdyby nie to, że Tim strzyże włosy tuż przy skórze, a Peter je zapuszcza, aż stykają się z kołnierzem. Mają starszą siostrę Fay, która zerwała z praktykami religijnymi, gdy poszła na studia i odmówiła uczestnictwa w nabożeństwach (niektórzy twierdzą, że zawinili jej rodzice i mieszkający z nimi dziadkowie, którzy nazbyt surowo wymagali od niej odpowiedniej długości spódniczek i rodzaju butów). Mark pamięta, że Fay miała długie jasne włosy, które opadały jej na twarz, gdy pochylała się do przodu, a pojedyncze pasemka przyczepiały się w zimie nie tylko do jej swetra na ramionach, ale siedzących obok niej osób. Później znajdowało się te włosy na ubraniach, lśniły na tle ciemnych tkanin. Jej matka Elsbeth Anderton nosi rozpuszczone włosy, jak niegdyś jej córka (a może teraz

również tak się czesze), przytrzymując je spinkami, by nie spadały na twarz; nie są już blond, jak dawniej, jeśli w ogóle takie były. Jest małą kobietką o niezdrowej, żółtawej cerze i chorobliwie błyszczących oczach. Obok siedzi biedaczka Susan Cameron, uczesana w mysi ogonek, której zaczęły wypadać garściami włosy, kiedy zostawił ją mąż, mniej więcej rok temu. Po prostu nie wrócił pewnego wieczoru z pracy. Wiele miesięcy później, jakby nie dosyć było zniewag, przysłał jej pocztówkę z Nowego Jorku.

Cisza gęstnieje jak nigdy dotąd, niczym ciecz, która ma zastygnąć. W wazonach płoną na niebiesko ostróżki. Na stół opada pyłek. I nagle Mark widzi oczyma wyobraźni wyspę. Góra, pola, owce, krowy, mewy - wszystko skupia się wokół przystani. Migoczące morze, kołujące mewy. Słowa napływają do głowy jak napis, głos i muzyka, wszystko naraz: „Kupimy wyspę i zamieszkamy na niej - mówi głos, na wpół należący do niego, a na wpół obcy - zbudujemy z kamiennych bloków kościół enwallistyczny. Stanie on na najbardziej wietrznej i nie osłoniętej części wyspy, na cyplu lub wysuniętym w morze skrawku lądu, lub na nadmorskim urwisku. Będzie to pomieszczenie o grubych murach, jak to, z dachem pokrytym kamiennymi płytkami, z oknami ze zwykłymi szybami, przez które będzie widać morze i niebo. Ojciec i ja wykonamy ławy i ołtarz. Przy kościele wzniesiona zostanie dzwonnica, taka jak w Enojoki...”

I słyszy bicie dzwonu, które dociera do jego uszu, po czym porywa je ze sobą wiatr. Wierni pójda pieszo do kościoła przez pola i ogrody... Widzi, jak zgromadzeni w tym pomieszczeniu ludzie, Gardnerowie, Johnsonowie, Lattenowie, Tealsowie, sami Thornowie, idą w jego stronę, tak wyraźnie, jak dopiero co widziane tyły ich głów, jak gdyby wszyscy tam już byli.

Wówczas jego oczy rejestrują drobny ruch: jeden z kwiatków ostróżki spada na biały obrus. Mark spuszcza wzrok, czuje, jak jego skóra napina się ze strachu.

Wie, że to, czego właśnie doznał, mogło być wizją, jak u Ezechiela czy Izajasza, lub nawet świętego Jana. Czasami, przypomina sobie, tak jak w

przypadku Józefa, małżonka Maryi, wizja przybiera formę prostego stwierdzenia, dotyczącego jakiegoś faktu, albo też nakazu, innym razem zaś, jak zdarzyło się z drabiną Jakubową, może to być objawiony w symboliczny sposób Niewypowiadalny Aspekt Boga lub przepowiednia przyszłych zdarzeń, nie wyrażona wprost... W Piśmie nawet sny bezbożników są czasami narzędziem Bożego słowa i Bożej woli, nawet jeśli sam śniący ich nie rozumie albo nie pamięta...

To mogła być wizja. Jednak to, czego dopiero co doświadczył, mogło być pochodzącym wyłącznie od niego swoistym wyobrażeniem umysłowym, najgorszym rodzajem pokusy, które oznacza, że tkwi w nim diabeł.

Przemyka oczy i próbuje, ze wszystkich sił, przywołać wyspę, ale mimo wytężonych wysiłków nie potrafi sprawić, by powróciła. Możliwe, że to dobry znak, jeśli to jest bowiem rodzaj uczynionego przez człowieka wizerunku, o którym da się rozmyślać, któremu można oddawać fałszywą cześć, i tak dalej, to przecież pochodziłby on z jego wnętrza, co oznacza, że z pewnością zdołałby sprawować nad nim kontrolę, gdyby się zjawił?

Znowu podnosi wzrok. Przed nim widać tyły głów, atramentową niebieskość ostróżek, która mieni się jak tęcza, wpadając w fiolet w środku każdego kwiatu.

Pan Thorn zerka na zegar.

„Ktoś powinien się odezwać” - myśli Mark. Ślina napływa mu do ust, przęłyka ją. Serce wali mu w piersi jak oszalałe. „Nie - myśli - proszę” - i wreszcie napotyka wzrok pana Thornia, który wodzi oczyma od twarzy do twarzy. Usta Marka znów napęniają się śliną, a on wstaje, jakby do tego popchnięty.

- Uważam, że powinniśmy znaleźć wyspę i kupić ją, a potem wspólnie na niej zamieszkać - mówi na głos - miałem wizję, w której to ujrzałem. Trzeba nam własnego miejsca, z dala od świata Imitacji. Możemy więc żyć należycie, ale nadal pozostać otwarci.

Członkowie zboru obserwują go uważnie. Nagle są tu wszyscy - twarze, których zapowiedzią były tyły głów, wiele par oczu patrzących pod takim kątem, by zetknąć się z jego twarzą. Chcą, by przemawiał dalej. Ale słowa, które przyszedł mu tak zniecka, odpływają teraz równie nagle, zostawiając suchość w ustach i drżące kolana. Chwyta za oparcie stojącego przed nim krzesła i, nie spuszczać oka z pana Thorna, jak gdyby był tonącym pływakiem, który łapie linę, powoli siada. Jego ojciec bierze go w objęcia, kładzie ręce na tyle głowy Marka i przytula ją do własnej.

Po czytaniu wszyscy wychodzą na zewnątrz, by usiąść na świeżo skoszonej trawie, spożyć kwadraty komunii, a następnie niedzielny posiłek. Dla starszych wyniesiono krzesła, reszta siedzi na ziemi. Ciepły wietrzyk podwiewa brzegi serwet, koców i spódnic kobiet. Na gęsto obsianej grządce pod ścianą stodoły rośnie jeszcze więcej niebieskich ostróżek. Edith Thorn, w starannie wyprasowanej odświętnej bluzce, wyciąga rękę i kładzie ją na dłoni Marka.

- Wyraziłeś to, co wielu z nas nosi w sercu - mówi z uśmiechem - będziemy dużo rozmawiać o tych sprawach podczas Zgromadzenia Letniego. To, co nam powiesz, będzie naprawdę bardzo istotne.

Wstępnie ustalono, dodaje, że ponieważ tak wiele osób nie może odnowić paszportów, Zgromadzenie odbędzie się tym razem w pobliżu Hunmanby na Wschodnim Wybrzeżu. Trwają rozmowy z właścicielem, który zezwoli im na używanie swoich terenów przez tydzień. Zapewnia prywatność, dostawę wody, przenośne toalety i wywóz śmieci. Proponuje rozsądną cenę...

- Czy dobrze się czujesz? - pyta Edith, muskając jego czoło. - Może byś się położył?

Idzie więc za nią z powrotem do domu, wchodzi na górę do zacienionego pokoju; pozwala, by przyniosła mu szklankę wody. Z całą pewnością, rozmyśla, pijąc małymi łyżkami i patrząc, jak wiatr wciąga firankę do wnętrza pokoju i znów ją rozwiewa, coś się mu przydarzyło. Przypomina sobie historię Tuomasa Envalla, który trzymał za ręce umierającego mężczyznę. Oczywiście, jemu nie

przytrafiło się coś równie wielkiego, ale niewykluczone, że były to tego samego rodzaju doświadczenia - „rodzaj rozgrzanego do białości żaru, który nie spala”.

- Przynajmniej - mówi Barbara w tamto popołudnie koło domu - nie czeka nas ta przeprawa promem. Nigdy jej szczególnie nie lubiłam. Poza tym wszyscy będą mówić w tym samym języku, co na pewno przyniesie same korzyści.

- Ty się prawie cieszysz - odzywa się Mark tonem, z którego jasno wynika, co sądzi o takiej postawie, choć początkowe natężenie emocji osłabło, zostawiły po sobie jakiś ślad, który go krzepił.

- Ja tylko staram się spojrzeć na to z jak najlepszej strony, kochanie - nasunęła na okulary osłonki przeciw słoneczne; wystawia ramię za okno samochodu i łapie koniuszki żywokostu i wyki, kiedy przejeżdżają przez wąskie dróżki.

Tego wieczoru, kiedy Mark jest w kuchni, a jego rodzice siedzą nad resztkami kolacji, słyszy wyraźnie, jak matka mówi do ojca, że chciałaby zaprosić Natalie na Zgromadzenie Letnie.

- Tę rudowłosą dziewczynkę?

- Jest jedynaczką.

Przerwy między zdaniem wydłużają się, wydaje się, że nie ma między nimi związku, jakby prawdziwa komunikacja między rodzicami odbywała się inną drogą.

- Czy ona w ogóle okazuje jakieś zainteresowanie?

- Ależ ona tak lubi z nami przebywać...

Po kolejnej długiej pauzie ojciec pyta od niechcienia:

- A co na to jej rodzice?

Niewłaściwe pytanie, przeczuwa Mark. Wraca do pokoju; przysunęli krzesła bliżej i trzymają obie dłonie na stole, splatając palce. Ojciec uśmiecha się do Marka dziwacznie, wręcz głupkowato.

- Nie - odzywa się Mark - nie proście jej.

Wpatrują się w niego.

- Ona wszystko popsuje - oznajmia autorytatywnie, jak wtedy na Nabożeństwie, gdy „powiedział to, co! wielu nosi w sercu”.

Zwraca się do ojca, sprowadzając matkę do niejasnej obecności na obrzeżach swojego pola widzenia.

- Ona wywoła rozłam wśród nas - oświadcza i czuje to, o czym mówi, jakby dziewczynka miała się zaraz zmaterializować z gęstniejącej ciemności i lada chwila pojawić w tym pokoju, rozglądając się, chłonąc wszystko łapczywie dla siebie tylko znanych, niepojętych celów.

- Nie mam pojęcia, dlaczego taki jest - mówi Barbara - może to z zazdrości.

Gładzi delikatnie kciukiem grzbiet dłoni męża.

- Nie dlatego. Ja po prostu wiem - broni się Mark. Ona już to zaczyna robić.

Barbara przerywa mu:

- Czy to kolejna wizja? - pyta. - Czyż nie należy przyjąć obcego, który nas usilnie poszukuje? Sam Chrystus nikogo nie odprawił. Czyż nie powiedział On...

- Proszę - głos Marka grzęźnie mu w gardle, a gdy znowu się wydobywa, jest słaby i cienki, zupełnie jakby to, co decydowało o właściwym dźwięku, uległo jakiemuś uszkodzeniu. - Ona czegoś chce. I po prostu to sobie weźmie.

- A cóż by to mogło być? - pyta ojciec. - Czy nie przypadkiem Łaska Pana?

- Cokolwiek by to było - odzywa się Barbara - nawet jeśli tylko pragnie naszego towarzystwa, czy nie możemy jej tego ofiarować?

John rozplata dłonie, składa je razem. Zamyka oczy, nasuwając blade powieki jak żaluzje, by lepiej słyszeć swój wewnętrzny głos. Mark nie ma wyjścia, musi patrzeć hardo na matkę, usiłując wywrzeć na nią nacisk, by przyznała się do swej dwulicowości, by ustąpiła w ostatniej chwili. Ale to beznadziejne. Jest przerażony, lecz nie czuje zdziwienia, słysząc, jak ojciec

mówi:

- Będzie to, rzecz jasna, zależało od opinii jej rodziców. Jeśli tylko ona wczuje się w ducha... Taak, w końcu mamy cztery miejsca w przyczepie. - Znowu sięga po dłonie żony, spogląda na nią, obserwując jej mimikę i nieświadomie naśladowując mniejszymi, czerwieńszymi niż jej wargami uśmiech, jaki wykwita na jej twarzy.

Następnego dnia rano w najlepszej kremowej torebce Barbary spoczywa list zaadresowany do „Pani S. Baron”. Jej twarz wygładziła się i wypełniła, jak po wyjątkowo dobrze przespanej nocy. Ma na sobie zieloną spódnicę i stanowiącą komplet bluzeczkę z krótkimi rękawami, obie uszyte, jak zwykle, własnym sumptem, ale za to eleganckie. Kiedy luźno puszcza za sobą błękitną bramę, która, chwiejąc się, w końcu się zatrząskuje, nuci coś pod nosem i rusza różnym krokiem wzdłuż alei. Przekwitły już konwalie i pruszniki, a ich płatki leżą teraz w bladoróżowych i błękitnych stertach na chodnikach i pasach zieleni przy drodze. Swe kwiaty rozchyliły za to szczodrzenie i piwonie.

Niewiele kwiatów rośnie w obrębie osiedla. Numer 88 to dwurodzinny dom o spłaszczonym froncie i murach, których świeżą zaprawę obsypano żwirem; z drzwi wejściowych schodzi, łuszcząc się, kasztanowa farba, zapewniana przez fundusz socjalny. Stojąc po drugiej stronie ulicy, Barbara obserwuje żylastego mężczyznę o okrągłej głowie, który siecze gęstwinę jeżyn i orlików wylewających się przez ogrodzenie i sięgających powyżej parapetów okien parteru. Żwawo się uwija, mimo to] efekty jego pracy są mizerne, tak bujna stała się wegetacja. Gdy go obserwuje, on odrzuca sekator i zaczyna wrywać krzewy dłońmi w rękawicach. Powietrze gęstnieje od unoszącego się w nim puchu z ostów i dmuchawców. Barbara przechodzi przez ulicę i staje przy ogrodzeniu.

- Przepraszam - czy pan Baron? - powtarza to kilkakrotnie, zanim ten w ogóle ją zauważy.

- Nie - obraca się przodem, pocąc się obficie, ma zaciśnięte pięści i

wszystkie bruzdy na twarzy aż czarne od pyłu - nie, o ile mi wiadomo! - i dodaje: - Jestem tylko ogrodnikiem, i tyle - z jego gardła wydobywa się gwałtowny hałaśliwy dźwięk, coś pomiędzy śmiechem i kaszlem. Ręce aż po łokcie ma podrapane i krwawiące, oczy dalej błyszczą od wysiłku, jest zły, domyśla się Barbara, bo te krzewy kosztują go stanowczo więcej roboty, niż powinny.

- Widzę, że ma pan co robić! - mówi więc. - Ale to tutaj mieszka pani Baron, prawda?

Wokół ramienia mężczyzny, uzmysławia sobie Barbara, wije się w licznych splotach wytatuowany wąż. Dostrzega jego głowę - wybałuszone oczy, rozwarte szczęki, czerwoną paszczę, rozwidlony język; mruga i przesuwa z powrotem wzrok na twarz mężczyzny, fala gorąca uderza jej własną i oblewa policzki rosnącym rumieńcem. Takie objawy może u niej wywołać dosłownie byle co.

Mężczyzna gapi się na nią i szczyrzy zęby w uśmiechu. Ona nie może odwrócić spojrzenia, inaczej znowu zobaczy wizerunek węża.

- Szukam pani Baron - nie daje za wygraną. - Czy jest w domu?

- Z tego, co wiem, to nie - odpowiada.

- Jeśli nie ma pan nic przeciwko, to sprawdzę.

Stąpając ostrożnie, by wyminąć niesforne pędy jeżyn, wchodzi na niewielki ganek. Okna domu pokrywa gruba warstwa kurzu. Na drucianej półeczce poniżej brudnej szyby z matowego szkła stoi rząd oblepionych glonami butelek po mleku. Nie ma ani dzwonka, ani kołatki, więc wali w drzwi pięścią. Potem wpycha list przez szparę w drzwiach.

- Dziękuję - mówi.

Mężczyzna odprowadza ją wzrokiem aż do bramy.

- To ja dziękuję - odpowiada łagodnie, kiedy Barbara zamyka bramę.

Czuje na sobie jego spojrzenie jeszcze wtedy, gdy wraca dokładnie tą trasą, co poprzednio, przechodzi Przez ulicę, idzie dalej po łagodnym

nachyleniu terenu, znika mu z pola widzenia, mijają wiele podobnych domków dwurodzinnych, w końcu opuszcza osiedle.

„Baronowie - mówi do siebie - musieli całkiem i niedawno się tu wprowadzić z jakiejś innej okolicy. Widać, że nie najlepiej się im wiedzie. Pani Baron pracuje w jakichś dziwnych godzinach, a jej matka, czy też któraś z ich matek, choruje. Ale robią, co w ich mocy, próbując okiełznać to nowe miejsce... Na pewno im ulży, jak będą mieli dziecko na tydzień z głowy”.

Przy rozstajach dróg stoi na trawiastym poletku drewniana ławka z tabliczką. Barbara siada, zsuwa buty, przymyka oczy i zaczyna odmawiać modlitwy, nie uczyniła bowiem tego wcześniej. „Panie - prosi - pozwól, bym dobrze dokończyła to, co zaczęłam”. Następnie modli się za Johna. Przez siedemnaście lat małżeństwa gruntownie poznała jego siłę woli. Czasem sądzi, że jest ona zbyt duża. Tak jak jego lojalność wobec żony. „Ale - zwraca się do Boga - wiem przecież, że są rzeczy, które nie ulegną zmianie. W miarę jak się starzejemy, one umacniają się, zagłuszając inne, nieistotne cechy. Jestem na to przygotowana. Składam Ci dzięki za moje małżeństwo”, przemawia do Niego, zwracając twarz ku słońcu; nadal ma zamknięte oczy. Nie wspomina jednak Bogu, że czuje się szczególnie wdzięczna za fizyczną jedność między nimi: za to, że potrafi, nawet w tym wieku, nawet wbrew jego woli, doprowadzić tego trudnego człowieka, jakiego sobie wybrała, do takiego porozumienia, kiedy te inne różnice przestają się w ogóle liczyć... Uśmiecha się, nadal zaciskając mocno powieki i trzymając ręce złożone jedna na drugiej na kolanach; przez ramię przewlokła pasek leżącej obok torebki.

„Niech nie bierze wszystkiego zbyt poważnie do serca - modli się. - A co do mego syna - wybaczyć mu, proszę. Normalnie nigdy się nie skarży - przypomina Bogu. - Z radością wypełnia Twą wolę na wszelkie sposoby. Ciężko pracuje”. Myśli o wszystkich wydarzeniach sportowych, meczach futbolu i krykieta, na których kibicowała; przed oczyma staje jej widok Marka, nurkującego w powietrzu, by schwytać piłkę, czy składającego się przy skoku

wzwyż, czuje zapach skoszonej trawy, gdy siedzieli na drewnianych krzeselkach lub na kocyku na słońcu, pamięta nietrwale kubki papierowe z ciepłym sokiem ze świeżych cytryn, poskręcane wstążeczki na ich mosiężnych odznakach, niemal wędzony zapach jego skóry, gdy kończyło się lato... Wzdycha, zmienia ułożenie stóp, przypomina sobie spojrzenie, którym ją obrzucił tego ranka, gdy wsiadał na rower, by pojechać do szkoły. „Pomóż mi uporać się z jego obecnym cierpieniem, choć nie wiem, co dokładnie przeżywa”, prosi.

Większa część modlitw już jest za nią.

Pozostaje jej tylko podziękować za czas, który spędziła z córeczką, którą On postanowił jej zabrać.

„Nie chcę dziś wymieniać jej imienia...” mówi Mu. Składa dzięki za wspomnienia, które wygładza od lat, przechowując je niczym kamyki nazbierane na plaży podczas krótkiego spaceru. Granatowe oczka, jakimi szukała oczu matki, a gdy znalazła, wpatrywała się w nie i nagle powoli usteczka rozszerzały się w pokazującym dziąsła uśmiechu. Bezustannie prostujące się paluszki. Uścisk całej małej dłoni, chwytającej jej palec. Woń czubka główki, podobna do świeżo upieczonego ciasta. Gęste, choć miękkie włoski, z jakimi się urodziła, brązowe (choć teraz zaczyna się jej zdawać, że były rudawe). To, jak jej buzia odprężała się po nakarmieniu mlekiem, jej miękki ciężar, gdy spała.

„Ale - wyjaśnia Mu, nie otwierając oczu, marszcząc brwi - kiedy dziecko żyje, nie musi się zabierać tych kamyków ze sobą. Wszystko wciąż trwa. Po prostu zostaje się na plaży”. Zaciska dłonie, przygryza wargę - właśnie to musi dźwigać przez całe życie, ten ciężar na plecach, dziurę w sercu. Gdy modli się, tak twierdzi John, Powinna Mu dziękować nawet za to, za ten promyczek, który skrywa się w najciemniejszej chmurze cierpienia, jeśli tylko potrafi go odnaleźć - więc dodaje: „Ty wiesz, jak bardzo się starałam”.

Jednak prawdopodobieństwo, że będzie kiedykolwiek nosić w sobie

kolejne dziecko, zmniejszyło się o połowę, po czym znów o połowę, aż w końcu skurczyło się do takich rozmiarów, że nie wchodziło w rachubę, aż pojawiła się u jej bramy ta dziewczynka.

„Teraz - mówi Barbara do Boga - teraz, po wszystkich tych latach, chyba, tak myślę, już dość długo to znosiłam. Uwolnij mnie”.

10

- Dzieci bardzo łatwo się przystosowują - mówi pani Peltoniemi, przekwitła piękność, która ma zwyczaj potakiwać powoli głową na początku każdego zdania, jakie wypowiada. - To naprawdę jest bardzo porządne wykształcenie. Nasze dzieci świetnie sobie radzą na sprawdzianach. Mają silny zmysł analityczny, znakomitą pamięć - uśmiecha się, podnosi rękę, by pomachać szczerze opatulonej gromadce dokazującej na placu zabaw. Z pewnością szkoła nie jest tak zła, jak się wydaje z zewnątrz. Pomalowano ją na żywe kolory i ozdobiono dra-periami w abstrakcyjne wzory, liczby, alfabety i tak dalej. Dzieci biegają i krzyczą jak inne dzieci. Wszystkie takie same, zbija mnie to z tropu: małe klasy grzecznych, przeważnie jasnowłosych dzieci, którym bez wyjątku „dawano dobry przykład”, a jeśli okazało się to konieczne, „odwodzono” je od czynienia wizerunków, zachęcając w zamian do pasjonowania się geometrią. Pani Peltoniemi patrzy, jak ja patrzę na nie.

- Rodzice i nauczyciele reagują na to tak, jakby to uczynili w przypadku innych rodzajów niepożądanego lub niebezpiecznego zachowania - wyjaśnia. - Ignorują, robią kwaśną minę, kręcą głową, może na chwilę powstrzymują się od pochwał. Oczywiście komuś z zewnątrz trudno to zrozumieć. Powszechne są wśród naszych dzieci wyjątkowe uzdolnienia muzyczne. Badania wykazały, że ich możliwość koncentracji przewyższa przeciętną. Powiedziałabym, że ogólnie rzecz biorąc, doznają mniej niepokojów niż przeciętne dziecko naszych czasów. Ale, zdaje się, że obecnie nie ma wielkiego zapotrzebowania na takie cechy...

Kiedy stamtąd wychodzę, z którejś klasy wylewa się śpiew chóru - jakiś

współczesny utwór z ćwierćtonami i długimi pauzami, tak piękny, że włosy stają na głowie.

Gdy wynurzam się później z supermarketu, z torbą wypełnioną sałatką, wędzonym sandaczem i chlebem, od razu zauważam Christinę. Idzie w przeciwnym kierunku - nie przestajemy na siebie patrzeć, a ja cały czas myślę, że powinnam jej coś powiedzieć, ale nie wiem co. Zrównujemy się i wtedy następuje powitanie, coś w rodzaju skinienia głową: prawie tak, jakby ona nigdy nie zastukała do mych drzwi, nigdy nie przysyłała tych listów. Nagle Christina zatrzymuje się i woła mnie po imieniu.

- Natalie - musimy porozmawiać.

Też przystaję i lekko się obracam, by nie tracić jej z pola widzenia, ale nie odzywam się.

- Dostajesz moje listy? - pyta pogodnie, jakby to była zwyczajna poczta.

- Owszem.

- To dobrze. Wysyłam mojego najmłodszego, Pekkę, by ci je dostarczał. Nigdy nic nie wiadomo! Choć w sumie to dobry chłopak. Chodził do tej szkoły, z której właśnie wracasz. - Rzuca mi na wpół ostre, na wpół zamyślane spojrzenie.

A ja po prostu stoję i nie spuszczam jej z oka.

- A co sądzisz o tym, co piszę? - pyta. - Czy udało mi się do ciebie dotrzeć? Wiesz, ja tylko próbuję ci pomóc.

Pomóc? - Tak naprawdę, to się zastanawiam, czy nie powiadomić policji - odpowiadam. - Ludzie, z którymi o tym rozmawiałam, uważają, że nie jest to konieczne, ale wciąż mogę to zrobić. Widzisz, ja sobie nie życzę żadnych listów od ciebie. Proszę cię, daj spokój.

Unosi ręce na wysokość talii, pokazując wnętrza dłoni, jak gdyby dosłownie chciała mnie powstrzymać, żebym nie podchodziła bliżej. Jakby to ze mną było coś nie w porządku. A wtedy zupełnie się wycofuje, znienacka rozplýwa się w uśmiechu.

- Musisz wpaść kiedyś na kawę. Pogawędzić - mówi ochoczo, niemal ciepło; macha ręką na pożegnanie i kieruje się w stronę apteki, zostawiając mnie tam, gdzie stałam.

Być może od czasu do czasu szwankuje w jej psychice coś, co pomaga jej utrzymać się w stanie równowagi przez całą zimę. Heikki Seppa sugerował sezonowe zaburzenia afektywne, ale wygląda to na poważniejszą sprawę. Czy ona ma zamiar wziąć odwet i mnie zranić? Czy sądzi, że może mnie przywieść na łono wspólnoty i że to w jakimś stopniu wszystko naprawi?

W domu jem kanapkę z sandaczem, dzwonię do matki. Popołudnie jakoś się wlecze. Dociera do mnie, że wyobrażam sobie Elojoki w czasach Tuomasa. Jakże mała miejscowość: ze wschodu nacierał na nią las, z zachodu morze, a nad nimi piętrzył się ogromny, tęskny łuk nieba - dołem biegła przez nią zaledwie jedna ulica, nie mieli też porządnego sklepu aż do 1872 roku. Musiało zatem być stosunkowo łatwo kontrolować wszelkie nowości, odrzucać je, zamazywać obrazki na etykietach gęstą ochrą. I choć fotografia istniała od nieco ponad dwudziestu lat i zdążyła już wywołać debaty i kontrowersje (co prawda, wedle Tuomasa Envalla, nie dość radykalne), i choć czas naświetlania klisz skracał się wraz z każdym miesiącem, i choć w większości miasteczek istniały atelier fotograficzne i wkrótce większość duchownych uznała, że muszą koniecznie dać się sfotografować - pomimo tego wszystkiego sporządzanie tych coraz bardziej realistycznych wizerunków i oglądanie ich wymagało w owych czasach zgody i niemałego wysiłku. Pierwszy publiczny pokaz ruchomych obrazów odbył się, co prawda, niedługo potem, jednak zdarzyło się to na drugim końcu świata, w Kalifornii.

Tuomas nie dożył już tych wieści. „Człowiek nigdy się nie zmienia, ale jeśli poddaje się woli Boga, staje się tak naprawdę sobą”, napisał tuż przed swą nagłą śmiercią w wieku sześćdziesięciu sześciu lat; odszedł w ziemie pod gołym niebem, gdy rąbał drwa. Jego córka Mustikka przez mniej więcej rok pełniła funkcję nieoficjalnej przywódczyni ruchu, który się teraz rozprzestrzeniał,

choć nie garnęły się do niego tłumy, docierając na samo południe kraju, a także do Kanady, Australii, Afryki Południowej i Anglii.

Do przedmiotu moich badań przyciągnęły mnie, oczywiście, względy osobiste, lecz równocześnie ten temat sam w sobie zaczął mi sprawiać przyjemność. Jedną z rzeczy, które najbardziej mnie cieszą, jest to, że jakieś spójne zasady wiary, jak te stworzone przez Envalła, przetrwały aż do dziś, opierając się wszelkim przeciwnościom losu. Nie kieruję się sentymentami - podziwiam upór. Cenię tę wiarę w podobny sposób, w jaki ceni się dobry żart albo szczególnie trafną ironię, jako dowód na to, jak pokrętne i nieodgadnione są w gruncie rzeczy motywy naszych serc.

Kiedy w końcu postanawiam się położyć, przyłapuję się na tym, że zerkam w stronę drzwi, sprawdzając, czy je zamknęłam na klucz i czy przyszedł jakiś list.

Pamiętam, jak kiedyś też wypatrywałam listów. Udawałam, że nasz telefon nie działa, więc Barbara stwierdza, że będzie do nas pisać. Kiedy znalazłam kopertę, zabrałam ją od razu na górę do swego pokoju i natychmiast zdałam sobie sprawę, że potrzebuję czyjejs pomocy.

11

Penelope Cole już mnie nie uczyła, ale uważałam, że właśnie ona najlepiej się nadaje. Siedząc ze spuszczoną głową, poprawiała prace uczniów; stałam tak blisko, że widziałam pojedyncze włosy, białe i czarne, tworzące w sumie siwiznę. Tkwiłam przy jej biurku, przestępując z nogi na nogę i pragnąc, żeby tylko uniosła wzrok i się uśmiechnęła.

- Przepraszam, panno...

Pamiętała mnie, oczywiście. Inni nauczyciele przeważnie też: moje niezwykle włosy, matowy, prawie niedosłyszalny ton, którego używałam, kiedy zmuszono mnie do czytania na głos, moje wypracowania upstrzone błędami w dziecinnie prostych wyrazach, za to idealnie poprawne ortograficznie w

przypadku dłuższych słów, mój nawyk gapienia się z niezmaconym spokojem w przestrzeń podczas sprawdzianów, tak jakby mnie w ogóle nie dotyczyły, to, że nie próbowałam nawet przystąpić do rozwiązywania zadań.

- Natalie Baron? Ach, tak.

W tym samym czasie, ponieważ siadałam zazwyczaj w przednim rzędzie, moje oczy błędziły po twarzy nauczycielki, prawie napotykałam jej spojrzenie z jakieś dwadzieścia razy w ciągu jednej lekcji; w momencie, w którym nasze spojrzenia się niemal krzyżowały, uciekałam wzrokiem, odciągając resztki jej uwagi, znów kierując spojrzenie na jej twarz, kiedy tylko odwracała wzrok...

Właśnie ze względu na takie zachowanie i moje nagle przypląwy zainteresowania (przykładowo jakimś tematem z historii czy danym eksperymentem z fizyki), kiedy to gromadziłam wszelkie dane, zgłaszałam się z entuzjazmem do odpowiedzi, błagałam wręcz, by pozwolono mi na swój własny wkład w lekcję. Nawet gdy jakiś przedmiot mnie nudził, zawsze starałam się uczynić go interesującym, chciałam się czegoś dowiedzieć, czegokolwiek, gotowa, by zadawać pytania, i uważnie słuchająca odpowiedzi, udzielanych w taki sposób, jakby zależało od nich życie: ze względu na to wszystko udało mi się jakoś przekonać nauczycieli, że mimo nie odrabianych zadań domowych, pustych arkuszy papieru oddawanych na sprawdzianach, „ślepoty słownej” i udawania Greka - mimo tego, że swym postępowaniem doprowadzałam ich do takiego stanu, że mieli ochotę z rozpaczy wyrwać sobie włosy - może jednak zasługuję na to, by się mną przejmowali.

Stałam tam, z brudnymi paznokciami, bawiąc się trokami ściągającymi moją workowatą torbę.

- Słucham, Natalie?

- Wygląda pani na zmęczoną - powiedziałam nie zbyt głośno, wycierając dłonie w sukienkę. Niedawno zo stała przedłużona, ale dotąd nie zaprasowano widoczne go zagięcia materiału.

- Bo tak jest, Natalie - odparła Penelope Cole, do dając, co nie było żadną

tajemnicą, mimo wszystko jednak coś, czego z pewnością nie powierzyłaby innemu dziecku, że dzieje się tak, ponieważ jej siostra Josephine, którą się opiekuje, jest obecnie w szczególnie złym stanie i wymaga troskliwej opieki przez całą noc. Penelope musi więc poprawiać zadania w czasie przerw na obiad, zamiast siedzieć z resztą pedagogów w pokoju nauczycielskim.

Podczas gdy jej siostra kurczowo czepiała się resztek godności na poziomie samej cielesności, Penelope Cole, która ze względu na swe zdolności równie dobrze mogła stać na czele jakiegoś departamentu, kurczowo czepiała się posady w szkole niczym krawędzi urwiska. Była tak chuda, że przez całą wiosnę przenikał ją chłód. Jej twarz zorały zmarszczki, powstałe na skutek nieustannego mówienia, a policzki się zaczerwieniły i spierzchły od wiatru; codziennie dojeżdżała do pracy na rowerze, pokonując ponad dziewięć kilometrów, nigdy się nie wysypiała, a teraz jeszcze czekało ją poprawienie trzydziestu trzech zeszytów w czterdzieści cztery minuty.

- Chodzi o coś, co mam napisać - oznajmiłam. - Pomoże mi pani?

- Naprawdę nie mam za dużo czasu, Natalie - wskazała na stos zeszytów, ale ja już zdążyłam położyć swój umorusany worek na jej biurku i sięgałam do jego środka. - Pani Jay nie może ci pomóc?

- Nie, nie może. - Podałam jej kopertę; zaadresowano ją do pani Baron, a tam, gdzie powinno przykleić się znaczek, widniał dopisek „Przez grzeczność”; koperta, rzecz jasna, była wcześniej otwarta.

Panna Cole oddała mi ją.

- To do twojej mamy. Nie powinnaś...

Wyjęłam list z koperty i rozłożyłam go na dzielącej nas płaszczyźnie biurka.

- Poprosiła mnie, żebym zapytała - rzekłam, omiatając jej twarz spojrzeniem, niemal namacalnym; takie zbliżenie wywoływało w Penelope uczucie oscylujące między przyjemnością i skrępowaniem, tak jakby ktoś pocierał brzeżkiem papieru o skórę; takie zachowanie wy starczało, że nawet nie

próbowała brać pod uwagę samej możliwości kłamstwa oraz że powinna na wszelki wypadek to sprawdzić. - To dotyczy mnie. Jest tu zaproszenie. - I bez pytania odczytałam list, a czytałam dobrze, chociaż powoli, zająknawszy się zaledwie parę razy. Panna Cole pochyliła się do przodu i włączyła w czytanie od drugiego akapitu, czekając, aż dotrę do końca pierwszego:

Prosilibyśmy Panią, oczywiście, o wyrażenie zdania na ten temat i pozwolenie. Pojechalibyśmy samochodem z przyczepą, w której są miejsca dla czterech osób. Powrót planujemy na czwartego sierpnia. Jest to, naturalnie, wyjazd o charakterze religijnym, jednak nie będziemy wywierać żadnego nacisku na Natalie, będzie miała za to mnóstwo czasu, by cieszyć się pobylem na wsi i bawić na świeżym powietrzu z innymi dziećmi.

Mam nadzieję, że wyrazi Pani zgodę, w każdym razie jednak byłoby miło, gdybyśmy mogli poznać Panią i Pani męża, jako że Państwa córka tak dużo u nas przebywa. Jeśli sądzi Pani, że Natalie może jechać, z pewnością chce nam Pani zadać jakieś pytania. Jestem w domu w każde popołudnie, a mojego męża można zastać wieczorem i w soboty.

Z wyrazami szacunku, Barbara Hern

- Świetnie przeczytane! - wykrzyknęła panna Cole. Sięgnęła po pióro. - Jak to miło, że cię zapraszają!

- Problem polega na tym - powiedziałam - że moja matka ma kłopoty z pisaniem, tak jak ja. A nawet większe. Zwykle po prostu lekceważy przychodzącą do nas pocztę. Możemy poprosić sąsiadów, ale ona nie chce, żeby wiedzieli o naszych sprawach. Rozumie pani? - spytałam.

- Ależ rozumiem - odparła panna Cole.

- Mówi, że mogę jechać, ale muszę sama napisać list. Jeśli ładnie napiszę odpowiedź, ona się tylko podpisze na końcu. - Moja twarz zwiotczała, a oczy rozszerzyły się w lęku przed rozczarowaniem. Głos przycichł i stał się cieńszy. - Nie wolno mi zrobić żadnych błędów - oświadczyłam - żadnych.

Temu nie można się było oprzeć: panna Cole odsunęła na bok zeszyty,

otworzyła biurko i wyjęła ryzę dobrej jakości papieru.

- Postaraj się jak najlepiej - przykazała mi - a potem razem sprawdzimy.

Pod koniec przerwy ustaliłyśmy tekst listu: praca zbiorowa, jak to określiła panna Cole. Skorzystałam na przykład z jej rad, by moja matka nie zwracała się do Barbary jako „Barbary”, lecz „Pani Hern”, i lepiej napisać zwyczajnie „to bardzo uprzejme”, a nie „to bardzo, bardzo uprzejme”.

We wtorek i środę, podczas gdy panna Cole poprawiała zadania uczniów, próbowałam poprawnie przepisać list i za każdym razem ponosiłam klęskę, popełniając coraz to inny błąd, co doprowadzało mnie do szału. Słowo „wspólny” straciło kreskę nad „o”, za to w „muszę” „u” zamknęło się, zyskując kreskę. „Zająć” stało się zwierzęciem, „uda” przeszło poetycką metamorfozę w słowo „oda”, a „naraz” chciało się rymować z „taras”. Dużo czasu minęło od podjęcia pierwszych prób.

Droga Pani Hern, to bardzo miło z Pani strony, że zechciała Pani zaprosić Natalie na wspólny wyjazd do Hunmanby. Bardzo się cieszę, że będzie mogła wyjechać na wakacje. Byłoby wspaniale, gdybyśmy mogły się spotkać, ale niestety ostatnio jestem bardzo zapracowana i muszę się zająć wieloma sprawami naraz. Mam nadzieję, że uda się nam coś wymyślić przed czwartym sierpniem. Raz jeszcze dziękuję za przemiłe zaproszenie.

Z wyrazami szacunku

Chciałam wybuchnąć, zrobić kulę z papieru, zmiąć, wyrzucić przez otwarte okno, pozwolić, by znikła na tle pogodnego błękitu nieba - wiedziałam jednak, że potrzebuję tego listu; muszę przepisać bez błędów. Poczułam się jak w potrzasku, podobna do dziewcząt z baśni, którym kazano sprostać pozornie niewykonalnym zadaniom: policzyć wszystkie ziarna jęczmienia w stodole, uszyć koszulę nocną bez użycia nitki, sporządzić parę butów dla olbrzyma ze skórek sardynek, prząść złoto ze słomy. W opowieściach tych, oczywiście, zawsze się włącza do pomocy jakaś siła nadprzyrodzona, matka chrzestna, która jest wróżką, albo jakieś zwierzątko, któremu niegdyś okazano serce. Ale

Penelope Cole była tylko nauczycielką.

- Jest o wiele lepiej niż wtedy, kiedy zaczynałyśmy! - mówiła. - Bardzo się cieszę.

W piątek panna Cole stwierdziła, że sama przepisze list, bardzo wyraźnie, więc będę musiała go tylko dokładnie skopiować. Przyniosła mi też z domu specjalny papier czerpany i poleciła, żebym umyła ręce, zanim zacznę pisać.

Owego dnia panna Cole nie miała nic do poprawiania, mogła więc pójść do pokoju nauczycielskiego, zaparzyć sobie filiżankę kawy i zjeść do tego pasztet domowej roboty i kanapki z sałatą. Lecz została w klasie, by dotrzymać mi towarzystwa, gdy pracowałam, pisząc po jednej literce; kładąc pióro na odpowiednie miejsce na papierze, spoglądałam na tekst po prawej, po czym przenosiłam kształt litery jak napelnione po brzegi wiadro. Odkryłam, że dziwnie mnie to uspokaja, czynność ta pochłaniała mnie więc przez całe minuty. Panna Cole siedziała nieruchomo przy biurku i poddawała się zapętleniom i rozgałęzieniom, którymi płynął ten wycinek ogromu czasu, jego prądom, które napierały i rozdzielały się, po czym prostowały na koniuszku pióra, prowadzonym przez dziecko po papierze... Obserwowała to i rozmyślała o własnym życiu, które w jej mniemaniu dzieliło się na dwie części: tę wcześniejszą, krótszą, i tę późniejszą, znacznie dłuższą i cięższą. Ale w tej chwili czuła, że niczego nie zdoła zmienić.

Drewniane krzesło skrzypiało. Zbliżyłam się do biurka z arkusikiem papieru, który ostrożnie trzymałam za brzeżki. Żołądek podszedł mi do gardła; chyba obie myślałyśmy, że tym razem się powiodło... A gdy skończony list leżał na jej biurku i zdawało się, że nareszcie się nam udało - wtedy panna Cole pochyliła się nad kartką i, uśmiechając się, wypatrzyła, prawie pod koniec, starego wroga, który znieacka powstał z martwych, „rza” zamiast „raz”, po czym spostrzegła, że, jakby z czystej perwersji, wynalazłam zupełnie nowy gatunek błędu, przepisując „N” we własnym imieniu jak lustrzane odbicie.

Wyjątkowa schludność mojego charakteru pisma sprawiała, że te przyziemne pomyłki rzucały się w oczy o wiele bardziej, niż by to dotyczyło innej sytuacji. Panna Cole westchnęła. Czy nie mogła po prostu udawać? Niestety, tego nie robiła nigdy, nawet w ważnych sprawach; było jej to całkowicie obce.

- Najważniejsze - oznajmiła mi - że zrobiłaś postępy. A całkiem możliwe, że jakbyś tak bardzo delikatnie poprawiła...

- Musi być idealnie! - oświadczyłam.

- Możemy znowu spróbować w poniedziałek - rzekła, a ja ściągnęłam lekko brwi, niczym sędzia, który właśnie ma ogłosić wyrok, lecz czeka na strzęp okoliczności łagodzących. Wyciągnęłam rękę, pachnącą jeszcze różowym mydłem odkażającym, które umieszczano w szkolnych toaletach i wzięłam list przepisany na czysto przez Penelope Cole. Choćbym nie wiem co napisała, i tak zawsze będzie lepszy, bo miała charakter pisma dorosłej osoby, ja zaś stawiałam duże litery i za mocno przyciskałam.

- Poniedziałek to za późno. Czy mogę więc go zabrać? - spytałam, a wtedy czar prysł, bo Penelope powiedziała nagle:

- Nie.

Żałuje, ale po prostu nie uważa za stosowne, wyjaśnia, by napisany przez nią list opuścił szkołę. Zabrała go z powrotem i razem ze wszystkimi rzeczami włożyła do swojej szuflady na dzienniki.

- Jeśli to takie ważne - zauważyła - to czemu twoja mama tam nie zadzwoni? - Sięgnęła po pojemnik na kanapki i położyła go na biurku. - Głodna? - spytała, rozkładając papierową serwetkę i rozwijając kanapki.

Wzięłam jedną, wgryzłam się w nią, i przełknęłam gniew razem z kanapką.

- Dlaczego są takie ciężkostrawne? - spytałam. - Co to za zapach cebuli? Kto je robił?

- A dlaczego pani dalej mieszka z siostrą? - spytałam nieco później.

- Bo tak - Penelope Cole nabrała jedzenia do ust, by nie wygadać się z

czymś, z czym nie powinna. - Moja siostra sama piekła ten chleb - powiedziała.
- Jesteśmy bliźniaczkami. Nadal mamy takie same oczy - dodała.

Dziecko i kobieta, obserwowałyśmy jedna drugą. Nasza uwaga nieustannie zmieniała natężenie, nacierałyśmy na siebie wzrokiem, by potem odwracać go i nie zajmować się początkiem tego, co właśnie zostało ukryte. Nie było zgody na patrzeć sobie prosto w oczy, lecz nie było też zgody na odejście. „Czego - zwracała się do mnie w myślach Penelope Cole - chcesz ode mnie?” A ja nie mogłam odpowiedzieć, bo najzwyczajniej nie Umiałam tego nazwać. We dwie przeżuwałyśmy i połykałyśmy, patrzyłyśmy i wyczuwałyśmy kształty tego, czego nie sposób było wypowiedzieć.

W poniedziałek opuściłam umówione spotkanie z panną Cole. We wtorek zatrzymała mnie w korytarzu.

- Ach - powiedziałam, zanim dałam się ponieść fali - po prostu zadzwoniłyśmy, tak jak pani mówiła.

Panna Cole nie wiedziała, że widziała mnie wtedy po raz ostatni. Ale może właśnie dlatego, że doznała rozczarowania i smutku, który z pewnością stał się jej udziałem, gdy dotarło do niej, że przerwy obiadowe z całego tygodnia spełzły na niczym, zwróciła na mnie baczną uwagę, jak się zwykle dzieje, kiedy ludzie świadomie się żegnają. Burza włosów i upstrzona piegami przeraźliwa biel karnacji: „Dziecko - pomyślała - powinno mieć eteryczny, zwiewny wygląd, i w zasadzie tak jest, choć jeśli się lepiej przyjrzeć, odnosi się wrażenie, że to anioł, wtrącony przez pomyłkę w ludzkie ciało, i to bardziej cielesne niż inne...”

Znacznie później, po letnich wakacjach, po tym, jak Aldrin i Armstrong umieścili miękkie szarawy księżycowy pył w słojach, zostawili wiadomości dla innych inteligentnych form życia, flagę i swe odciski butów, po czym bezpiecznie wrócili na Ziemię, po Bretanii, strajku promów, zepsutych małżach i tak dalej, Penelope Cole wróciłaby do szkoły i stwierdziła, że wszystkie dzieci, jak zwykle, urosły, a niektórych już nie ma w szkole, za to na ich miejsce

przyjęto nowe. Słyszając nowiny o Natalie Baron, szukałaby listu, który wspólnie napisały i, oczywiście, odkryłaby, że znikł.

12

Barbara i ja wymieszałyśmy odrobinę świeżych drożdży z cukrem i wodą; patrząc, jak się pieni, wlałyśmy tę masę do przesianej mąki z cukrem. A teraz utarte jajka, maleńkie fioletowo-czarne porzeczeki, nieregularne sześcianiki skórki pomarańczowej. W misce, pod przykryciem, tak wolno, że nie widać, rośnie ciasto. Trzeba się uzbroić w cierpliwość, bo nie wolno jeść takiej mikstury - napęcznieje w brzuchu i wywoła bóleści.

Barbara opowiada mi, jak po raz pierwszy spotkała pana Herna (tak go nazywa, mówiąc do mnie) w klubie rowerowym i jak od samego początku uderzył ją spokój malujący się na jego twarzy, który nie współgrał z jego nagłymi przemowami, z siłą i skrajnością jego przekonań. Ale z kolei zawsze się zatrzymywał, by pomóc komuś zreperować przebitą dętkę lub zerwany łańcuch...

- Proszę cię! - zawołał do niej, gdy pedałowali przez płaskie pola z katedrą w Ely na horyzoncie (nie zgodził się, by ją zwiedzić) - zatrzymajmy się na chwilę. - Gdy siedzieli na ciepłej wilgotnej trawie, a koła ich rowerów wciąż się kręciły, wziął ją za rękę i poprosił, by połączyła się z nim w „Błogosławioną Jedność”.

- Właśnie tych słów użył - mówi - i wszystko we mnie odpowiedziało mu tak, choć poprosiłam o jeden wieczór do namysłu, i oczywiście musiałam przejść na jego wiarę, i miałam dwa śluby, a nie jeden, wiedząc, że rodzice nigdy mi nie wybaczą - marszczy brwi, wzrusza ramionami i uśmiecha się, wszystko naraz.

Siedzę więc przy stole, który stał się już dla mnie bliski i przyjazny, upajając się wspomnieniami Barbary z przeszłości i tym, jaka jest obecnie dla mnie: jej zwyczajem pochylania się w moją stronę, gdy do mnie mówi,

przerywania samej sobie, by zaproponować mi coś do picia, kipiącym w jej głosie podekscytowaniem, niespiesznym rozciąganiem się jej warg w półuśmiechu, kiedy zastanawia się zapewne nad tym, co ma powiedzieć.

- A po co się wychodzi za męża? - pytam.

- Żeby mieć dzieci - odpowiada natychmiast. Ściąga z miski przykrywającą ją ściereczkę i pokazuje mi, co urosło w środku: kremowy, wilgotny kopczyk, żywy, prawie przyprawiający o mdłości, choć nie do końca. - Natrzyj te tacki natłuszczonym papierem, dobrze? Już skończyliśmy.

- A po co mieć dzieci?

- By je kochać! - mówi. - A po cóż innego, głuptasie?

Osypujemy dłonie mąką, ugniatamy i zwijamy ciasto, napieramy dłońmi, miesimy. Wystaje z miski, odchodzi od jej brzegów. Jego zapach podnosi się delikatnie do mych nozdrzy, napędza ich wnętrze.

- Wiesz, główka dziecka ma podobny zapach - zauważa Barbara - coś między drożdżami a wanilią. I odrobinę przypomina zapach kredensu, w którym się trzyma ciasteczka. - Leciutko marszczy brwi, zakłada za ucho niesforny kosmyk włosów: chyba się zastanawia, co u licha sprawia, że mówi mi o tym wszystkim. Nie trwa to jednak długo, bo tak bardzo chce mi o tym opowiedzieć, jak bardzo ja pragnę tego wysłuchać, więc za dużo myślenia mogłoby nam w tym przeszkodzić.

- Było tak - odzywa się - że myślałam, że stanie się to od razu, ale to nie nastąpiło. Już przestaliśmy nawet czekać, aż tu pewnego ranka poczułam mdłości, czując zapach rozgrzanego rożna, na którym chciałam sobie upiec grzankę. Poprzedniego dnia przykleiła się do niego resztką mięsa, która teraz się przypaliła. Naprawdę mały kęsek, pan Hern w ogóle nie zauważył, wiesz, i w ten sposób się zorientowałam, że się spodziewam...

A potem czuła ruchy dziecka, jeszcze później mogła nacisnąć brzuch dłońmi i wyczuć, gdzie ma plecy, pupę, łokcie i stopki. Z początku się śmieje, jakby była to najbardziej zaskakująca sprawa na świecie. Ale za chwilę

zdejmuje okulary i ociera oczy o ramię, ale zaproszą je mąką i musi umyć całą twarz nad zlewozmywakiem.

Kiedy wyobrażam sobie, że mam w środku jakieś plecy, pupę, łokcie i stopki, odczuwam przerażenie.

- Ale to dzieje się powoli, stopniowo - mówi, sprawdzając ciasto. Sięga po nóż i kroi je na pół.

- A czy to się może zdarzyć, nawet jak się tego nie chce?

- Pewnie tak.

- A pani chciała chłopca czy dziewczynkę? - pytam, i przez moment robi się tak, jakby mnie tam wcale nie było, jakby coś ją zniecka zmroziło. Wiem, że nie wolno mi nalegać na odpowiedź lub zadawać kolejnych pytań. A kiedy już wraca do siebie, targamy ciasto na kawałki wielkości dłoni i naśladuję Barbarę, która toczy je po stole i zwija w bułeczki.

A więc urodził się Mark i pan Hern przyniósł do szpitala żonkile. Dziecko ważyło cztery kilo i wcale nie miało włosów.

Z piekarnika bucha gorące powietrze, rozpluwając się w ciepłe letniego dnia. Okulary Barbary zachodzą mgiełką - Zdejmuje rękawice do chwytania gorących przedmiotów i majstruje przy szufladzie, aż ta się otwiera. Jest pełna kawałków starych prześcieradeł, wypranych i pociętych na kwadraty, wyprasowanych, złożonych. Można je wykorzystać do różnych rzeczy, mówi, jako szmatki do kurzu lub używane przy malowaniu, jako bandaże, ręczniczki do twarzy. Nie mamy w domu czegoś takiego i prawie odczuwam złość, gdy patrzę, jak wyciąga jedną z najdelikatniejszych szmatek, by wytrzeć nią do sucha okulary; przez jakiś czas jest tak pochłonięta tą czynnością, że zdaje się oddalona ode mnie. No i jej oczy wybałuszają się, patrząc jednocześnie w dwóch różnych kierunkach, bez związku z tym, co robi. Wygląda to fatalnie, wygląda głupio - ale jest zarazem tak, jakby zobaczyła coś wspaniałego, kiedy jej wzrok znów spoczywa na mnie.

- O proszę - mówi - tak jest lepiej.

Mam jutro wyjechać z Barbarą! Napelnia mnie to takim szczęściem, że aż boli mnie w piersiach i schnie mi w gardle - ale jestem również przerażona.

Istnieje między nami rodzaj tajemnego porozumienia. Czasem to ja wywołuję jakieś zdarzenia, ale nie zawsze nad wszystkim panuję. Żadna z nas nie pojmuje tego. Poddajemy się temu, co przez nas przepływa.

Podczas gdy bułeczki stygną na drucianych półkach, pijemy lemoniadę bez bąbelków pod markizą z tyłu domu. Wtedy, koło piątej, wraca Mark w zakrwawionej koszuli, mówiąc, że się bił. Obserwuję z zazdrością, jak Barbara się nad nim trzęsie, i daje mi znać, że właściwie powinnam już iść do domu.

- Połóż się dziś wcześniej spać i dobrze wyśpij. Wpadniemy po ciebie wcześniej rano - przypomina mi przy bramie. - Pozdrów mamę. Nie zapomnij liściku. A teraz już się pospiesz.

Oczywiście nie idę do domu. Skręcam w prawo w miejscu, w którym aleja dochodzi do ulicy o szeregowej zabudowie i prowadzi do kolejnego osiedla, po czym idę w dół małymi zaułkami, aż trafiam na działki u stóp wzgórza. Słońce się już stacza po horyzoncie, a w powietrzu wiszą chmary muszek. Otwieram pchnięciem bramę prowadzącą do głównej drogi, zmieniam kierunek i posuwam się wzdłuż dzielących działki miedz. Tu i ówdzie ludzie jeszcze pracują. Wielokrotnie widzieli mnie już przedtem, więc nie zwracają na mnie uwagi. Docieram do działki z pomalowaną na zielono szopą. Siadam na ławce pod oknem, zsuwam torbę ze słodkimi bułeczkami na kolana, jest ich sześć, zwinięte i oproszone cukrem, każda ma nieco inną wielkość. Na początku rozwijam je jak kłębki, a potem od razu się w nie wgryzam. Jem cztery, rozkoszując się ich pęcznieniem i lepkością w ustach. Dwie, których już nie mogę, zawijam w torbę i zostawiam na ławce dla dwóch mężczyzn o łagodnym głosie, do których należy działka.

Trzeci krzaczek pomidorów w rządku jest mój. Oglądam jego kłujące żółte kwiaty, o których ten wyższy mężczyzna powiedział, że zmieniają się w małe zielone jagódki, a potem jaskrawoczerwone pomidory. Wszystko w

ogrodzie trwa tak długo. Oskubuję boczne pędy, jak mnie nauczyli. Robię to również z innymi krzaczkami, choć niezbyt starannie. Pomidor wydziela lotną, gorzką, prawie zwierzęcą woń.

Podoba mi się tu, ale pewnie nie wrócę. Ci dwaj rozmawiają tylko o roślinach. Ile razy bym ich prosiła, i tak nie pozwalają mi pójść z nimi do domu, nawet nie powiedzą, gdzie mieszkają ani jak się nazywają. Wymieniają różne imiona, głupkowate, w rodzaju Bili i Ben, za każdym razem inne. Śmieją się między sobą z jakichś spraw, których nie rozumiem. A niech tam, już ich do niczego nie potrzebuję.

Jest mniej więcej wpół do dziesiątej, niebo się prawie całkiem ściemniło, cienie znikły, choć jeszcze jest dosyć widno, aby znaleźć małe ślimaki, które gromadzą się w wilgoci pod roślinami. Ściskam je, jeden po drugim, między palcem wskazującym a kciukiem i słucham, jak mokro trzaskają ich cienkie skorupki.

Kiedy skręcam w Margaret Close, niebo za pomarańczowymi lampami ulicznymi jest już czarne i odległe. Widzę, że z przodu domu świeci się światło, mimo że to piątek, kiedy zwykle wychodzą i nie wracają. Gdy jestem przy bramie, dochodzi do mnie muzyka. Sprawia mi to zawód, nie mam przecież budzika i zamierzałam nie zasnąć, oglądając astronautów w telewizji - a odbiornik jest na dole, tam, gdzie oni - pewno będą chcieli coś oglądać i nie będą się kłaść przez całą noc.

Wydobywam klucz ze skarpetki, wślizguję się do przedpokoju i czekam, aż oczy przywykną do mroku. Spod drzwi pokoju pada smuga światła. Zaczynam wspinać się na wycucie po schodach, uświadamiając sobie nagle, jak nieprzyjemnie lepkie zrobiły mi się dłonie, że mam żwir w butach, a torbaworek wpija mi się w ramię.

- Natty? - woła Sandra, kiedy schody skrzypią. Znów więc schodzę i otwieram pchnięciem drzwi od pokoju telewizyjnego. Tronuje na kanapie. Jej wyszcotkowane aż do metalicznego połysku włosy piętrzą się na czubku

głowy, dodając jej jeszcze wzrostu. Kilka kosmyków opada wokół twarzy. Róż jej szerokich ust wzmacnia szminka, cerę rozbieliła pudrem w płynie, a oczy podkreśliła proszkiem antymonowym. Ma na sobie zwiewną bluzkę i krótką spódniczkę. Paznokcie u bosych stóp polakierowała na perłowy róż, dobrany do odcienia szminki, to samo z paznokciami dłoni. Jest w tym wyjątkowo piękna, ale i przerażająca. Zrobić się na bóstwo, tak to nazywa. To sprawia, że staje się jakaś zuchwalsza, a nawet jeszcze bardziej nieprzewidywalna.

Obok siedzi Luke, obejmując ją jednym ramieniem, drugim przytrzymując szklaneczkę i papierosa. Siedzi z rozstawionymi szeroko kolanami. Jakiś drugi mężczyzna, który pociąga piwo z puszki, usadowił się na podłodze, opierając plecy o jeden z foteli. Pewnie kolega Luke'a z bazy: widać to po jego włosach i budowie, a także po tym, jak się tu swobodnie czuje. Gapi się tępo przed siebie i napina czoło.

Pali się tylko jedna lampa przy półeczce nad kominkiem. Pomieszczenie w nocy nawet zyskuje. Nie widać wtedy wszystkich plam i wypalonych dziur w dywanie, podrapanych i wyszczerbionych ścian. W przyćmionym świetle nie dostrzega się grubej warstwy kurzu na szkle obrazów; ja sama nigdy nie zauważałam tych rzeczy, dopóki nie zaczęłam bywać u Hernów. Przedtem był to po prostu nasz dom i nie zaprzętałam sobie głowy zapachem nikotyny i klaskaniem podeszew butów, które przyklejały się i odklejały od winylowych płytek w kuchni. Nie przejmowałam się tym, że zlewozmywak wypełniały sterty filiżanek i szklanek. Ale teraz zaczęłam. Robi mi się smutno. I nie widać za dobrze przez okna: nie były myte, odkąd się tu wprowadziłyśmy.

- Proszę bardzo, może ci się coś nie podoba - mówi Sandra. Nie należy do osób, które by się szczególnie przejmowały tym, co myślą inni.

- Podejź no tutaj - woła teraz głośno, przekrzykując muzykę. Luke kupił sprzęt hi-fi po tym, jak raz wystawił Sandrę do wiatru. Robię, co mi każą, staję przed nimi. Pod paznokcie wbiło mi się ciasto, cisnąc mnie lekko w na wpół irytujący, na wpół przyjemny sposób. Wydłubuję jednym paznokciem to, co jest

pod drugim i wsuwam drobinę do ust.

- Nie musisz się włączyć poza domem, Natty! - mówi, wyciągając rękę, by mnie prędko uścisnąć. Czuję się jak własny cień, ale zmuszam się do uśmiechu. - Masz tylko wiedzieć, kiedy się zająć sobą bez mojego udziału. Usiądź, uczeszę cię. Wyglądasz jak straszidło. Jej palce szarpią klamerkę przy warkoczu i ciągną boleśnie. - Jadłaś coś?

Przytakuję, myśląc: „co cię to tak naprawdę obchodzi?” Czasem tak się zachowuje na pokaz, kiedy są jacyś goście.

- Nie powinna być tak późno poza domem - wtrąca się Luke - w jej wieku. - Jakoś wcześniej mu to nie przeszkadzało.

- Więc gdzie się podziewałaś? - pyta Luke. Nie ma prawa. Nie ma ze mną nic wspólnego, więc mu nie odpowiadam. Coś sprawia, że zerkam w stronę tego drugiego.

- Mike - odzywa się Luke przyłapując mnie na tym spojrzeniu.

Patrzę dalej, udając, że nie słyszałam. Wszyscy są tacy sami, ci mężczyźni. Wiem, co mają pod ubraniem, między nogami. Tuż po wprowadzeniu się tutaj widziałam przez przypadek, kiedy odesłano mnie z powrotem do domu, bo znowu nie miałam stroju na WF Nigdy nie rozmawiałam z tym mężczyzną, nie znałam nawet jego imienia, ale widziałam u niego wszystko. Miał owłosiony tyłek, biały z czarnymi włoskami, ciągnącymi się od nóg przez plecy, choć powyżej bioder widać było, że musiał sobie wytrzeć rosnące tam włosy, nosząc pasek. Był w sypialni Sandry, na łóżku; przerzuciła mu białosine łydki przez ramiona. Widziałam, jak jego kutas wysuwał się z gęstwy włosów, kiedy go wyciągał z Sandry - i jeszcze więcej włosów rosnących na jej ciele tam, co wyglądało, jakby je miała od niego, jakby jakoś do niej przyłgnęły - chociaż doskonale wiedziałam, że tak nie jest, odkąd mnie też zaczęły wyrastać w tych okolicach.

Opuścił Sandrę na łóżko i obrócił się do mnie przodem, a on sterczał w moją stronę. Ale głupia rzecz. Mężczyznę pokrywały włosy również na piersi,

był kudłaty jak zwierzę, wokół pępka i dwóch różowych sutek wiły się drobne włoski jak opiłki żelaza, aż do karku i szyi, powyżej których stawały się coraz bujniejsze jak trawa rosnąca wzdłuż ogrodzenia. Sama szyja i twarz były ogolone. Wydawało się, że nie pasują do reszty ciała.

- I na co się gapisz! Wynos się!

To ja tu mieszkałam, nie on, nie miał prawa kazać mi się wynosić, więc się nie ruszyłam. Wtedy Sandra roześmiała się, a on krzyknął również na nią.

- Lepiej idź już sobie - powiedziała i wtedy poszłam.

„Ty włochaty kutasie”, myślę pod adresem Luke’a.

- To gdzie byłaś, panienko? - powtarza.

Postanawiam, że mu powiem, nawet jeśli nie muszę, żeby oszczędzić sobie kłopotów:

- Na działkach. - Ssę palec, znowu czuję smak cukru.

- Faktycznie tam chodzi - mówi do niego Sandra.

- Co ona robi na działkach? W tym sęk - odzywa się Mike, ten mężczyzna na podłodze. Szczyrzy zęby, ale jakoś bez entuzjazmu. Zamiast źrenic jego wyblakłe błękitne oczy mają małe kropki, a zmarszczki wokół oczu są jaśniejsze od reszty skóry. - Pewnego dnia nie wróci - dodaje prosto z mostu. Tak właśnie bywa.

- Ona tam pomaga - informuje ich obu Sandra - prawda? - Tylko udaje, że się o to martwi, udaje, że coś wie. Ale jednocześnie przeczesuje mi palcami włosy i za każdym razem, gdy je przesuwam, coraz bardziej pochylam się w jej stronę. Rozciera mi skórę głowy tam, gdzie najbardziej mnie ciągnęło.

- Lepiej? - pyta. Wtulam twarz w jej pierś; skóra pachnie masłem kakaowym i paczulą, a ona kładzie mi rękę na plecach. Przenika mnie bicie jej serca, zbliżone raczej do dotyku niż dźwięku; zamykam oczy i ogarnia mnie całodzienne znużenie, nieodparte i rozkoszne. Na chwilę zapominam prawie o patowej sytuacji między nami.

- A jakbym tak kiedyś nie wróciła? - szepczę jej prosto w skórę.

- Co? - w jej oddechu czuć martini.

- A jakbym tak pewnego wieczoru nie wróciła?

Następuje cisza, chwila, w której może zdarzyć się wszystko. Mogłaby przytulić mnie tak mocno, żeby aż zaboląło. Mogłaby powiedzieć „nawet o tym nie myśl, Natty”. A wtedy przechodzi przez nas obie drżenie, pierwsze wstrząsy nieopanowanego śmiechu, którym wybucha w chwilach, które nigdy nie bawią nikogo poza nią. Śmiech rzuca jej głowę do tyłu, by się z niej w pełni wydobyć - nagły wrzask, runięcie w dół, kaskada akordów. Podrywa mnie w górę i budzi. Mam wilgotny jeden bok twarzy, ucho przylega do głowy. Oczy Sandry są po brzegi napełnione łzami śmiechu, ale pod spodem tłą się, jakby potrzebowały tej wilgoci, by nie spłonąć do reszty, jakby po to istniał śmiech. Nagle robi mi się niedobrze. „To te bułeczki”, myślę.

- Pomyślałabym, że ze mnie szczęściara! - mówi Sandra, gdy śmiech wygasa; twarz rozciąga się w szerokim uśmiechu, a w dudniącym głosie pobrzmiwiają chropawe nutki. - To kiedy zmykasz?

Luke też się uśmiecha. Ale mężczyzna na podłodze nie. Od momentu, w którym zaczęliśmy mówić o tym, gdzie się podziewałam, cały czas ukradkiem na mnie zerka, jakby pił małymi łydkami.

- W czym problem? - Sandra dźga mnie palcem w pierś. - Dałam ci przyzwoite nazwisko, nie? I swoje włosy. Wygląda na to, że i resztę wyglądu też. Przydałby mi się grzebień.

- Pożyczyłaś go - informuję - dziś rano.

Sięga po torebkę i grzebie w niej bez przekonania.

- Zrobimy to jutro - i osuwa się z powrotem na kanapę obok Luke'a. Na jego tatuażu z węzłem, ciągnącym się po ramieniu, rosną włoski. Luke łapie pierś Sandry, ten widok wprawia mnie w gniew i osłupienie.

- Pożegnaj się teraz, powiedz dobranoc i idź do łóżka.

- Niech zostanie - mówi mężczyzna na podłodze.

- Nie - odpowiada Sandra - ma dopiero trzynaście lat. Jej uroda jest

jeszcze uśpiona.

- Czy mogę zabrać na górę telewizor? - pytam. - Nie jestem jeszcze zmęczona.

- Dobrze - mówi ona - jeśli tylko to cię uspokaja.

Mężczyzna na podłodze, ten Mike, z trudem wnosi odbiornik po schodach, klnąc na brak oświetlenia. Zanim położy go koło drzwi, gdzie w ścianie jest gniazdko, cały się spoci. Kuca obok.

- Gdzie masz antenę? - odzywa się. - Bez odpowiedniej anteny nie będzie chodził.

Teraz jeszcze mniej mi się podoba, więc w ogóle nie odpowiadam. Wytrzymuję jego spojrzenie i odwzajemniam je, jak tylko potrafię.

Wodzę oczyma po każdym skrawku jego twarzy: ściągniętych brwiach, wyblakłych oczach osadzonych w głębokich oczodołach, zbyt dużych odsłoniętych uszach. Zarysie nosa, nie całkiem prostego. Cieniu zarostu pod skórą zuchwy, ciemnym, mimo że ma krótkie jasne włosy na głowie. Wlepiam w niego oczy tak, że jest tym zmieszany.

- Sporo jeszcze przed tobą - mówi w końcu - masz to po matce, jak nic.

- Nie powiesz nawet dziękuję? - pyta po chwili. Mam ochotę pokręcić przecząco głową, ale powstrzymuję się i stoję jak słup soli.

- To nie dasz buzi na dobranoc?

Kiedy dalej się nie odzywam, głośno klaszcze w dłonie, aż podskakuję. Wtedy się uśmiecha, rażno podrywa na równe nogi i idzie, zostawiając drzwi otwarte na oścież. Zamykam je, włączam od razu telewizor, który Spełnia pokój trzaskiem i sykiem, a ja kręcę gałkami, ustawiając obraz i dźwięk.

Pamiętam, jak wtedy, gdy ten bezimienny mężczyzna już poszedł, Sandra zeszła na dół i siadła przy mnie. Ściszyła telewizor i wyjaśniła, że to, co widziałam, te rzeczy, które robią razem mężczyźni i kobiety, są tak przyjemne, że wolą się nimi zajmować, a nie czymś innym, a poza tym wtedy przynajmniej nie skaczą sobie do gardła.

Nie potrafię sobie wyobrazić, że mogłabym coś takiego robić z jakimś mężczyzną. Nie lubię mężczyzn i wolałabym, żeby się ich tu tyłu nie kręciło.

- Ludzie są przeważnie pruderyjni - powiedziała mi. - Ale tak naprawdę jedynym problemem, jaki stwarza seks, jest to, że można zajść w cholerną ciążę! - Zareagowałam na jej dobry humor, a nie na treść słów, których tak naprawdę nie rozumiałam. Przyniosłam jej popielniczkę z kuchni... - Na szczęście - ciągnęła - teraz mamy pigułkę, ale po niej rosną jeszcze większe cycki. Czasem mężczyźni dają prezenty albo nawet chcą się żenić, no ale to oznacza koniec Wolnej Miłości, to pewne jak dwa i dwa równa się cztery.

- No i tak to bywa, Natty. To, co mówię, nabierze sensu, jak ci się już zdarzy. Powiedziałam ci. A teraz o tym zapomnij. Nie mów nikomu. I nawet się nie waź tak wejść kiedykolwiek do mojego pokoju, bo zobaczysz.

Potem powiedziała, że pójdzie do sklepu po kurczęta w cieście, ale nie mogła znaleźć odpowiednich butów, więc ja poszłam, co wytrąciło mnie z równowagi o wiele bardziej niż ta cała reszta. „Ależ ty masz świetne pomysły!”, pomyślałam piskliwie pod jej adresem, kiedy wychodziłam. Myśli zabrzmiały tak głośno jak słowa. Może nawet je wypowiedziałam.

Co za szczęście, że mimo wszystko nie powiedziałam dziś już nic więcej tam w pokoju na dole, bo choćbym miała nie wiem co zrobić, żeby mi się udało, to i tak rano wyjeżdżam. Otwieram szafki, znajduję dwa swetry z zeszłego roku, jakieś bluzy, parę dzinsów i upycham je do mej torby-worka. Przypominam sobie o liście, który Barbara dała mi tego popołudnia. Koperta nie jest zaklejona, tylko wsunięta. Papier drga mi w dłoni i złość się, że nie umiem tego opanować. Ale wygładzam kartkę najlepiej jak potrafię i czytam z większą swobodą, niż zrobiłabym to parę tygodni temu:

Droga Pani Baron, Dziękuję Pani za list. Bardzo się cieszyliśmy, mogąc u nas gościć Natalie, kiedy wstępowała po drodze ze szkoły. Stała się prawie członkiem rodziny, może być więc Pani spokojna, że się nią zaopiekujemy. Jako że na północy panuje surowszy klimat, Natalie będzie potrzebować ciepłych

ubrań, chociaż to lato, a także czegoś nieprzemakalnego. Musimy jutro wyjechać bardzo wcześnie, wobec tego wstąpimy po nią, niestety, już o piątej rano. Ale przynajmniej będziemy się mogły w końcu poznać, i jestem pewna, że nie tylko ja, ale i Pani nie może się tego doczekać...

Drugi list od Barbary leży w pudełku po butach na dnie szafy. Wyjmuję go, składam oba razem i wkładam do zamykanej na zamek kieszonki mojej torby. Siadam potem na podłodze i patrzę na śnieżący ekran telewizora, pochylam się do przodu, przytrzymuję przez sekundę jeden z przycisków i, jakimś cudem, obraz się wyostrza, układając się we wnętrze Apolla 11. Trzech astronautów porusza się, jak zwykle niezgrabnie, w obrębie ciasnej przestrzeni. Można się zorientować po ich zwolnionych głosach, jak bardzo się oddalili od wszystkiego, co ziemskie. „Choć nawet wrócą, to przerwali jakąś więź - myślę - i nigdy nie będą się umieli odnaleźć wśród innych”.

13

Założyłam niebieskie spodnie i kraciatą bluzkę z cienkiej bawełny, którą Sandra kupiła dla siebie, ale się pomyliła i bluzka okazała się za mała, tak więc kiedy nadjeżdżają, już czekam bez śladu senności, z moją workowatą torbą, przed bramą wejściową, gdzie hamuje elegancki samochód o opływowych kształtach, do którego dołączono kanciastą przyczepę; biegnę do niego od razu, zanim ktoś zdąży wysiąść. W powietrzu unosi się gryzący zapach spalin.

- Musiała pracować na nocną zmianę - mówię, wyciągając banknot dwudziestofuntowy, który zabrałam z portmonetki matki godzinę wcześniej - ale prosiła, żeby to przekazać akonto wakacji.

Udaje mi się mówić głośno, jak zwykle, choć wiem, że w nocy nikt nie wyszedł na górę, a teraz widzę, że na dole jest otwarte okno: na pewno wszyscy twardo śpią, uspokajam się. Barbara jest o włos od tego, żeby wysiąść, powstrzymuje się i spogląda na męża.

- Może by twój ojciec... - zaczyna.

- W szpitalu - oznajmiam. Ale nadal trwa jakieś wahanie, odrętwienie, by zrobić dalszy krok.

- Czy te pieniądze nie wystarczą? - pytam. Wy ciągam rękę jeszcze bliżej, prawie wciskam w jej dłoń.

- Nie wymagamy od ciebie żadnych pieniędzy, skarbie - mówi Barbara - ale bierzemy je na przechowanie. Gdzie są twoje rzeczy?

- Tu.

- Nie ma tego za wiele - mówi Barbara - przecież zaznaczałam twojej mamie...

- Ale tu wszystko jest! - upieram się, wymachując torbą w jej stronę - wszystko!

- A masz płaszcz? - pyta ona - albo chociaż ciepłą kurtkę z kapturem? Kalosze? - W tym momencie pan Hern nachyla się w stronę żony i kładzie jej dłoń na kolanie.

- Lepiej już jedźmy - radzi - zawsze można jej coś pożyczyć. - Twarz Barbary w końcu układa się do uśmiechu.

- Otwórz drzwi - poleca Markowi, który siedzi, znieruchomiały jak głaz, na środku tylnego siedzenia. Od wczoraj ma podbite oko. Sięga do uchwyty drzwi, po czym przesuwają się na bok.

Otwieram drzwi, ciągnąc obiema rękami. Samochód pachnie skórą i kremem Nivea; tapicerka wprawia mnie w lepszy nastrój. Pan Hern zerka przez ramię, rusza.

Dojeżdżamy w ciszy do ronda, mijamy znów mój dom, opuszczamy osiedle. Wyprzedzamy wóz z mlekiem. Docieramy do obwodnicy. Kręcę się, przytulam się do oparcia fotela Barbary, pcham do przodu, wkładam głowę między przednie siedzenia.

- Ile jeszcze kilometrów? - pytam. - Jak długo potrwa podróż na miejsce? Jak często robicie postój na tankowanie? Ilu oktanową benzynę bierzecie? A gdzie teraz jesteśmy? - wykręcam się nagle, by popatrzeć na Marka. Siedzi,

wyciągnąwszy długie nogi przed siebie, chowając stopy na podłodze pod przednim siedzeniem; na kolanach trzyma książkę. Jej kartki trzepoczą na wietrze.

- O czym to jest? - pytam, ale on uporcezywie uda je, że czyta.

- On zachowuje milczenie - wyjaśnia Barbara - żeby się przygotować na poniedziałek. Ma prowadzić nabożeństwo. To wielka odpowiedzialność.

Tak więc mogę mówić nawet więcej. - A co to jest, o tam, w polu? - pytam. - Jaką maksymalną prędkość rozwija ten samochód? Która godzina? Czy łatwo się nauczyć prowadzić?

Gdzieś między Bury i Peterborough zasypiam wśród płaskich równin, a Mark czuje, jak nieobecność mojego głosu sączy mu się przez ciało, które znów należy do niego... Gdy się obraca, zauważa, że mam ręce rozrzucone luźno na kolanach, głowę wciśniętą w ramiona i rozchylone usta, ledwo widoczne przez zmierzwioną gęstwinę falujących włosów. Później głowa będzie rzucać się z boku na bok. A jeszcze później zsunę się na okno, obracając twarz tak, jakbym oglądała widoki za szybą, choć moje ciało, niknące gdzieś w kącie, dalej przekręcone jest raczej do przodu.

Kiedy jedziemy na północ od Newark i w polu widzenia pojawiają się pierwsze cztery niezgrabne kominy, podciągam się, szybko otwieram oczy i przecieram twarz. Ugniatam siedzenie samochodu jak zwierzątko, które mości sobie legowisko, i opadam na nie tułowiem, twarzą w dół, podkładając sobie jedno ramię pod głowę; drugie zwisa swobodnie, dotykając podłogi.

Mark daje sobie spokój z książką, poddaje się rytmowi podróży i odsłaniającym się krajobrazom. Chwilami, kiedy wiatr nie gwizdże mu koło uszu, może nawet słyszy mój oddech: subtelny, ale ciągły, wilgotny odgłos po każdym wypuszczeniu powietrza.

- Wszystko w porządku? - pyta go Barbara. - Nie jesteś już głodny albo spragniony?

Potrząsa przecząco głową, mimo że jest głodny, bo chce utrzymać

istniejący stan rzeczy, tak długo jak tylko się da: rozjaśnione niebo, cień z tyłu samochodu, powiew w uszach i swe milczenie, które go szczelnie otula, niewidzialne, lecz pełne mocy.

Wczoraj Stokes spytał go, czy widział kiedyś cycki u kobiety? Byli na boisku, w przerwie na drugie śniadanie. A widział szparę między jej nogami? Widział, jak ludzie się pieprzą? Stokes wykonywał przy tym gesty rękoma, zaciskając oczy na moment, po czym otwierał je, udając dla wygłupu ciekawość. Koleżkowie się śmiali. Parę minut wcześniej Mark trenował skok wzwyż z Wrightem i Walkerem, ale ci już poszli.

- Nie - odparł Stokesowi. Uważał, że tego się nie ogląda, lecz się to robi. Nie miał też ochoty patrzeć na takie zdjęcia, dzięki.

Mignęła mu przed oczyma jakaś zadrukowana plama, kiedy Stokes wyjął swe czasopisma. Mark odwracał głowę raz w jedną, raz w drugą stronę, by uniknąć patrzenia na wizerunki, ale nie całkiem mu to wychodziło. W końcu, gdy było to zupełnie niemożliwe, zamknął oczy. Ucieczka uraziłaby jego godność, a jakby go złapali i tak na jedno by wyszło. Zatem stał. Przez parę chwil nic się nie działo, czuł tylko woń własnego potu i szybkie kołatanie serca. Wtedy ktoś go uderzył, wymierzył serię ciosów w żołądek, które sprawiły, że uszło z niego powietrze, ale udało mu się je wytrzymać. Z początku nie bardzo im wychodziło bicie kogoś, kto się na nich nie patrzy i nie reaguje. Po kilku minutach jednak przywykli do tego i zaczęli komentować jego zachowanie i nawzajem wydawać sobie polecenia: - Za kogo on się niby uważa? Za Jezusa Chrystusa? Przyłóż mu. Walnij w ucho.

Na twarzy wylądowała czyjaś ślina. Czuł, jak mu spływa po policzku aż do kącika ust. Zanim zdołał ją zetrzeć, ktoś walnął go w podbródek, aż odskoczyła mu głowa. Przez chwilę widział niebo, ale nawet gdy znów zamknął oczy, wiedział, że to nie potrwa długo. Ktoś nadepnął mu na palec u nogi. Kopniak w pachwinę chybił o milimetry. A wtedy Stokes - wiedział, że to Stokes, poznając go po oddechu, zapachu, wszystkim - wyszarpał go za uszy,

walnął głową w jego głowę, uderzał kolanami. Zaczął walczyć, odepchnął Stokesa, oddał cios. Wówczas otworzyły mu się oczy, choć niewiele widział, jakieś fragmenty ciała Stokesa, w jakie akurat mierzył. Skoro zaczął, to nie przerywał. Nie czuł uderzeń Stokesa, dopiero potem.

- Zrozumiano? - rzucił do Stokesa, w język szczypała krew. Wytarł twarz rękawem, przeraziła go jej barwa. Obu leciała krew z nosa, ale Stokes miał też rozciętą wargę, i kiedy Mark mógł się dalej bić, Stokes, ciężko dysząc, rozglądał się za kimś z sojuszników, by go wspomógł. Ale w samym środku bójki rozległ się ostatni dzwonek na lekcje i widać było w oddali kilka osób, pozostających jeszcze tak jak oni na zewnątrz, jak zmierzają do głównego budynku. Wokół nich, uświadomił sobie Mark, furkotały podarte stronice. Nie dało się teraz rozpoznać większości ciał, mimo to odwrócił wzrok. Widzieć nie znaczyło umyślnie patrzeć, ale mogło się stać początkiem patrzenia.

Lepiej będzie, jak wejdą do środka, powiedział do Stokesa, i wtedy zdał sobie sprawę, że musi mu pomóc. Nie odzywając się do siebie, mozolnie wspinali się razem po stromym wzniesieniu, które oddzielało boiska od szkoły.

Na szczycie schodów, prowadzących do głównego budynku, pchnął podwójne drzwi, osłaniając przed nimi Stokesa, gdy odskoczyły. Posadził go na umywalce w toalecie, umywalkę obok napełnił wodą i wytarł mu do czysta twarz zwitkiem zmoczonego papieru toaletowego, dbając szczególnie o opuchliznę wokół rozciętej wargi.

- Jesteś stuknięty - rzekł ze znużeniem Stokes.

- Nie będę musiał tego wiecznie znosić - rzeki z uśmiechem Mark. Czuł się tak, jakby ważył zaledwie nieco więcej niż powietrze, a wszelkie wahania w ciśnieniu atmosferycznym mogłyby sprawić, że uniósłby się w górę.

- Myślę, że tak się stanie, że kupimy wyspę - wyjaśnił. - Wszystko do tego zmierza. A wtedy takie rzeczy - wskazał na druciany kosz na śmieci, pełen zakrwawionego papieru - się nie zdarzą. Będzie tam nasza osobna szkoła z nauczycielami, i tak dalej. Uwierz mi.

Dopiero potem, po rozmowie z ojcem o zajściu, przyszedł mu do głowy pomysł z milczeniem. A teraz, spowity w nie, uśmiecha się do siebie, kiedy przypomina sobie niedowierzającą, pokrwawioną twarz Stokesa.

Próbuje sobie wyobrazić przyszły bieg wydarzeń. Ciężko mu to przychodzi, bo zbyt żywo stają mu w pamięci zgromadzenia w Finlandii. Wie, że tym razem nie będzie żadnej wioski w pobliżu ani rzeki, ani mostu, ani brzoź, ani malowanych na czerwono drewnianych domów, rozproszonych między nowszymi, żadnych tabliczek upamiętniających życie i śmierć Tuomasa Envalla, uporządkowanego cmentarza, na którego granitowych płytach widnieją tylko nazwiska i daty, między innymi rodziców Maati Hirn. Będą, oczywiście, pola, ale rozleglej-sze, i nie będzie białych nocy; o dziesiątej zapadnie już absolutna ciemność.

Tym razem nie będzie biegał z dziećmi ze wsi, które oprowadzały go po domostwach i pokazywały zwierzęta i różne przedmioty, wymawiając ich nazwy po fińsku. Nie będzie krów, które się doi rano i późnym popołudniem, nie będzie zabaw w chowanego w cienistych stodołach, gdzie na górze spały niektóre starsze dziewczyny, nie będzie niesolonego masła w misach i słojach po dzemie jagodowym ani słodkawego sera o gumowatej konsystencji - Tym razem nie będą wieźć ze sobą beli materiałów, garnków, naczyń, noży kuchennych - podarunków, które rozdawali w zamian za swe utrzymanie. Będzie, rzecz jasna, o wiele mniej ludzi, którzy zbiorą się w jednej tylko grupie, a nie w kilku. Wszystko będzie inaczej.

Ale również Mark jest już inny. Doznał wizji. Tak właśnie posłuży się nim Bóg, nie poprzez badania naukowe, na co liczył. Będzie prowadził poniedziałkowe nabożeństwo. Słowa, magazynowane i uszlachetniane podczas milczenia, którego przestrzega, trysną w natchnieniu z jego ust, a on znajdzie się w wirze zdarzeń, przemawiając i mając słuchaczy. W czasie jakiejś medytacji może zostaną mu dane kolejne widzenia: istnieje w nim nieruchoma, otwarta przestrzeń, zawsze gotowa na przyjęcie wizji, gdyby miały się zdarzyć... Nawet

teraz odczuwa to miejsce w sobie; czuje je także, kiedy śpię obok niego z tyłu samochodu, a moja głowa niemal styka się z jego nogą.

W takim stanie wydaję mu się prawie nieszkodliwa, pozwala więc, by jego wzrok spoczął na mnie nieco dłużej niż przedtem. Widzi, jak końce palców tej dłoni, którą wsunęłam sobie pod głowę, szturchają misterną nie kończącą się gęstwinę włosów, iż wydaje się, że oddychają w sobie tylko wiadomy sposób - ręce są blade, gładkie, pełne uśpionych nerwów, a on zauważa, jak jego dłonie stają się niespokojne. Zatrząskuje Fizykę IV i skupia uwagę na oknie.

Po obu stronach drogi stoją w oddali wieże chłodnicze, ciągnąc się szpalerami albo skupiając się w przysadziste grupy w zależności od kąta patrzenia. Słupy wysokiego napięcia stawiają stopy na polach, kroczą wzdłuż szosy. Ruch się nasila, coraz więcej ciężarówek, inne przyczepy, samochody.

Skręcamy na północny wschód w kierunku wybrzeża, wjeżdżając na węższą drogę. Tu i ówdzie znajduje się pub z kolorowym szyldem. Na niektórych ciężarówkach również wymalowano niezdarne wizerunki i napisy.

Mark odwraca od nich wzrok, patrzy w zamian na prawdziwe dzieła Boga: niebo, pola, drogę przed nimi, albo rozgląda się w środku, spoglądając na własne dłonie lub na matkę czy ojca.

- Zatrzymam się na najbliższym parkingu - wola przez ramię John. -
Uważajcie na ruch z tyłu, dobrze?

Mark wychyla się przez okno, ile się tylko da, wiatr drażni mu oczy. Jego ojciec wykonuje drobne koliste ruchy ramieniem i w ten sposób Hernowie i ja przechodzimy prawie niepostrzeżenie od płynnej jazdy aż do zatrzymania, a ja się budzę.

Samochód drży lekko za każdym razem, gdy mija nas jakiś pojazd. Nad powierzchnią szosy lśni mgiełka rozgrzanego od upału powietrza. Po drugiej stronie rozpościerają się bujne, falujące pola o rozmaitych odcieniach i fakturach złota i zieleni, gdzieniegdzie nakrapiane punkcikami pasącego się bydła i przerywane kępami topól, dębów i czerwonych buków. Ponad nami wisi

nieskończony błękit nieba: jest pełnia dnia, mimo to spiker w radiu komunikuje, że Armstrong, Aldrin i Collins zbliżają się do punktu, z którego wejdą na orbitę okołoksiężycową.

- To będzie się kładło cieniem nad całą naszą podróżą - mówi Barbara - myślicie, że się im uda?

- Tak - odpowiadam.

- Bardzo trudno to sobie wyobrazić - stwierdza John Hern - i pewnie będzie tak trudne - dodaje, otwierając drzwi i gramoląc się sztywno z samochodu. Rozciąga się, robi obroty szyją, po czym wspina się na nasyp i znika.

- Rozłożymy koc na trawie - mówi Barbara do Marka - jeśli nie macie nic przeciwko, i popatrzymy, jak nas wszyscy mijają.

Moje włosy zbiły się w ogromną bezkształtną masę, jakby urosły, gdy spałam; prawa strona twarzy jest ciepła i zaczerwieniona, bo przyciskałam ją do ramienia. Popołudniowe światło jest zbyt jaskrawe i mrużę oczy, zanim się do niego przyzwyczaję. Mark wygładza pled i obserwuje, jak wyłaniam się z samochodu. Widzę, że próbuje w ogóle nie reagować.

Barbara rozprostowuje koc i wyciąga plastikowy kubek. Kiedy siadam, obejmuje mnie ramieniem, ściska i zastyga w tej pozycji. Jemy kanapki i patrzymy, jak mijają nas samochody. Przez cały czas w przestrzeni kosmicznej, tak czarnej jak moje wnętrze, Apollo 11 mknie w ciszy wokół Księżyca.

14

Dni robią się coraz dłuższe, ale nadal nie pojawiły się liście na brzozech, urosły tylko maleńkie pączki. Połacie przybrudzonego śniegu i gąbczastego od powietrza lodu zalegają w południe w cieniach budynków i drzew, w zagłębieniach widocznych na nowo czekoladowobrązowych pól. Samo to odsłonięcie, nagość rzeczy zmusza mnie, by dostrzegać więcej w tym, czego jest jeszcze niewiele. Myślę, że być może to samo widział Tuomas Envall na

początku tych długich miesięcy pozbawionych nadziei, które poprzedzały jego triumfalne kazanie. Niewykluczone, że przyczyniła się do tego pora roku, dodając mu bodźca, by wyczyścić odnalezione pudełko z farbami, zwilżył i rozpostarł kawałek papieru na desce. W każdym razie, robiąc użytek z czasu między poranną lekturą a spożywanym w milczeniu obiadem przy stole u pastora, zaczął malować, „przyjmując zaproszenie diabła”.

Raz po raz malował widok z okna: ścieżkę, drzewa, dom pastora. Różne dni, różne oświetlenie. Niekiedy napełniał butelkę wodą, szedł przez wieś, aż dochodził do otaczających ją terenów i szkicował stodoły, wystające z błotnistych polnych kałuż głązy, pierwsze pączki na brzozech. Wkrótce dzień bez malowania stał się czymś nie do pomyślenia; im więcej malował, tym więcej, jak się zdawało, widział i więcej czasu na tym spędzał: „A wtedy nadszedł dzień, w którym zapomniałem odmówić psalmu, a po nim kolejny, a gdy zdałem sobie z tego sprawę, rzekłem sobie, że po prostu chwalebę moc i potęgę Pana w inny sposób, przez co tym bardziej wpadłem w sidła pokus. Znajdowałem się w trudnym położeniu, na co byłem źle przygotowany, zamiast jednak przyjąć istniejący stan rzeczy, chciałem się od niego odgradzić, radzić sobie z nim w sposób, jaki bardziej przypadł mi do gustu...”

Nadeszła Wielkanoc: pastor nadal odprawiał nabożeństwa, trzymając wiernych przy sobie podobnie, jak sam przytrzymywał się kurczowo ambony, by się nie zachwiać. Coraz częściej zdarzało się, że nie zjawiał się na któryś z posiłków, a Tuomas, jedząc sam przy długim stole, słyszał, jak kaszle i stęka w sypialni.

Stukanie do drzwi i wołanie nie miało najmniejszego sensu, twierdziła Ulla: tak, jak nie życzył sobie żadnego pomocnika, był również nieugięty, nie pozwalając na wizytę lekarza.

Lód na rzece stopniał, uwalniając refleksy na wodzie, lecz pejzaż jeszcze ciemniał przez noc i grunt nadal był zamrznięty. Tuomas, zmuszony, by kłaść coraz cieńsze warstwy farby, oszczędzając akwarele, próbował uchwycić układ

tych refleksów, które zdawały się uwięzionymi fragmentami jakiejś innej jaśniejszej rzeczywistości. W końcu farby zużyły się, a on, pozbawiony swego przyjemnego zajęcia, napisał do biskupa, opisując sytuację, w której się znalazł i przepraszając za swe niepowodzenia; błagał o jakąś radę.

Nie nadeszła żadna odpowiedź. „Kiedy stan dróg się polepszy - pomyślał Tuomas - pojedę tam sam, choć nie jestem pewien, co powiem biskupowi”. Doprawdy, czasem odnosił wrażenie, że język przysycha mu do podniebienia i jakikolwiek nim ruch, konieczny do wymówienia słów, nawet modlitwy czy pieśni, wymaga niebywałego wysiłku woli. W połowie maja drogi wyschły, ale nie pojechał do biskupa. „Zostałem na miejscu - napisał później - i wysłałem pieniądze do Oulu, prosząc o farby; dostałem pigment, siemię lniane i terpentynę...”

W kraju, donosi moja matka, panuje fala upałów. Ludzie chodzą do pracy w szortach i barwnych sukienkach, w przerwie obiadowej leżą w parkach na trawie, kupują wiatraczki. A tutaj grunt nadal jest zamrznięty. Mimo to mieszkańcy wsi zaczęli wystawiać na parapety małe tacki i doniczki z trawą, wyhodowaną z nasion w pomieszczeniach. Czasami, kiedy idę do supermarketu albo do domu kultury, mignie mi przed oczyma stojący na stole w kuchni czy jadalni wazon z kilkunastoma żonkilami lub jedną czy dwiema jaskrawymi i drogimi gerberami.

Kiedy słońce przypieka, nad ziemią unosi się obłoczek pary i czuć woń zgnilizny, coś między odchodami a alkoholem etylowym; jak mi powiedziano, są to zeszłoroczne szczątki organiczne, których procesy rozkładu właśnie dobiegały końca, przerwane zeszłorocznymi mrozami; zwiastuje to początek wiosny.

Domek Tuomasa ma swoje własne wonie: żywiczny ostry zapach suchego drewna, z którego został zbudowany lata temu, ciągle jeszcze na swój sposób żywego; świeżej kawy, a potem, w ciągu dnia, ciężkiego szlamu starych fusów w papierowych filtrach; jabłek i pomarańcz z importu, przechowywanych w

jaskrawych plastikowych miseczkach; niekiedy pościeli, którą zabiera się do pani Lausti do prania, jako że nie było tu pralni. Nie zważając na zimno, skrupulatnie przestrzegam otwierania okien rano na przynajmniej pół godziny, zanim wyjdę. Unoszę rękę w powitaniu na widok przejeżdżających samochodów, które obryzgują mnie błotem, wołam parę słów na dzień dobry do znajomych przechodniów. Większość z nich skinie mi głową lub odpowie pomachaniem ręką. I, oczywiście, jest jeszcze Christina. Oraz paru ludzi, którzy czują się winni wobec mnie albo skępowani moją osobą, albo też żywią jakieś podejrzenia lub łączą mnie ze swymi zaciekłymi sporami z Departamentem Ochrony Zabytków czy oficjalną hierarchią Kościoła luterańskiego. Przeważnie jednak wysłuchują moich pytań z zainteresowaniem i starają się jak najpełniej odpowiedzieć.

Najpierw wychodzę załatwić różne sprawy; idę pieszo, żeby poprawić krążenie i by przebywać jak najwięcej w naturalnym świetle. Dziś ledwo wyszłam ze sklepu, minął mnie jeep Heikkiego Seppa. Zatrzymał się w niewielkiej odległości przede mną, nie gasząc silnika, i otworzył drzwi, czekając, aż podejść.

Wyjaśniłam mu, że specjalnie chodzę na piechotę.

- Pięć minut nikogo nie zbawi - powiedział po an gielsku.

- Racja - odparłam, mimo to rozglądając się bacznie po wnętrzu samochodu. Utrzymał go w wielkim porządku; w kieszenie na drzwiach wsunął schludnie nieodłączne mapy, pióro kulkowe przykleił do półeczki pod tablicą rozdzielczą za pomocą łatwego do oderwania kleju.

Wzruszył ramionami.

- Podobno się pani udało już dużo działać - odezwał się - czy to prawda?

Jak się pani miewa?

Powiedziałam, że jego pomoc okazała się nieoceniona.

- Jeśli o mnie chodzi - rzekł - mam zły dzień.

W ubiegły wieczór długo sprzeczał się z byłą żoną przez telefon. Dziś

rano natomiast wysiadł mu akumulator, przez co spóźnił się na zebranie ze zwierzchnikami-Na zebraniu z kolei dowiedział się, że nastąpią dalsze opóźnienia w kilku projektach, w tym również w odnowie tutejszego kościoła, a to sprawi, że jeszcze bardziej straci na popularności zarówno wśród działaczy religijnych, jak i nowych przybyszów z klasy średniej.

Znowu wzruszył ramionami.

- Takie jest życie. Ale teraz mam dwutygodniowy urlop. Biorę Kirsi na narty do Laponii, a potem odwiedzę matkę. Tymczasem pomyślałem, że może chciałaby pani pobyć trochę w Pappili - odpiął pas bezpieczeństwa, pogrzebał w kieszeni swej ciepłej kurtki z kapturem i wręczył mi pęk kluczy na metalowym kółku: dwa duże i sześć mniejszych, dzięki którym wejdę do głównego domu i które wpuszczą mnie samą do wszystkich zamkniętych w środku pomieszczeń, kiedy tylko zechcę.

Oczywiście nie powinien mi ich dawać. Pappila popada w ruinę od przeszło dwudziestu lat, więc nie powinno się mnie tam wpuszczać bez jakiegoś kasku czy nadzoru - i, rzecz jasna, bez pisemnego zezwolenia wraz z potwierdzonym moim podpisem oświadczeniem, że ponoszę odpowiedzialność. Zezwolenie jednak z jakiegoś powodu nie może dojść z urzędu. Podziękowałam więc gorąco Heikkiemu i życzyłam mu wspaniałego urlopu z córką.

Dopiero potem, kiedy już odjechał, wpadło mi do głowy, że może miał ochotę na kawę albo drinka, i że mogłam się znaleźć w tej sytuacji bardziej stosownie. Gdy wracałam do domu, wiatr wiał mi w plecy, a ja byłam zła na własną niezręczność, a potem zła na niego, bo to on przecież wywołał u mnie poczucie winy.

15

Otyły, spalony słońcem mężczyzna w kaloszach i związanych sznurkiem spodniach pomachał na nas, żebyśmy się zatrzymali. Obsunęły mu się nieco spodnie, ukazując szeroki pas białej skóry. Z czerwonawobrazowej czaszki

wyrastały mu rzadkie kosmyki suchych słomkowych włosów, jak leżące na polu plewy. Za nim ciągnęła się droga, podobna do tej, którą jechaliśmy, wiodąc pod górę do niskiego domu z kamieni i zabudowań gospodarczych; w pobliżu posadzono szpaler topól jako zasłonę od wiatru.

- Harris - przedstawił się mężczyzna, podając potężną rękę przez okienko kierowcy - miło mi poznać. Dziesięć funtów, płatne z góry. - Starannie złożył czek na pół i włożył do tylnej kieszonki, zapinając guzik po omacku. Jego ruchy miały w sobie jakąś specyficzną, wyćwiczoną delikatność, wdzięk grubasa.

- Ziemia już wyschła, nadaje się w sam raz. Ja jestem pod ręką. Moja żona w każdej chwili zaopatrzy was w jajka i mleko, zwykłe butelki, torebki papierowe. Możecie zamówić chleb... Żadnych ognisk. - Podciągnął spodnie. - Tak więc - podniósł rękę - jedzcie was jeszcze więcej. - Za nami zatrzymał się niebieski imp.

- Harris - usłyszeliśmy głos mężczyzny - miło mi poznać...

Powoli zjeżdżaliśmy na wolnym biegu w dół; zablakane gałązki ocierały się o boki przyczepy. Przez żywopłoty wiał lekki wietrzyk, niosąc gęsty, słodki zapach, którego nie potrafiłam nazwać. Teren się nagle wyrównał i w końcu byliśmy na miejscu - rozległym, tętniącym barwami polu, rozpościerającym się w poprzek doliny; rosnące tu drzewa wyznaczały zapewne bieg rzeki, a odległe pastwiska, nakrapiane bydłem, wznosiły się po drugiej stronie, bardziej stromej.

Zaraz za bramą podeszło kilku mężczyzn, by nas powitać; pokazywali gestami w stronę odległego zakątka, gdzie drzewa dawały nieco cienia. Niezgrabnie stąpaliśmy przez chropowaty teren. Green i Thwaite z Humberside, dalej pan Thorn z Suffolk, a tuż za nimi zbierali się pozostali. Na samym końcu szła hałaśliwa gromadka grających w piłkę dzieci i chudy, jakoś nieforemnie zbudowany chłopiec, Ian McAllister, który zanim mógł iść śladem innych, musiał postawić swą altówkę na ziemi, by znaleźć okulary.

Hernowie i ja staliśmy w wydłużonym ukośnym cieniu przyczepy. Chwyając każdego za dłonie i przytrzymując je przez chwilę, Hernowie witali

się ze wszystkimi, z każdą osobą, dorosłym i dzieckiem... W trakcie tych czynności przybyła kolejna rodzina, powtarzając ten sam rytuał, minęło więc trochę czasu, zanim Barbara poinformowała całe zgromadzenie o milczeniu Marka i oznajmiła, że ja, Natalie, pochodzę z całkiem odmiennego środowiska, niemniej bardzo chcę z nimi przebywać.

- Dobrze - powiedział mężczyzna nazywany Thwaite, niezbyt uważnie słuchając - wszyscy przyjeżdżają, choć niestety Paul Levenson ma opóźnienie...

- Kto to jest? - wyszeptałam do ucha Markowi, a słowa te napłynęły znikąd, więc zaczerpnął powietrza i mało brakowało, a odpowiedziałby mi z rozpędu. Thwaite gestykulował naokoło, pokazując niebieskie toalety przenośne, dla mężczyzn w oddalonej, położonej wyżej, części pola, dla kobiet w o wiele niższej części, a także dwa krany z wodą przy bramie, wydzielone miejsce na sąsiednim polu, gdzie jutro mamy rozbić wspólny namiot do przygotowywania jedzenia, a miejsce poniżej ma służyć z kolei na zebrania. Za jakąś godzinę będzie gotowe jedzenie. Czy jeszcze ktoś chciałby się czegoś dowiedzieć?

- Czy mogę słuchać radia w samochodzie? - spytałam go.

- Hm, tak sądzę - odrzekł, zbity z tropu; dopiero teraz tak naprawdę mnie zauważył: moje włosy, za małe ubrania, oczy - teraz intensywnie zielone w otoczeniu takiej ilości trawy, utkwione, w niemal dotkliwy sposób, gdzieś między jego brwiami a włosami - nie widzę żadnych przeciwwskazań.

- Mamy tam tranzystor - powiedziała Barbara, kiedy Mark poszedł z ojcem ustawić przyczepę we właściwy sposób - zaraz przyniosę. Możemy sobie usiąść w jakimś spokojnym miejscu, a ja przywrócę ci ludzki wygląd.

Trzymałam radio na udach, skierowawszy jego antenę w stronę doliny i pochyliłam się do przodu, opierając łokcie na kolanach i opuszczając luźno ramiona. Apollo 11 znalazł się poza zasięgiem środków komunikacji, po ciemnej stronie Księżyca. Pozostawieni na Ziemi ludzie, oczekujący na wieści, mówili bez przerwy o stopniach i precyzji pomiaru, czasie, symulacjach

komputerowych, polu grawitacyjnym, prędkości...

A ona przykucnęła za mną na piętach i ujęła moje włosy w obie dłonie, schowała je w ich wnętrzu, ścisnęła, zważyła, poczuła ich wilgotne ciepło przy korzonkach, puściła. Włosy były splątane i zasupłane, sprężyste, samowolne, a w miejscach, gdzie przyciskałam głowę podczas snu, zbite w gęstą masę. Porozdzielała je palcami na niewielkie partie, trzymając jedną ręką powyżej pierwszego supelka, gdy przeciągała po nich grzebieniem, aż wbiły się zęby. A potem następowało kolejno poluźnienie i szarpnięcie, poluźnienie i szarpnięcie, drobne ruchy przedzielone chwilą odpoczynku.

- To nie boli - powiedziałam jej.

Przysunęła się bliżej. Ludzie w radiu nie przerywali monotonnej gadaniny.

- Niech mi pani coś opowie - odezwałam się.

Barbara sięgnęła pod spód włosów, skąd w ciepłym klimacie karku wyrastał miękki delikatny puszek, czesała je w górę, potem ostrożnie w dół po bokach głowy, za uszami.

- Co dokładnie masz na myśli? - zapytała. Pochyliłam się jeszcze bardziej do przodu, by ułatwić czesanie.

- Coś ciekawego.

Barbara rozdzieliła włosy na trzy części, znowu przeczesując każdą z nich. Teraz, gdy znikły już supelki i poszczególne pasma układały się gładko obok siebie, kolor włosów nabrał głębi, stał się intrygujący.

- Coś, o czym nie wiem - powiedziałam.

- Spodziewam się, że nie wiesz o mnóstwie spraw. - Pozwoliła, by po jej twarzy rozlał się uśmiech, zdając sobie przecież sprawę, że i tak go nie zobaczę i nie odbiorę go jako kpiny. Włosy przeciekały między jej palcami, płynne, ciepłe, niepodobne do niczego z wyjątkiem samych siebie.

- Wiem więcej, niż pani sądzi - rzekłam. Po raz pierwszy wygłosiłam coś w tym rodzaju, jawne zaprzeczenie jej słowom, i oznajmiłam to wyraźnie, choć

bardzo cicho. - Nawet wiem, jak się robi dzieci - przyznałam - no, chyba że się bierze pigułki. Jajo i robaczek; wiem o tym wszystkim.

- To - powiedziała - wszystko, to naprawdę ogromna wiedza.

Miałam dalej zamknięte oczy, skupiona na tym, jak leciutko pociąga mnie tuż u nasady włosów.

- Kiedy dziecko się wydostaje na zewnątrz - powiedziałam - to bardzo boli. - Jak pieprzenie, tak tłumaczyła Sandra.

- Tak - odparła po prostu Barbara.

W ciszy, która nastąpiła, czy przypominała sobie, jak rodziła Ruth? Jak poród nieoczekiwanie okazał się cięższy od pierwszego, jak w połowie najgorszego pomyślała: Ty, słuchaj, ja robię, co mogę. Nie poddawaj się, ja tego nie zrobię. - Jak one dwie, właśnie one dwie, stanowiące parę, tkwiły we wszechświecie swego połączonego, lecz walczącego ciała, a lekarz i pielęgniarki, mimo wszelkich zabiegów, mogli jedynie pozostawać na zewnątrz, podczas gdy matka i dziecko próbowali się rozdzielić, aby móc się nawzajem ujrzeć, uśmiechnąć się, zacząć naukę porozumienia się słowami - proces tak trudny do opisanego, jak znalezienie się za Księżycem, po jego ciemnej stronie, nie mogąc powrócić do domu...

W każdym razie warkocz rósł miarowo i żadna z nas nie odzywała się przez jakiś czas.

- Później - rzekła w końcu - ból przypomina coś, co zdarzyło się w innym kraju, lata temu. Umiesz o nim opowiedzieć, lecz już minął... Dzieci to dar od Boga - dodała.

- Więc dlaczego...

- Hmm?

- To znaczy - powiedziałam ostrożnie, w sposób, który sugerował pytanie, ale nie do końca, stanowiąc za razem zaproszenie - to znaczy - pani ma tylko jedno.

Owinęła koniec mojego warkocza elastyczną tasiemką, a ja obróciłam się,

by na nią spojrzeć, przebić się wzrokiem przez te soczewki, by zobaczyć, co kryją, być jak najbliżej niej, wtedy i teraz, stale.

„Z pewnością - myśli - nie ma nic złego w tym, żeby to wytłumaczyć dziewczynce w jej wieku; przecież już może się dowiedzieć, że takie rzeczy się zdarzają, choć, rzecz jasna, bez szczegółów...”

- Miałam przed Markiem małą córeczkę - odzywa się - ale żyła tylko parę miesięcy.

Patrzy prosto. Nie płacze. Wręcz przeciwnie, jej usta, jak zawsze, subtelnie unoszą się w górę i twarz się wygładza. Tak jakby w okamgnieniu („W okamgnieniu - pisze Envall - można utracić wiarę całego życia, a potrzeba kolejnego życia, by ją odzyskać”) odmłodziła wewnątrz, i jakby w jej żyłach płynęło coś lepszego niż zwyczajna krew, i jakby oddychała czystym tlenem, nie powietrzem. „Czy mogę komukolwiek przekazać, co teraz czuję? - myśli. - Siedzę tu od pół godziny z pożyczoną mi na tydzień córką pani Baron, moje dłonie toną w jej przesubtelnym rudozłocistym runie włosów, mówię o tym i owym, słucham, po czym opowiadam jej...”

Oczy Barbary za okularami jaśnieją. Czuje się pełna życia i otwarta. Potrafi nawet zacząć rozumieć tych mężczyzn, mknących przez przestrzeń kosmiczną, mówców o najbardziej ciętych językach, tych, w których zamiera odruch wychodzenia naprzeciw innym za pomocą słów (ziemia „zielona” i „brązowa”, widok „zachwycający”) albo więźnie gdzieś między sercem a gardłem. Tak jak ich ciała opatulają ogromne skafandry, o których tylko słyszała, ale których nie umie sobie wyobrazić, ich serca i dusze spowijają doświadczenie bycia astronautami; dotarli po prostu do punktu, w którym zawodzą słowa, więc pozostaje im tylko nadzieja na wzajemne porozumienie.

Ujmuje mnie za ramiona i przyciska swą twarz do czubka mojej głowy, wdychając rozkoszną woń włosów i skóry, to intymne, zwierzęce kadzidło. A wtedy radio obwieszcza znieścacka, usiłując zachować spokój:

- ...nadal są w kontakcie, ale mają problemy z przekazem... Problemy z

przekazem - powtarza. Odrywa my się od siebie. Przez mniej więcej minutę w eterze panuje absolutna cisza. Odzywa się jakiś nowy głos:

- Houston - (słysząc, że jest oddalony o setki kilometrów) - jesteśmy na orbicie okołoksiężycowej. Silniki odpaliły niemal bez zarzutu...

- No proszę - krzyczę do niej - na pewno im się uda!

Parę minut później, kiedy w radiu znowu przynudzają, sięgam po koniec mojego świeżo zaplecionego warkocza i wkładam go eksperymentalnie do ust.

- Czy to, co mi pani powiedziała, to tajemnica? - pytam.

- Nie - mówi ona - tylko coś, o czym za wiele nie mówię. - Wstaje i gwałtownie się ogania od chmary muszek, które się zbierają nad nami.

- Najwyższy czas, żebyś zapomniała o tym wszystkim, o czym mi mówiłaś, że wiesz, i poszła pobiegać z całą resztą.

- Podoba mi się tu - mówię. Nie ruszam się.

Podciąga rogi koca, przewraca mnie na trawę, pada na mnie, łaskocąc mnie rozkosznie między żebrami, aż piszczę ze śmiechu. Potem goni mnie po zboczu.

- Maskelyne... Boot Hill... Sidewinder...Mount Marylin... Widzę krater Arystarcha...niewielka fluorescencja, rodzaj jasności... - Za nami głos Armstronga jak duch wylewa się z odbiornika, który leży, porzucony, w trawie.

Na polu także inne radia szeptały o tych samych albo innych sprawach. Jedna grupka dzieci pożyczyła altówkę lana McAllistera, inna znów, w tym Mark, grała żwawo w pięcioosobowych drużynach w piłkę nożną na służącym do zebrania miejscu za żywoptem: dobre, żeby się wyszaleć, jak to określiła Barbara. Dziewczynki różnego wzrostu czekały na swoją kolej, by skoczyć przez skakankę utrzymaną przez dwie starsze koleżanki.

- Pierwsza godzina, druga godzina, trzecia godzina, czwarta - śpiewają - piąta godzina, szósta godzina, siódma godzina, i jeszcze...

Barbara poczekała, aż wbiegłam na pole, zawahałam się, po czym zajęłam kolejkę do skakanki, dziewczynka z warkoczem, całkiem jak one. Ale też inna.

Odwrociłam się i pomachałam.

- Jak ci na imię? - zapytała czarnowłosa dziewczynka przede mną, mrużąc oczy od słońca. Była pulchna i niska, a jej uczesanie - krótki i gruby kucyk z grzywką - sprawiało wrażenie, że jej twarz jest jeszcze bardziej pyzata niż w rzeczywistości.

- Natalie - powiedziałam.

- Jakies strasznie cudaczne imię - skomentowała ze złością, jakby to miało wielkie znaczenie.

- Wcale nie - odparłam - francuskie - i postanowiłam w ogóle nie pytać o jej imię, choć wiedziałam dobrze, że brzmi ono Christina. Zamiast tego patrzyłam ponad czubkiem jej głowy na skaczącą właśnie dziewczynkę. Robiłam to tylko parę razy, i to dawno temu. Wyglądało, że to coś trudnego, a ja z jakiegoś powodu - chyba ze względu na Barbarę - chciałam dobrze wypaść.

„Jeśli pogoda się utrzyma - myślała Barbara - trzeba będzie dla dziecka pożyczyć kapelusz od słońca”. Podeszła do przyczepy Thornów i zastała tam Edith, która szykowała się do przeniesienia nieprzemakalnej płachty i dwóch dużych mis z sałatką ziemniaczaną na drugi koniec niżej położonego pola, bliżej rzeki, gdzie miała być kolacja. Żyły na grzbietach jej dłoni i chudych ramionach wystawały jak powrozy i choć nie pozwoliła się całkiem wyręczyć, pomoc ją ucieszyła.

Pan Thorn od dwóch tygodni nie czuł się najlepiej, wyjaśniła, kiedy Barbara rozkładała brezent i przykryte ściereczkami miski z jedzeniem. Miał bóle brzucha, nie mógł wstawać i chodzić - ale lekarz niczego nie stwierdził, więc wszystko w rękach Boga...

Poszły po resztę jedzenia.

- Co tam z Markiem? - spytała pani Thorn, bo wiedziała, że nie może spytać jego bezpośrednio. - Taki rozsądny chłopak. A jak urósł!

- No i - dodała - to dziecko, które przywieźliście ze sobą, ta Nadine.

- Natalie - poprawiła ją Barbara, rzucając szybko spojrzenie na bok.

- Tak.

Dotarły na szczyt zbocza, a starsza kobieta, oddychając ciężko, położyła rękę na ramieniu Barbary i obie się zatrzymały.

- A więc zastanawiam się - zaczęła Edith - czy nie powinniście byli z Johnem z kimś się skonsultować, zanim ją tu zabraliście?

- Dlaczego?

Coś w głosie Barbary sprawiło, że oczy Edith rozszerzyły się, jakby spłoszone.

- Doprawdy uważam, że powinnaś być bardzo ostrożna - powiedziała.

- Ależ oczywiście, Edith - odparła Barbara.

„Ale im jestem ostrożniejsza - pomyślała, gdy Edith ujęła jej dłonie, mocno uścisnęła, poklepując i gładząc kciukami ich wnętrza, jakby potrafiła wyczuć, co czai się w ich środku i wygłaszać to na zewnątrz - im jestem ostrożniejsza, w stosunku do tego, ile sobie odmawiam i jak nad sobą panuję, tym doskonalej to wszystko się układa, po mojej myśli...”

Kiedy zwracała się w tej sprawie do Boga, pytając, co to oznacza, On milczał. Edith powiedziałaaby, że problem tkwił w jej niewłaściwym podejściu do modlitwy. Lecz nie powiedziała Edith o niczym, i nie powie, i po raz pierwszy, odkąd prowadziła batalię z rodzicami, by poślubić Johna Herna, poczuła jakąś gwałtowną siłę, która się w niej kłębiła i wierzgała, budząc przerażenie i błogość.

Tego wieczoru do kolacji na rozłożonych na trawie kocach zasiadło nas pięćdziesiąt osób, na początku w kręgu, potem, gdy już zmówiliśmy modlitwę dziękczynną przed posiłkiem, rozproszyliśmy się w mniejsze grupki. Do końca następnego dnia miało jeszcze dojechać około trzydziestu osób. Niebo pociemniało, przybierając szarawofioletkowy odcień i zaszło lekką mgiełką, a kiedy jedliśmy, pokazały się nieśmiało pierwsze gwiazdy, po czym, już odważniej, zaczęły się mnożyć i rozpędzać mgiełkę, Ian McAllister stanął z zaciśniętymi oczyma i zagrał jakiś nowy utwór, który ćwiczył przez cały czas,

nowoczesny, pełen pauz i nagłych potoków nut, a ja trzymałam Barbarę za rękę.

16

Obserwowałam ich. Na wpół ukryta za przyczepą Bryantów, zerkając zza rogu, widziałam, jak John Hern siedzi na stołku o trzech nogach, ustawionym w plamie cienia u dołu schodów, a Barbara przycina mu nożyczkami brodę. Nic w tym dziwnego, że włosy walały się po całym jego ciele. Szorstkie włosie bródki, przyprószone siwizną, fruwało w kępkach we wszystkie strony, poniewierając się po zawiązanym pod szyją ręczniku. Zabłąkane włosy fruwały dalej, spadały z ręcznika i przyczepiały się do obnażonych ramion i ciągnących się po bokach rządków mniejszych włosków na brzuchu. Kiedy większość już została przycięta, a on dalej cały był we włoskach, niechlujny, ona zanurzyła wilgotny pędzel w pianie mydlanej. Widziałam, jak rozchylają się jej wargi; zaczęła się uśmiechać. Obrzuciła go szybkim spojrzeniem, dzierżąc pędzel w dłoni, i oboje się zaśmiali. Prostował palce u nóg w trawie, odchylił głowę w tył i patrzył w górę na korony drzew i niebo, i znów kierował wzrok w dół.

- No, dalej! - powiedział. Jego wargi drgnęły, kiedy pędzel się zbliżył. Namydliła mu całą twarz.

- Siedź spokojnie. Nic nie mów. - Ujęła w dłonie jego podbródek i stanowczym gestem obróciła w swoją stronę. Zaczynając od miękkiej poduszeczki ciała tuż przy lewym uchu, pociągnęła brzytwą w dół twarzy, trzymając się zarysów żuchwy.

- Nie ruszaj się - rzekła - pssst.

Byłam bardzo blisko. Gdybym uciszyła własny oddech, usłyszałabym wilgotne, szorstkie mlaskanie brzytwy, wyobrażając sobie jej pierwsze przylgnięcie do skóry i powolne obsuwanie się w dół.

- W porządku? - spytała. Oczy mu się rozszerzyły na znak potwierdzenia, i siedział tam całkiem nieruchomo, cichy i posłuszny. Jej twarz była tak blisko jego, że musiał czuć, jak jej oddech igra na jego świeżo odsłoniętej skórze.

Pracowała miarowo na sporych płaszczyznach jego twarzy, policzkach, szyi, docierając w końcu do niewygodnych obszarów wokół ust i przy szyi, gdzie musiała stosować drobne, dobrze wymierzone ruchy ostrzem. Opryskała mu twarz czystą wodą, przetręła do sucha, ściągnęła ręcznik i strzepnęła go. Pan Hern złapał ją za rękę, którą obrócił grzbietem w dół, ucałował bladą skórę jej nadgarstka i wewnątrz dłoni.

- Wyglądasz jak nieboskie stworzenie - powiedziała, śmiejąc się, a on nie przestawał całować jej po ramieniu.

Wyszłam więc ze swej kryjówki i dali sobie spokój. Dobrze się przyjrzałam nowej twarzy Johna: dzieliła się na dwie połowy, oczy i czoło, jak przedtem, tajemne krzywizny żuchwy, pulchny, sinawobiały, ledwo co odsłonięty podbródek. Półksiężycowaty pierścień wokół szyi i dolna jedna trzecia ramion już nabrały brązowawego, podobnego do naparu z herbaty odcienia od słońca, wyrównując się z twarzą. Zerknęłam na Barbarę, mówiąc:

- Mark nie chce ze mną rozmawiać.

- Wiesz przecież, że on się do nikogo nie odzywa - odparła. - Może na razie go zostawisz i spróbujesz porozmawiać z kimś innym? Myślałam, że jesteś z dziewczynkami i pomagasz przy robieniu posiłku?

- No tak, ale one mnie nie lubią - powiedziałam.

- Oczywiście, że lubią.

- Co wy robicie?

- Trzymaliśmy się tylko za ręce - wyjaśniła.

- Chcę porozmawiać.

- Hm, cieszę się. Wracaj do namiotu z jedzeniem, zaraz tam wpadnę pomóc.

- Wołałabym teraz porozmawiać. Proszę.

- Za momencik - upierała się Barbara - pół godziny.

Drzwi do przyczepy nie były przyknięte; zobaczyłam, że nie złożyli łóżka.

Stałam, nie odzywając się, bez ruchu. Byłam gotowa stać całe wieki, jaki więc sens miała ta batalia?

- Co z tobą? - spytała. - O co chodzi?

Nie odpowiedziałam.

- Kochanie - rzekła - sądzę, że lepiej się dowiem, co się stało - a John patrzył, jak odchodzimy między przyczepami i namiotami, a ja włożyłam dłoń w dłoń Barbary, którą to on trzymał poprzednio. Prowadziłam ją, prawie biegnąc, ciągnąc za ramię, za naszą przyczepę i Bryantów, dalej przez pole, za furtkę ogrodzenia i na ukos, w poprzek zbocza, mijając płaski teren, na którym poprzedniego wieczoru jedliśmy kolację, wzdłuż strumienia, przez kolejną furtkę w ogrodzeniu - wkrótce pole, na którym nocowaliśmy, znikło nam z oczu. Nie miałam pojęcia, dokąd idziemy i tylko niejasne przeczucie tego, jak jej wyjaśnię to, że wlokę ją tak daleko. Jestem pewna, że i ona nie miała pojęcia, co takiego jej powiem, i oto - kiedy nasza zdyszana dwójka biegnie przez szorstką trawę i jaskry rosnące przy powolnym strumyku - ostatni moment, po którym wszystko się zmieni.

17

Prowadzące do pappili drewniane schody są śliskie od rosy i odwilży, ale wielki klucz bez trudu przekręca się w zamku, który musiano nie tak dawno temu naoliwić. Przez okna do przedpokoju wlewa się światło, pada na stojące parami komódki i w poprzek dywanika. Skręcam w lewo do długiego pomieszczenia, też bardzo jasnego, z grubymi kotarami w niebiesko-białe pasy, wiszącymi u trzech ogromnych okien z otwartymi, niebieskoszarymi okiennicami; w wystroju sporo jest toczonego drewna i gładkich obić. Dobrze by tu było hodować rośliny, pewnie dlatego ustawiono tyle stolików i zamontowano wiele półek. Przy przylegającej do korytarza ścianie stoi duży piec. W drugiej części pokoju usunięto z parkietu jakiś metr klepek, odsłaniając częściowo zbutwiałe legary i klepisko. Po prawej stronie, w głębi

pomieszczenia, znajdują się zamknięte na klucz drzwi.

Za pomocą jednego z mniejszych kluczy dostaję się do środka ciemnego pokoju, w którym lekko pachnie wilgocią. Po omacku podchodzę do okna i otwieram okiennice. Pokój pomalowano na odwrót niż tamten większy: ściany na niebieskoszaro, a stolarkę na biało. Tak, jak miałam nadzieję, to gabinet pastora. Przestrzeń przy ścianie Po prawej zajmuje ogromne biurko z ciemnego drewna; Po lewej zauważam pakowną przepelnioną biblioteczkę nad kilkoma niskimi szafkami. Przeważają stare, oprawne W skórę książki, gdzieś stoi parę nowszych tomów w płótnie, czy nawet zdarza się książka w miękkich okładkach. Krzesło przy biurku, co od razu rzuca mi się w oczy, jest przybliżoną kopią krzesła, które widziałam w gabinecie wuja Runara w Muzeum Regionalnym - rodzaj balii z wyściełanym skórzanym siedzeniem, z mechanizmem obrotowym - przypominającą koło podporą, spoczywającą na podłodze. A zatem czy to pewne, że właśnie jego używał pastor Tuomas Envall? Siadam na nim, próbuję się pokręcić. Nawet najmniejszy ruch czy gest wywołuje złowieszcze skrzypienie, bez wątpienia jednak zreperują je podczas konserwacji. A wtedy wokół domu założą taśmę, żeby nie wchodził nikt niepowołany... Naprawdę przyjechałam w samą porę.

Kieruję uwagę na biurko, tak wielkie, że nie potrafię dosięgnąć drugiego końca, chyba że wstanę. Jest szersze, niż mogę objąć rozłożonymi ramionami, choć zarazem dość niskie. Pośrodku blatu wprawiono ciemnoniebieski prostokąt ze skóry, za którym w zasięgu ręki leży suszka i stoją srebrne kałamarze, teraz puste. Po jednej stronie jest osiem małych szufladek, a po drugiej trzy większe, wszystkie puste, z wyjątkiem tej na kartoteki, wyłożonej jakąś delikatną tkaniną, chyba rypsem, w kolorze ciemnej czerwieni, tu i ówdzie poprzecieraną; samo dno wyściełono dodatkowo grubymi arkuszami kremowej bibuły. Niektóre szuflady podzielono na małe przegródki, z których część zaopatrzone w niewielkie wieczka na zawiasach, podnoszone za pomocą półkolistego srebrzystego zagłębienia. W jednej z tych przegródek na zawiasach znajduję

lśniący nowy spinacz, trzy zetłale gumki recepturki i pinezkę. A wtedy dociera do mnie, że pod biurko wciśnięto dwie dodatkowe części blatu, stanowiące w razie potrzeby (jakby było mało miejsca!) jego rozszerzenie. Ozdobiono je wstawką z takiej samej niebieskiej skóry jak na blacie, choć ta jest o wiele jaśniejsza i nowsza, niemal nie używana...

Nie przyszłam tu z jakimś konkretnym zamiarem, by coś odnaleźć, jednak coś mnie skłania do ponownego przeszukania biurka, i uzmysławiam sobie, że te skórzane wstawki są osadzone na zawiasach tylko z jednej strony, z drugiej zaś umocowane maleńkimi kręcącymi się klamerkami z metalu. Rozchyłam je za pomocą spinacza. Pod każdą z wstawek znajduje się płytki schowek z surowego drewna, niczym nie wyściełany. Ten po prawej zawiera chusteczkę i rodzaj rozszerzającej się metalowej bransolety, której niegdyś mężczyźni używali, by utrzymać odpowiednią długość rękawów u koszuli; ta po lewej kryje cienki oprawny w skórę notes, na którego początkowej karcie zapisano datę 1899: dwa lata przed śmiercią Tuomasa. W pierwszym odruchu spycham notes z biurka i patrzę niemal gniewnie po pokoju, a książki po kolei odwzajemniają moje spojrzenie, w powietrzu zaś nie ma najmniejszego powiewu. Sam fakt, że przebywam w tym pomieszczeniu od dziesięciu minut i już coś znalazłam, wydaje się niezwykle, prawie niesamowity. A wtedy, gdy zaczynam wczytywać się w tekst w notesie, wszystko inne blednie.

Pismo, raczej drobne i harmonijne, choć miejscami przerywane nagłymi, nieproporcjonalnymi pociągnięciami piórem w górę i w dół, należy bez wątpienia do niego. Zapełnionych jest tylko kilka początkowych stroniczek. Przewracam kartkę.

„Obrazy, jakie jawią się w umyśle - czytam, zmuszając zbitki spółgłosek, by nabrały znaczenia i z grubsza tłumacząc na bieżąco - często na granicy snu i jawy, najtrudniej osądzić i najtrudniej zwalczyć. Och, Panie mój, czyż nie zmagalem się w tej materii...”

Ponownie czuję, że to za wiele. Odkładam notes na chwilę, siadam na

krześle. Cienie gałęzek drzew za oknem igrają na ścianie przede mną, na której wiszą oprawione teksty biblijne, wyhaftowane krzyżykami i ścięciem łańcuszkowym. Po jakimś czasie otwieram okno, by wpuścić trochę świeżego powietrza. Potem wydaję własny notes, długopisy, słownik i zaczynam mozolnie przekładać pozostałą część tekstu.

„A jednak czasami, kiedy budzę się z mych haniebnych snów, wydaje mi się, że ta sypialnia jest mniej rzeczywista niż to, co się w nich odbywało; podobnie myślę i teraz o piórze, które trzymam w dłoni, o papierze, po którym piszę, o biurku, na którym ten papier leży...”

Przerywa w pół zdania. Dwie strony dalej znajduję kolejny zapisek. „Mój Boże, jakże się tęskni”, pisze tym samym niebieskoszarym atramentem, którego używał przy prowadzeniu urzędowych ksiąg - „jak bardzo, nawet pod koniec życia, tęskni się do tego, by jakaś inna istota ludzka poznała nas tak w pełni, jak Ty znasz mnie - czy tego chcę, czy nie - a przez to, że mnie znasz, wspierasz mnie przecież i powściągasz to, co złe. Mimo to (naprawdę czasem tak myślę), założmy, że Cię nie ma? Wtedy nikt...”

Z całą pewnością to biurko nie jest puste.

Zauważam, że moje dłonie zaczynają drżeć. Chce mi się jednocześnie płakać, ale nie mogę, za bardzo jestem spięta. Wyznanie lub odkrycie czyjejś tajemnicy nigdy nie pozostaje bez dalszych reperkusji. Chwila ta zawsze stanowi pewien początek, może bowiem z zawrotną prędkością otworzyć jakąś możliwość w miejsce innej i w sekundzie zmienić całokształt czyjegoś życia na lepsze lub na gorsze. Dlatego właśnie dochowuje się tajemnic i dlatego ich ujawnianie jest, w rzeczy samej, czymś przerażającym, a zanim się to uczyni, powinno się to bardzo długo przemyśleć.

18

- Natalie - zatrzymajmy się tutaj - mówi. Jej twarz zwilgotniała od potu, ja też czuję, że oblewa mnie gorąco. Nad strumieniem rośnie rachityczne drzewko,

dające skrawek cienia. Siadamy tam i rozluźniam ciasno zawiązane sznurówki tenisówek - niegdyś białych, teraz szarych z odchodzącą z przodu podeszwą. Brakuje też nie których metalowych oczek, muszę więc przeciągać sznurówki przez wystrzępione dziurki.

- Może bym ci kupiła nowe? - pyta. - Jak mają w sklepie we wsi, to kupię. O co więc chodzi?

- Nikt mnie tu nie lubi. Przezywają mnie. - Kiedy to mówię, łzy napływają mi do oczu, choć to nie przezywanie je wywołuje - z tym umiem sobie dać radę - ale sam pomysł z butami. Jedna rzecz tak łatwo przechodzi w drugą; lata później będę żałowała, że ta rozmowa się właśnie tak zaczęła, w złej wierze; teraz jednak wydaje mi się to najnaturalniejszą sprawą na świecie.

- To Christina Gardner zaczęła.

- Co zaczęła?

- Przezywała mnie grzesznicą.

- To dlatego, że nie chodzisz na nasze nabożeństwa - mówi - porozmawiam z jej matką.

- A jestem? - pytam, nie całkiem dając się przytulić. - Kradłam różne rzeczy - informuję, zdzierając tenisówki bez rozsznurowania ich. Zapalam się do tych dociekań, moja ciekawość już naprawdę wzrosła. - Ale robiłam to, bo musiałam. - Do rzeczy, które ukradłam, należy dwudziestofuntowy banknot, spoczywający teraz w portmonetce Barbary, w sumie prawie nic w stosunku do tego, co chciałabym zabrać. Ale Barbara pewnie sądzi, że mam na myśli słodycze. Małe cukierki za parę groszy leżące z boku sklepowej lady w pudełkach, takie z lukrecji i do żucia. Albo, raz na jakiś czas, pakowaną tabliczkę czekolady z półki bliżej kasy - najwyraźniej wyobraża sobie, jak to robiłam, wracając do domu z lepkimi palcami i klejącymi się od cukru ustami.

- Oczywiście - zaczyna, kradzież jest grzechem i ma znaczenie, nawet wtedy kiedy istnieje po temu dobry powód. Jednocześnie jednak nie ma w tym nic szczególnego. - Jej głos zniża się i robi monotony, jak u nauczycielki;

ciągnie dalej, objaśniając, w jaki sposób grzechy to czyny, którymi ludzie ranią siebie nawzajem, ranią samych siebie albo ranią Boga, co i występuje w dwóch poprzednich przypadkach. Domyślam się, że używała podobnych słów także do innych osób, i moja uwaga się rozprasza. Skoro ściągnęłam już buty, zastanawiam się, czy nie zanurzyć stóp w strumyku, ale z jakiegoś powodu nie mogę się ruszyć. Obejmuję nogi ramionami, na których opieram głowę. Powoli zamykają mi się oczy. Parę razy usiłuję je na siłę otworzyć.

- Wszyscy jesteśmy grzesznikami - podsumowuje Barbara - to część człowieczeństwa. W tym więc sensie - tak, ty też jesteś grzesznicą. Ale rzecz polega na tym, że gdy wyznamy to, co uczyniliśmy i gdy żałujemy, Bóg zmaże nasze grzechy.

Tu urywa znienacka i wtedy zdaję sobie sprawę, że spogląda na mnie w jakiś szczególny sposób. Utkwiła we mnie swe ciemne oczy, patrząc na wyblakłe rzęsy, przypominające niedbały chaotyczny ścieg, ledwo zarysowany na tle skóry. Dala sobie spokój z wyjaśnieniami i teraz tylko chłonie mnie wzrokiem, czekając na to, co się może zdarzyć. Prawie niezauważalnie przesuwa wzrok po mojej twarzy, jakby wyczytała w niej coś niezmiernie interesującego, napisanego małą czcionką.

- No ale dlaczego? - pytam. - Dlaczego On tak po prostu wszystkim przebacza? - Brzmi to przecież tak, jakby każdy wysiłek był podejmowany na próżno.

Nie zwraca na to uwagi i pochyła się jeszcze bliżej. Słyszę, jak wciąga powietrze.

- Wiesz, że jestem taka jak ty, Natalie - mówi. Każdy, kogo by się zapytała, poradziłby jej, by nie robiła tego, co właśnie zamierza uczynić, albo żeby się przynajmniej nad tym zastanowiła. Ale Barbara nie ma lub nie daje sobie (może nawet nie chce sobie dać?) czasu do namysłu. Pozwala, by jej tajemnica wyszła na jaw w całości, jakby należała do tych kobiet, o których czyta się w czasopiśmie, że poszły do łazienki i urodziły, nieświadome tego,

co się z nimi dzieje, może nawet swej ciąży.

- Też popełniłam pewien grzech. - Zawiesza głos, na wpół oczekując, na wpół mając nadzieję na dalsze pytanie, które skłoni ją do rozwinięcia tematu. Lecz choć się nie odzywam, tylko czekam, ona i tak mówi dalej, wyjaśniając mi ściszym tonem, że był to grzech przeciwko Bogu, całej społeczności, jej mężowi i niej samej. Przełyka z trudem ślinę, pochyla się do przodu, jakby określanie go sprawiało jej fizycznie jakąś trudność:

- Przechowuję pewien wizerunek - mówi. Jej głos musi się precyzyjnie przemieszczać przez kulę w gardle. - Fotografie. Nigdy wcześniej o niej nikomu nie wspominałam - dodaje. Powoli moja twarz rozciąga się w szerokim uśmiechu.

- Tak więc sama widzisz - i tu po prostu urywa, spłoszona, jakby nie miała pojęcia, co można powiedzieć. Po „tak więc sama widzisz”. Niewykluczone, że ma ochotę powiedzieć „proszę, nie mów o tym nikomu”, ale prośba o coś takiego wydałaby się jej niemal jeszcze gorsza od obciążania mnie tajemnicą.

- Co na niej jest? - pytam. Mój głos brzmi rzeźko i ciekawsko, jak zawsze; naprawdę nie wiem, jak bardzo ważne jest i będzie to, co powiedziała. - Co jest na tej fotografii? Czego to jest zdjęcie?

- Niemowlęcia, dziewczynki - odpowiada natychmiast, tym razem z uśmiechem. - Opowiadałam ci o niej. Tej, która umarła. - Kładzie swą twarz tuż przy mojej i szepcze mi do ucha, łaskocząc oddechem:

- Emmy - tak chyba mówi. Potem zaciska wargi i kręci powoli głową: wiem, że nie powinnam już zadawać pytań. Zdejmuje okulary; przymierzam je i śmieję się, gdy świat się rozlewa, pędzi wprost na mnie, przygniatając do ziemi. Leżę tam, nasłuchując letnich odgłosów owadów, które chroboczą w trawie; ledwo słyszalnego kapania strużki wody; dobiegającego z oddali nierównego rytmu stukania młotkiem; pokrzykiwań z obozu, gdzie rozbijają namiot na posiłki.

Barbara siedzi obok mnie w bladym, zamglonym świetle. Co musi czuć

po takim wyznaniu, nawet najcichszym, uczynionym wobec dziecka, które nie do końca je rozumie? Podzielić się tajemnicą i nie móc już tego cofnąć - to jak przebudzenie w szpitalu, gdy wie, że jakaś część jej samej przypadła na wieki; nagle odmieniona, lecz niezdolna do skargi, bo sama to sprawiła; bliska łez, choć zarazem odczuwająca ulgę. Świadoma swego otoczenia tak, jak nigdy dotąd przez te wszystkie lata; całkiem niepewna, jaką to wywoła zmianę.

Od strony obozu dochodzi nierówne wiwatowanie, obwieszczające szczęśliwe rozbicie namiotu.

- Tak więc - mówi Barbara, marszcząc brwi i wracając do punktu wyjścia naszej rozmowy, jakby to mogło w jakiś sposób zamazać to, co się zdarzyło w jej części środkowej - pomówię z matką Christiny zaraz, jak wrócimy.

- Proszę się nie przejmować - odpowiadam - nie zależy mi na tym, co sobie myślą. Nie zależy mi, kiedy jestem z panią, nie zależy i już.

- Wiem, wszystko tu jest inne niż to, do czego jesteś przyzwyczajona - mówi - ale bardzo chcę, żebyś się tu dobrze czuła.

- I tak jest - oznajmiam, a Barbara kładzie się przy mnie i przysłania oczy ręką. Wyczerpana napięciem i wyrzuceniem z siebie sekretu, znużona słońcem, szybko zasypia.

Znużona wyprawiam się z powrotem do obozu. Dopiero co postawiony namiot, w którym mają być przygotowane posiłki, o wypłowiałych od słońca płóciennych płachtach i podwójnych drążkach, ozdobiony frędzlami zwisającymi u sufitu i nad wejściem z każdej strony, stoi blisko bramy przy szczycie wzgórza, gdzie teren jest bardziej piaski. W środku przebywa większość kobiet i jeden mężczyzna, może dwaj. Jeszcze niżej, na stromym zboczu (wygląda to dość karkołomnie), ma się właśnie rozpocząć partia krykieta, rozgrywana przez dzieci; sędziuje John Hern w białej koszuli i słomkowym kapeluszu. Przy odległym żywopłocie miga mi Mark, więc macham do niego; oczywiście udaje, że nie widzi. Potem, gdy usiłuję podjąć decyzję, czy dołączyć się, czy też nie, widzę, jak z namiotu wynurza się

Christina, żuje coś i ma lepkie palce. Częściowo, żeby się popisać, a częściowo, żeby sprawdzić, co się stanie, podbiegam do niej i z całej siły gryzę ją w ramię.

Barbara zapewne zbudziła się spocona, gdy słońce Padło na jej twarz. Z początku nie mogła pewnie przypomnieć sobie, dlaczego leży na tym polu, skąd się tu wzięła. Potem odtworzyła sobie bieg wydarzeń, własne wyznania. Na pewno przez parę kolejnych minut szukała okularów, które położyłam ostrożnie w miejscu, gdzie nic im nie groziło, na sporym kamieniu parę kroków dalej. A gdy odzyskała normalny wzrok, zobaczyła, że jest już prawie trzecia.

Pospiesznie wróciła więc przez obozowisko na pole, gdzie miała pomagać w przygotowaniu podwieczorku. Namiot wypełniał gwar kobiecych głosów. Pośrodku ustawiono trzy stoły na kozłach, a obok, osobno, stół służący do zaparzania herbaty i mieszania soków owocowych z cukrem i wodą. Stała obok Alice Cox, która smarując chleb masłem, opowiedziała jej z detalami plan rozbudowy ich domu. Barbara rozprowadzała po kromkach sos tatarski, radząc sobie z czterema za jednym zamachem, przykrywała je kolejnymi czterema, przecinała na pół, układała jedną na drugiej na talerzu, brała kolejne kromki. Uspokajało ją to. Podskoczyła, gdy Josie Gardner poklepała ją po ramieniu: muszą porozmawiać, powiedziała Josie, kiedy dzieci będą zajęte krykietem.

Usiadły w środku namiotu na wolnych ławkach pod ścianą; ich twarze, skąpane w zielonkawym sączącym się przez płótno świetle, nabrały upiornego wyglądu. Josie schowała stopy pod spódnicę i się wyprostowała. Barbara zauważyła, że wokół szyi nosiła elegancki złoty łańcuszek, prawie cały ukryty w fałdzie skóry.

Natalie, powiedziała, przechodząc od razu do rzeczy, właśnie ugryzła Christinę w ramię. Pokazała palcem, w którym miejscu, na własnym pulchnym wnętrzu górnej części ramienia. Jej piwne oczy załśniły. Z ugryzienia, rzekła, pochylając się do przodu i zniżając głos, leci krew. Znów usiadła prosto z rękoma na kolanach i czekała.

- Dlaczego to zrobiła? - spytała Barbara.

- To nie ma nic do rzeczy - odparła Josie.

- Niektóre dzieci - powiedziała Barbara (mgliście uprzytomniając sobie, że słowa te sprawiają jej przyjemność) - w tym Christina, posługują się swą wiarą jako bronią do atakowania innych.

- Chcę, żebyś to zobaczyła - rzekła Josie.

Wyszły na zewnątrz, porażone od razu silnym światłem, ostrymi cieniami. Jako że namiot zajął płaską część terenu, gra w krykieta musiała się przenieść na bardziej pochyłe zbocze, gdzie rano odmawiano modlitwy.

Barbara i Josie znalazły nas na dwóch przeciwległych końcach kolejki czekających na to, by uderzyć piłkę kijem. Christina oderwała plaster przyklejony na ranę, pokazała plamy krwi na opatrunku z gazy. Zaszłam ją znienacka od tyłu, mówiła, kiedy stała samotnie za namiotem. Jej wąskie oczy pod prostymi mięsistymi brwiami przesuwwały się na zmianę z jednego dorosłego na drugiego. Pod tym względem byliśmy do siebie bardzo podobne, o wiele bardziej, niż byłybyśmy to skłonne przyznać.

- Sama sobie to zrobiłaś - rzuciłam niedbale, obserwując jednym okiem grę. - Dlatego nikt nie słyszał, jak krzyczałaś: miałaś usta napchane własnym ramieniem. Więc jesteś kłamczucha, a to kolejny grzech, który masz na koncie.

Christina wybuchnęła płaczem. To wszystko przez to, że jej mówiłam, że jest gruba, szlochała, przyznając tym samym, że jednak mi dokuczała; schowała twarz na piersiach matki.

- Dopiero po tym, co ty mówiłaś - podkreśliłam.

Musimy obie, stwierdziła Josie, przeprosić się nawzajem i poprosić, żeby nam pokazano, jak pokonać własną dumę.

- Wcale nie żałuję - powiedziałam Christinie, jak tylko poszły.

- Ja też nie - odparła. Ta zawadiackość w jakiś sposób nas ze sobą związała i dalej stałyśmy obok siebie w kolejce, czując niezręczność sytuacji.

- Nie cierpię żadnych gier - wyznała chwilę później, jakby całkiem zapomniała, że jesteśmy wrogami.

- O rety - powiedziała Barbara, kiedy wchodziły po zboczu - o rety. Ale w sumie to jest też śmieszne. - Josie zatrzymała się na moment, żeby odzyskać oddech i schować pod ubranie ramiączko biustonosza. Według niej, powiedziała, to tylko pokazuje, jak czasem trzeba się namęczyć, wychowując dziecko, o czym większość mężczyzn zazwyczaj nie ma pojęcia. Ale, tak czy owak, z niektórymi dziećmi bywa trudniej. Mark na przykład to wspaniały chłopiec, rozsądny i pracowity, szanujący innych, niezachwiany w wierze. Mogła sobie go wyobrazić, jak służy społeczności, gdy dorośnie, może nawet przejdzie długą drogę do wyświęcenia i z powrotem. Zdecydowanie było w nim coś szczególnego, jakaś cecha wspólna z Paulem Levensonem, nawet w tym wieku. Czego więcej może pragnąć matka?

„Och, Emmo - rozmyślała Barbara, gdy wepchnęła się z powrotem do namiotu z jedzeniem, tylko po to, by uciec od tamtej kobiety - kochanie moje...” Bo chociaż mała stalowa tabliczka głosiła „Ruth Hern, zmarła po trzech miesiącach życia” i Barbara wcześniej była zadowolona z imienia Ruth, to po pochowaniu dziecka wróciło do niej to drugie imię, które by jednak wolała. Brzmiało miękko i łatwo, jeśli chodzi o wymowę - Emma, Em - a jako że nie należało do żadnej znanej jej osoby, mogło istnieć tylko pomiędzy nimi dwiema. Proste sylaby niosły ze sobą dodatkowe uczucia, wykraczające poza dające się nazwać fakty: że uścisk małej rączki na palcu zdawał się nawet silniejszy niż Marka, gdy był mały; że podobnie jak Mark była dużym niemowlęciem i że jej okrągłe oczka, kiedy akurat była w nastroju, by patrzeć, spoglądały szczególnie bystro, i że miała zaczątki brwi, wysklepionych wysoko jak u Barbary czy również u Marka; że głośno i stanowczo dopominała się mleka i często pochrapywała w nocy - dlatego właśnie, jak tylko zaczęła przesypiać cztery godziny pod rząd, postawili jej łóżeczko po drugiej stronie półpiętra, w sypialni z tyłu domu. Ale doprawdy nie było żadnych oznak które by wskazywały, że w pewną wtorkową noc nad ranem po prostu przestanie oddychać, zostawiając za sobą straszliwą ciszę która zbudziła Barbarę, aż się zerwała i usiadła na łóżku

nasłuchując, po czym pognała przez półpiętro, dwanaście stopni. Żadnych oznak. Żadnych oznak, że jej płuca nie wykształciły się właściwie, żadnych oznak, że nie będzie najzwyczajniej w świecie rosnąć i stawać się sobą ani też, już w najmniejszym stopniu, że będzie, jak się okazało, ostatnim dzieckiem Barbary. Em, kim była, kim mogła być. Urodzona w maju, zmarła we wrześniu, odeszła.

Barbara stała przez chwilę, aż jej oczy obeschły. Talerze z jedzeniem nakryto ściereczkami. W powietrzu unosił się zapach chleba i jajek na twardo. Większość pomocników znikła. Miała się już stamtąd zabierać, kiedy zawołała ją Anna Herrick:

- Czy byłąbyś tak miła i pokroiła ciasta, każde na szesnaście kawałków?

Późnym popołudniem pokazuje mi w zwolnionym tempie, jak nabrać oczko na drut, przerobić, spuścić. Najważniejsze, żeby włóczka przesuwała się miarowo pod palcami, nie powinno się jej pozwolić spaść z drutu, nie należy szarpać ani za bardzo się na nią patrzeć, posuwać się z robótką na wycucie, półświadomie, śledząc kolejne rządki. W ten sposób jest równomiernie naciągnięta i wy chodzą równe brzegi, co ma znaczenie zarówno w przypadku kilkunastocentymetrowego kwadracika koca, jak(i) swetra. Ktoś, kto dostanie taki koc, może nie zauważyć pofalowanych brzegów, ale tak naprawdę nie da się tego całkiem wykluczyć, i nie ma powodu, żeby ten ktoś dostawał coś nie pierwszej jakości.

- Barbaro - przerywam - czy mogę o coś spytać?

- Ale o co? Hm, raczej nie - mówi - wołałabym nie, słonko, nie teraz.

- Dobrze - odpowiadam. Chciałam się dowiedzieć, kto zrobił zdjęcie tej zmarłej małej dziewczynki, ale to może poczekać.

- Nie ma sprawy - dodaję. Biały rozpinany sweter, który właśnie zaczęła dziergać, będzie dla mnie, jeśli tylko zechcę.

- Nawet bardzo! - mówię, dwa rządki mam już gotowe, pochylam się nad drutami, w cieniu na moich kolanach leży przeraźliwie różowa włóczka.

Później John się myje, używając ręcznika i jasnobłękitnej plastikowej miedniczki na stoliku ustawionym koło przyczepy. „Co ja takiego narobiłam?”, myśli ona, patrząc, jak on zamacza ręcznik, wykręca, przeciera nim szyję, skórę za uszami, słuchając jednocześnie sprawozdania z całego dnia.

Mark zdobył na sam koniec pięćdziesiąt punktów. Teraz poszedł w jakieś ciche miejsce, żeby rozważyć jutrzejszy tekst, informuje John żonę.

Natalie pomaga przy kolacji, mówi ona.

John wylewa wodę, wyżyma ręcznik, ściąga następny, żółty, który suszył się nad drzwiami. Co za afera z tym porankiem, mówi, uśmiechając się do siedzącej nieopodal Barbary. Szybko się opala; jej włosy są mniej starannie uczesane niż zwykle, ma na sobie prostą bluzkę na co dzień, podeszwy jej bosych stóp pokrywa brud. Odwzajemnia jego uśmiech, jak zawsze. Może jest to nieco blady uśmiech, ale John z pewnością nie wyczuwa, że jego żona zmieniła się od rana: że gdy spogląda na niego, zadaje sobie pytanie, który z niewłaściwych czynów, jakich się dopuściła, uznałby za najcięższy, gdyby tylko o nich wiedział...

Podchodzi do niej, kuca na ziemi przy krześle, całuje ją po udach, nadstawia jej włosy i kark do pogłaskania. Może by weszli do środka?, proponuje.

Kiedy rozkłada łóżko polowe, ona zaciąga zasłonki, zamyka drzwi na zasuwkę, wyskakuje z sukienki i wiesza ją na przybitym do drzwi haczyku. Leżą przy sobie półnaczy na kapach, pieszczą i całują odsłonięte części swych ciał.

- Kocham cię, John - mówi mu. Delikatnie gryzie go, tak jak on lubi, w muskuł między ramionami i karkiem. Całują się w usta, ona silnie przyciska swoje wargi do jego, niemal do bólu, wpycha mu głęboko język; przywiera do niego całym ciałem. Ale kiedy jest już nagi i zabiera się do ściągnięcia jej stanika i majtek, ona kręci głową, nagle odrywa się od niego i leży parę centymetrów dalej, patrząc na niego, jakby widziała go pierwszy lub ostatni raz w życiu. W przyczepie zapada teraz absolutna cisza, słychać tylko ich oddechy, i on musi

już dostrzec, że coś uległo zmianie.

- Co się dzieje? - pyta. Ona patrzy, jak on obserwuje jej ciało, które powoli się wzdryga, i czuje, jak jej wilgotną skórę ogarnia chłód.

„Jakie to głupie - myśli - tyle zastanawiania, podczas gdy kiedyś tego w ogóle nie było, tylko zakazana czynność spełniana tak, jakby liczyło się wówczas tylko to, w całkowitym oderwaniu od reszty życia. Jakie to głupie, odczuwać coś takiego, teraz, po tylu latach”.

Zanim ją wyjawiała, tajemnica niemal spokojnie spoczywała w jej wnętrzu. Tkwiła w niej i Barbara mogła ją nawiedzać, z należytą ostrożnością, kiedy tylko chciała. Teraz tajemnica stawia jej opór; próbuje jej narzucać, co ma robić. Stawia sprawę jasno: od tej pory za nieposłuszeństwo płaci się cenę. „Czego najbardziej pragnę? - zastanawia się Barbara. - Co się zdarzy - dajmy na to, gdy ja...”

- John - mówi miękko.

- Tak? - jego oczy rozbłyskują w półmroku. Sięga po jego rękę. W maleńkim pomieszczeniu nastaje pokój; ona nie chce go burzyć.

Słońce zachodzi za wzgórzami, tworząc przeciągający się i imponujący spektakl. Nosimy dywaniki, poduszki i znowu idziemy na pole nad strumieniem. Pomagam podawać jedzenie i sprzątać stoły. Wśród społeczności krąży petycja w sprawie paszportów, przyczepiona do grubej tekturki i zaopatrzona w długopis. Barbara przygląda się Johnowi, jak próbuje długopisu w rogu strony, podpisuje, po czym starannie kaligrafuje nazwisko, zawód i adres. Sama pisze swe imię szybko, pospiesznymi okrągłymi literkami pod jego drobną, lecz doskonałą kursywą.

- Już pięć stron! - mówi pogodnie Barbara, wrę czając tabliczkę Peterowi Andertonowi, żeby pottrzymał ją dla swej matki Elsbeth, która ma usta wypchane jabłkiem i ręce zajęte filiżankami ułożonymi jedna na drugiej. - Musi być ponad sto.

Chłopiec, za którym stoi jak cień jego brat bliźniak, napotyka moje

spojrzenie i puszcza do mnie oko. Pyta następnie z poważną miną, udając gorliwą ciekawość:

- Jak państwo sądzą, co postanowi nasz rząd? Zrobią nam na złość czy zerwą z ONZ?

Mark momentalnie podnosi wzrok znad swojej książki. Nie chodzi o to, upiera się gniewnie John, przemawiając do obróconych tyłem bliźniaków, co oni zrobią, tylko co my zrobimy.

- Chyba to rozumiecie? Mówię do was - woła za bliźniakami, którzy znikają w półmroku. Społeczność się już ucisza w oczekiwaniu na muzykę.

Głowa mnie boli, mówię do Barbary. Całuje mnie w policzek, ściska mocno, wysyła do łóżka.

Ziemia i gałęzie drzew rysują się czarno na tle fioletowego nieba. Wlokę się przez pole, oglądając rozmaite vanguardy, princessy, impy i minxy, nowsze cortiny i wolseleye, które lśnią ciemno obok bledszych przyczep i namiotów, niektórych oświetlonych od wewnątrz, innych ciemnych. W naszym zakątku przy żywopłocie myję zęby szczoteczką Barbary, wypluwam wodę na pozornie czarną trawę.

W środku przyczepa jest przygotowana do spania. Zdejmuję bluzkę i wciągam na siebie za dużą górę od piżamy, po czym nastawiam radio i słuchając jednym uchem, siadam na łóżku Marka. W końcu wdrapuję się na swoje miejsce. Moje legowisko, coś pomiędzy pryczą a hamakiem, kiwa się, kiedy się na nim kładę. Leżę na wznak z szeroko otwartymi w ciemności oczyma i zastanawiam się, czy trzeba przeprosić osobę, którą się skrzywdziło, czy wystarczy Boga? Załóżmy, że trzeba, i że żałujemy za swój czyn, ale nie możemy odnaleźć tej osoby, albo przeprosić - czy to ma jakieś znaczenie, czy też wystarczą dobre chęci? Czy skrzywdzona przez nas osoba wybacza nam, tak jak Bóg? Czy ma grzech, jeśli nam nie wybaczy? Ale skąd niby mamy wiedzieć, że jak ktoś mówi przepraszam, to faktycznie żałuje? Co się dzieje, kiedy się kogoś skrzywdzi niechcący?

Pozwalam, żeby te pytania przepływały przeze mnie, rozkoszując się nimi bez próby znalezienia odpowiedzi, Potem moje myśli dryfują w stronę tego, czego chcę. A bardzo chcę, kiedy wrócimy, żeby spać w ładnej różowogroszkowej sypialni, tej z roślinami, w tylnej części domu Hernów, i schodzić rano na śniadanie jedzone przy kuchennym stole, siedzieć koło Barbary, zajmując czwarte krzesło. Chcę, żeby Mark się do mnie uśmiechał. Żeby Sandra, jakimś trafem, jak we śnie, akurat przechodziła obok, zauważyła nas, zapukała i spytała, czy mogłaby wejść? „Tak, mam - chcę powiedzieć - proszę bardzo, usiądź tu przy mnie”.

Chcę mieć zawsze starannie uczesane włosy. Chcę mieć kredens, a w nim puszkę pełną migdałowych ciasteczek i drugą z ciastem. Chcę być kochana tak bardzo, że zostanie mi wybaczone wszystko, co uczynię kiedykolwiek i komukolwiek, bez względu na to, jak byłoby to złe. Chcę, żeby mi wyprawiono ślub. Chcę nowych tenisówek, białego rozpinanego swetra; chcę zobaczyć, jak ludzie chodzą po Księżycu.

19

W górnej części doliny, jakieś półtora kilometra od naszego pola, stoi kamienny dom, należący do pary, która nazywa się Edward i Angela Bainesowie. On ma osiemdziesiąt sześć lat, ona siedemdziesiąt dziewięć i jest niemal niewidoma. Są w szlafrokach: on w znoszonym i uszytym z grubego materiału na pledy, ona w różowym, całkiem nowym, z bawełny zdobnej wypukłym wzorem; trzymają po szklaneczce whisky i siedzą w fotelach o barwie wody w stawie, zaopatrzonych w wygodne podgłówki; fotele liczą sobie tyle lat, co ich małżeństwo. Odbiornik telewizyjny (Baird z 1968 roku, kupiony za oszczędności na początku tego roku, z ekranem mającym całe dwanaście cali) rzuca zielonkawe światło na mały, zakurzony salonik. Światło odbija się od okularów Edwarda, niknie w zmętniałych przez kataraktę oczach Angeli. Na półce nad kominkiem tyka dostojnie mosiężny zegar; na stole od strony Angeli

stoi również budzik nastawiony na wszelki wypadek. Na ścianie powieszono oprawioną fotografię, zrobioną podczas ich tygodniowej podróży poślubnej; widać, jak wówczas wyglądali w pewien wietrzny dzień przed sześćdziesięciu laty. Niegdyś delikatne blond włosy Angeli wypadają jej od lat, walając się po oparciach krzeseł, poduszkach, sweterkach, i nie chcą już rosnąć. Teraz prawie już ich nie ma, a jej kiedyś drobna i zawadiacka buzia rozlała się i powiększyła, stając się mniej wyrazista. Policzki Edwarda zapadły się, a czoło pofałdowało się jak skała.

Często trzymają się za ręce. Niebawem któreś z nich zostanie samo, na jakiś krótki, przypuszczalnie straszliwy, czas: wiedzą o tym, lecz jednocześnie trudno im to sobie wyobrazić; aby się temu przeciwstawić, ciulają wspólne chwile, na podobnej zasadzie, jak kiedyś odkładali niewielkie sumy w banku. Jedną z takich chwil jest teraz to siedzenie do późna przed telewizorem; to Edward chciał. Żadne z nich nie spodziewało się, że dożyje tak sędziwego wieku, nie mówiąc już o świecie, który wysyła ludzi w podróż poza ziemską atmosferę, by zostawili ślady stóp aż na Księżycu.

Jakiś piętnastocentymetrowy mężczyzna na ekranie rozprawia o czymś z dziedziny nauki, a oni usiłują przypomnieć sobie imię przyjaciela ich wnuczki, o którym wspominała w ostatnim liście, pisanym na cienkim błękitnym papierze używanym w poczcie lotniczej; położyli go na pięttrze, więc za daleko, by sięgnąć. Imię umknęło obojgu, siedzą więc i czekają, śledząc bieg pojedynczych myśli, które zaczynają się w tym samym punkcie i nieuchronnie dochodzą do podobnego punktu - gdy wtem Angie słyszy coś na zewnątrz, posyła Edwarda, by sprawdził, a on przyprowadza mnie.

Patrzyłam do środka przez okno, wyjaśniam im, od jakichś dwudziestu minut.

- Nie zasunęli państwo zasłon - dodaję - a na polu kempingowym nie ma telewizji. Nie pozwalają na nią.

Jestem cichutka i grzeczna. Być może dlatego, a także dzięki półmrokowi

i, ogólnie rzecz biorąc, niezwykłym okolicznościom, moje pojawienie się bez opieki w ich domu, i to nad ranem, wydaje się o wiele mniej dziwaczne, niż by mogło.

- Tu się jej nic nie stanie - mówi Angie. Ed pokazuje, bym usiadła na taborecie, ja dziękuję, siadam przed nimi, tuż przy odbiorniku. Widzimy, jak wygląda na zewnątrz pojazd księżycowy, u dołu którego znajduje się właz; wynurza się z niego ludzka istota, Armstrong, ubrany w ogromny nieprawdopodobnie ciężki skafander.

- Teraz wychodzi - informuje żonę Ed, kiedy stopy Armstronga w wielkich butach schodzą po dziewięciu szczeblach drabinki i w końcu stąpają po Księżycu.

- On mówi, że to mały krok, za to wielki skok dla ludzkości - odzywa się Ed.

- To przypomina drobny, sproszkowany węgiel drzewny. Widzę własne ślady - mówi Armstrong.

- On tam jest. Jest tam po prostu szaro. Ma aparat fotograficzny. Szpera. Ma go w kieszeni. A teraz wychodzi drugi...

Siedzę cicho, trzymając koniuszek warkocza w ustach. Następny wychodzi Aldrin. Obraz jest ziarnisty, zamazany, miejscami za ciemny, ale ciągle niesamowity. Są tam skały wszelkiego rodzaju, pył. W dali widać coś w rodzaju niskiego wzgórza. Astronaucci ćwiczą susy, próbują biegać. Kopia księżycowy pył, patrząc, jak się wzbija i opada w miękki i zgrabnym unisono pod ich stopy. Zatykają flagę amerykańską, rozpoczynają swe eksperymenty, rozmawiają z prezydentem przez telefon. Stoją nieruchomo minutę po niepojętej minucie, skrupulatnie oglądając swój statek od zewnątrz.

Angela śpi, a oddech świszczy jej miarowo w gardle.

- Jak będziesz w naszym wieku - odzywa się zniecka Ed - ludzie będą tam mieszkać. Zbudują fabryki i stacje dla statków kosmicznych, żeby mogły latać jeszcze dalej. Badania wszechświata. Co ty na to?

Odwzajemniam tylko jego spojrzenie, ale nie odpowiadam.

- Poczekasz i sama się przekonasz! - Ed odkłada szklaneczkę, po czym zapomina o moim istnieniu i dołączyła do Angeli: też zasypia. Ja oglądam dalej, aż do momentu, gdy astronauta wdrapują się z powrotem do pojazdu, zostawiając na zewnątrz wierzchnie obuwy w obawie przed zarazkami.

Na zewnątrz jest już widno. Idę do kuchni i myszkuję po puszkach i słoikach na półkach, zastanawiając się, czy znajdę cokolwiek do jedzenia. Stwierdzam, że nie, wdycham więc tylko zapach cytryn, herbaty i nieuprzątniętego zlewu, po czym cichutko przeciskam się przez nie zamknięte na klucz tylne drzwi.

W świetle brzasku wszystko wydaje się inne. Trudno rozróżnić, które z rozciągających się przede mną pól przecięłam zaledwie parę godzin temu, gdy było ciemno. Zgaduję i wyruszam po obrzeżach tego, które wybrałam, idąc szybkim marszem. Myślę o Księżycu i mam nadzieję, że nie będzie tam fabryk ani stacji, które zrobiłyby z niego miejsce, jakich tysiące. I mam nadzieję, że Amerykanie znów tam nie dotrą, ani Rosjanie, ani jacyś inni. Nawet gdybym to ja mogła się tam wybrać, nie poleciałabym, nie teraz. Pierwszy raz jest zawsze najlepszy. I grunt, że go widziałam.

Przechodzę przez ogrodzenie na kolejne pole. Jest o wiele później, niż sądziłam. Ściągam sweter, zawiązuję go sobie wokół pasa, zaczynam biec. Nadal uważam, że uda mi się wrócić, zanim ktokolwiek się obudzi i spostrzeże, że znikłam, że wślizgnę się do łóżka i będę tam leżeć, rozpamiętując to, co zobaczyłam.

Ale Mark o trzeciej nad ranem, kiedy był pogrążony w porażającym, choć cudownym śnie, w którym uciekał mu jakiś bajeczny potwór, chociaż próbował schwytać go za ogon, usłyszał, jak matka woła go po imieniu; jej głos dobiegał jakby z oddali. Stała nad nim w kaloszach i w ciepłej kurtce narzuconej na koszulę nocną.

- Mark - wstawaj i nałóż coś na siebie. Natalie znikła! - powiedziała. -

Musisz pomóc.

Przez otwarte drzwi napłynęła fala chłodnego nocnego powietrza, chluszcząc o jego skórę. Przyczepa kołysała się od ich ruchów i dźwięków wydawanych przez ojca, który szukał ubrania oraz wbijał się w buty w mdłym świetle lampy naftowej.

Mark uniósł rękę i pchnął od spodu płócienne dno koi nad swoją głową, faktycznie była pusta.

- Szukałam w toaletach i w stodole. Wzięła sweter twojego ojca - Barbara podniosła piżamę i rzuciła z po wrotem na łóżko. - Już po trzeciej. Jestem na nogach od pół godziny. Musimy ją znaleźć, więc pospiesz się, Mark, dobrze? - miała zbyt donośny głos jak na takie cienkie ściany. - Obudzę Andertonow. Chłopcy są już duzi, mogą pójść z nami. Napiszę do niej liścik, w razie gdyby...

Zauważywszy obsychającą lepłą wilgoć na swym brzuchu i pachwinie, Mark schodzi ostrożnie z łóżka, czując osłabienie i zamęt.

Uzbrojony w latarkę dołącza do ekipy poszukiwawczej, zebranej na drugim, wyżej położonym polu, na lewo od gospodarstwa Harrisa.

- To od którego miejsca zaczynamy? - spytał brata jeden z bliźniaków od Andertonow, chyba Peter, udając rażny ton głosu. W ciemności po ich twarzach prze mknął, jak echo, krótki drwiący uśmiezek. Stali tak blisko siebie, że wydawali się naprawdę złączeni. Mieli nie zbyt atletyczne, opadające ramiona i ręce wsunięte do kieszeni, a spod króliczego futerka okalającego kaptury kurtek ledwo było widać ich twarze z brwiami przywodzącymi na myśl dziecięce rysunki ptaków w locie. Wydzielali woń, której Mark nie potrafił zidentyfikować, a kiedy pozdrowił ich skinięciem głową, po jego postaci przemknęło ich niewidzące spojrzenie.

- Musimy się dobrze zastanowić, dokąd mogła pójść - oznajmił ich ojciec.

- Przebywała z nami niemal cały dzień - wyjaśniła Barbara - ze mną...

Wprawdzie był pewien problem z Christiną, ale naprawdę nie sądzę, żeby...

- A ty coś wiesz, Mark? - spytał z powagą Anderton.

- On nie mówi - przypomniała wszystkim Barbara.

- Czy jeszcze ktoś znikł? - zadał kolejne pytanie, irytujące i daremne, bo z całą pewnością wiedział, że te go się nie da dociec, nie obudziwszy całego pola kempingowego. „Tak ogólnie - pomyślał Mark - ludzie za dużo mówią, nie zastanowiwszy się. Strata czasu”. Lecz jego usta były zapieczętowane, jak szyjka butelki korkiem i woskiem.

Pięli się za jego matką po wzgórzu. On włókł się na szarym końcu.

- Natalie, Natalie! - wołała ona, zmieniając intonację i rozłożenie akcentów. Była na zmianę władcza, błagalna, kusząca, beznamiętna, jakby wszystko zależało wyłącznie od tego, czy to imię wypowie się we właściwy sposób - Natalie... Natalie! Natalie!

Miotali wokół światło latarek, które nagle wydobywało rozmaite szczegóły: żywopłoty, stojące bydło, kępę drzew, koryto, lizawkę. Za wszystkim tym ciemniał i rozrastał się mrok.

„To nadal może być sen”, pomyślał. Przenikliwy chłód wiatru przed wschodem słońca wdierał się jednak między pospiesznie pozapinane ubranie a jego skórę, buty zaś były w środku wilgotne i całe w żwirze. Żałował, że nie miał skarpetek.

- Czy ona tęskni za domem? - spytała Elsbeth Anderton. Jej głos zabrzmiał raczej cicho, zwłaszcza gdy się go porównało do grzmiącego tonu jej męża, lecz ona i tak natężyła go do samych granic; rozległ się wśród ciszy, bez uprzedzenia, chropawo i ponagląco, wpychając się do całej rozmowy.

- Znakomicie się z nami czuje. A poza tym, czy nie poczekałaby do rana? Na pewno wie, że byśmy jej nie za trzymywali, że byśmy... Ona by tak po prostu nie ode szła - i Barbara zaczęła znów nawoływać: - Natalie! Natalie!

W nikłym świetle gwiazd dostrzegali jedynie szeroką, niską linię widnokręgu, granicę między ziemią a niebem. Pojedyncze niteczki ptasich śpiewów łączyły się prędko w całe melodie, po czym nieśmiało milkły. Przez zboże i drzewa przelatywały powiewy słabego wiatru, cichły, odzywały się

gdzieś indziej.

Mark wyłączył latarkę. Pokryty gumą guzik nie poddawał się naciskowi kciuka, po czym niepostrzeżenie, jak gdyby nigdy nic, skapitulował. Mark popatrzył w dół na cały teren, badając krajobraz wzrokiem. Im dłużej patrzył, tym więcej dostrzegał szczegółów. Równomiernie rozmieszczone przyczepy i namioty, i ogromny namiot dla całej społeczności jaśniały w ciemnościach jak dziwaczne twory geologiczne. Zauważył spore drzewo rosnące bliżej dolnej części pola, na którym się gromadzili. Dalej, w odległym zakątku doliny, rozpoznał kształty rozrzuconych po całym obszarze domów. W niektórych oknach paliło się światło.

- Może poszła do czyjejs przyczepy - rzekł jeden z bliźniaków. - Co masz na myśli? - ostro odparowała Elsbeth.

Ojciec Marka dogonił Barbarę i delikatnie przyprowadził ją z powrotem do reszty grupy.

- Nie ma sensu tak błąkać się po okolicy - stwierdził. Mark usiadł na dużym głazie, parę metrów od pozostających. Przypomniawsobie, jak zaledwie parę godzin wcześniej Natalie chodziła za nim, towarzysząc przy każdym zajęciu i łapiąc za ramię.

- Pomów ze mną, Mark, no, powiedz coś...

Jak błogo było się w końcu jej oprzeć. Przez parę ostatnich miesięcy marzył często, bez nadziei na spełnienie tych pragnień, żeby znikła. Ale teraz tak się stało, że chciał, by się znalazła. To nie było w porządku, żeby uciekała przed nim, przed nimi wszystkimi, w taki sposób, zostawiając ich w nocy na polu, poubieranych byle jak, nie kończąc tego - obojętne, co to jest - co z nimi rozpoczęła. I tak do końca nie wierzył, że odeszła albo że odejdzie. Z siły tej niewiary wywnioskował, że jeśli tylko na to pozwoli, wiedza o tym, gdzie przebywa Natalie, przyjdzie do niego, łasząc się jak pies. Ale co wtedy? Co on powinien wówczas zrobić?

- A może się rozdzielimy - mówił jego ojciec - na przykład bliźniacy

pójdą wzdłuż rzeki, a wy dwoje ścieżką, a Mark...

- John - przerwała Elsbeth - to bezcelowe. Musimy zadzwonić na policję. Tak się robi, kiedy ktoś zaginie. Oni będą lepiej od nas wiedzieli, jak postępować.

Nastąpiła krótka cisza, bo wszystkich zamurowało.

- Ale Elsbeth - usłyszał Mark głos swej matki; miała ściśnięte gardło, a z jej tonu znikła wszelka władczość i stanowczość - nie znam dobrze jej matki. Bar dzo bym nie chciała jej niepotrzebnie niepokoić. Zoba czyć policjanta na progu drzwi - jeśli wszystko i tak ma się dobrze skończyć - no, wiecie, o co mi chodzi?

- Ale czy to wszystko się dobrze skończy? - spytała Elsbeth. Miała dalej włączoną latarkę; świeciła nią prosto w twarz Barbary, na moment ją oślepiając, po czym gestykulowała, nadal trzymając latarkę w dłoni, rozsiewając światło po ich klatkach piersiowych i rękach, zniecka wydobywając jakiś but. - Jeśli naprawdę coś się jej stało, możemy mieć pretensje wyłącznie do siebie. - Proszę, przestańcie - rzuciła do bliźniaków, którzy na zmianę kopali ten sam kamień.

- Policja - powiedział z naciskiem Anderton - mogła już ją znaleźć. - Cała grupa zamarła na chwilę w przerażeniu, zastanawiając się nad gamą możliwości, które kryły się w tym stwierdzeniu: Natalie w dzierganym na drutach kasztanowym swetrze Johna, o wiele na nią za dużym, przyłapana na jakimś psikusie, siedzi teraz na posterunku w Filey, popijając gorącą, słodką herbatę, kiedy oni dochodzą do tego, skąd się wzięła. Natalie, dalej na posterunku, tłumaczy ze spokojem, że dołączyła do jakichś fanatyków religijnych, teraz tego żałuje i chce do domu. Natalie, dalej na posterunku, drżąca, cała zabłocona, bez swetra, kuli się pod kocem, nie mogąc wydobyć z siebie ani słowa... Natalie leży pod krzakiem albo na poboczu, albo na noszach, albo na szpitalnym łóżku, a policjant stoi obok...

Mark przeciął spojrzeniem ciemność, docierając nim aż na drugą stronę doliny; czuł w głębi, że żadna z tych wersji nie jest prawdziwa. Stanowiły

widma, czyste ewentualności, które Natalie porozrzuciła wokół siebie niczym tarcze... Nie mógł jednak podzielić się tym z innymi, przerwać ich paniki, bo przecież milczał. To milczenie, postrzegane oficjalnie jako przygotowanie duchowe, służyło przynajmniej jako osłona przed Natalie. Jak dotąd działało skutecznie, lecz teraz...

„Co mam robić?”, spytał w myślach Boga.

- Jeśli się wszyscy zgadzamy - zaczął jego ojciec, zwracając się do Andertonów - Barbara i ja pójdziemy po raz ostatni sprawdzić cały kemping. Jak jej tam nie ma, zadzwonimy z farmy.

Barbara, za wysoka, by się wesprzeć na mężu, stała obok niego jak opuszczony budynek, a on, obejmując ją w talii ramieniem, spełniał rolę podpory.

- Tak mi przykro - powiedziała pokornie, a krew, pulsując gwałtownie, przepłynęła przez całe ciało Marka, unieruchamiając ramiona i klatkę piersiową. „Tak, to wszystko twoja wina - pomyślał - ale jeszcze gorzej, że przepraszasz w swoim imieniu Elsbeth Anderton, i to w taki sposób, nie za to, za co należy”.

- Będziemy musieli przesunąć nabożeństwo, prawda? - powiedziała Elsbeth. - Co za szkoda, ze względu na ciebie, Mark, wiem, i oczywiście dla nas wszystkich. Trzeba wszystkich powiadomić, co się dzieje. Mogę się tym zająć z Simonem.

- Ale ja - rzekł Mark - wiem, gdzie ona jest - a wszystkie twarze odwróciły się, by na niego spojrzeć. - To znaczy, nie do końca wiem, ale nie ma się czym przejmować. Na pewno poszła tam, gdzie mogłaby obejrzeć w telewizji spacer po Księżycu, no nie?

- Ależ oczywiście! - jego matka przybrała swą dawną postać, nie rozkazującą, nie przerażoną, lecz po prostu stała się znów sobą. Rozejrzała się po pozostałych, jakby spodziewając się, że także ich twarze rozjaśni radość. Ale czoło Elsbeth przecięły bruzdy, a jej wyblakłe wytrzeszczone oczy wyrażały napięcie.

- Czy byłaby zdolna do czegoś takiego?

- Ona jeszcze nie całkiem rozumie...

- To tylko przypuszczenie. Dalej można wezwać...

- Jestem pewna, że Mark ma rację - Barbara przybrała niemal zuchwały ton głosu.

- Jak ją znajdziemy, powinno się ją odesłać do domu - stwierdził Anderton. - Nie ma tu miejsca dla kogoś, kto dopuszcza się grzechu.

- Tak jest - przytaknęła Elsbeth.

- Ale...

- Omówimy to później we właściwym miejscu - powiedział ojciec Marka, kiedy ruszyli w stronę kempingu. Otaczająca ich ciemność zmieniała stopnie nasycenia i z każdą chwilą wynurzało się z niej coraz więcej pól i drzew o jednostajnej teksturze, którą ledwo co obmyły barwy. Zobaczyli błoto na butach. Skóra wokół oczu napięła się.

- Jestem pewien, że Mark ma rację - powiedział przesadnie zniewieściałym i wylewnym tonem Pete Anderton przy ostatniej bramce.

- Przemówiłeś - powiedział do Marka brat Pete'a, Tim.

- Tak - potwierdził Pete - na sto procent.

Mark wzruszył ramionami, rozchylił dłonie, wybaczył im.

Po powrocie do przyczepy Barbara zaczęła nalewać wody do czajnika, czerpiąc ją ze specjalnej butli na zewnątrz, po czym przerwała tę czynność i przyciągnęła do siebie Marka, mocno go tuląc, a woda spływała na trawę.

- Dopiero sobie to uzmysłowiłam. Twoje milczenie. Tak ci dziękuję, kochanie.

- A czy ja was nie ostrzegałem, od samego początku? - wymamrotał z twarzą w jej ramieniu. Z woni Barbary znikły charakterystyczne nutki mydła; teraz miała słonawy zapach, przypominający mu jego własną skórę. Odepchnął ją i poszedł na pole służące do zebrania.

Wyniósł już wszystkie krzesła na pole. Całą rosę wypaliło słońce i

chłopiec bardzo się poci. Ściąga koszulę i wiesza ją na gałązce czarnego bzu obok wiatrówki, którą zawiesił tam wcześniej. Wietrzyk niesie zapach grzanek albo smażonego bekonu. Słyszy głosy jakichś dzieci i szczęk sztućców zza żywopłotu.

Decyduje, że stół stanie w zachodniej części pola, przez co słońce nie będzie razić wiernych w oczy, po czym wraca, by ustawić zbieraninę krzeseł turystycznych i leżaków w koncentryczne kręgi, tak by współwyznacwcy siedzieli twarzą do stołu; na przedzie kładzie skrzynki z mlekiem dla dzieci. Potem idzie na kemping po łopatę, jest bowiem oczywiste, że w dniu, w którym odbył się spacer po Księżycu, obiektem rozmyślań musi być ziemia, szufla żyznej, lekko różowawej gleby pochodzącej z tego samego pola, na którym wszyscy zasiądą. Grunt wysechł i stwardniał, trudno go więc kopać, ale gdy dociera głębiej, udaje mu się wyciąć zgrabny płat, z kamieniami, korzeniami, pędrakami, wszystkim. Stół jest gotowy i Mark stoi do niego tyłem, rozglądając się.

To dobre miejsce. Kolory tkanin krzeseł i leżaków - gładkie, o szerokich pasach, płótna lub tworzywa sztuczne, nawet biele i spłowiałe kolory - śpiewają na tle soczystej zieleni trawy, tak żywe jak żółte pierwiosnki i purpurowe kwiaty koniczyny, od których roi się na nie zdeptanej, nieco wyżej położonej łące. Ręce i nogi Marka bolą przyjemnym zmęczeniem po ciężkiej pracy; na ramionach, w miejscach, w których ma drobne zadrapania od kolców jeżyn, czuje szczypanie potu, co daje mu poczucie dobrze wykonanego zadania. Zaciska powieki, pozwalając, by czające się pod nimi czerwone światło napełniło mu głowę tak, że znikają wszelkie ślady szkoły, wspomnienia wakacji, całej reszty życia, krykieta, nowego roweru, który zamierza skonstruować, i odrywają się od jego umysłu... Podąża drogą, jaka wiedzie do Królestwa Nieba na Ziemi, Tu i Teraz, które dał nam Bóg w darze Miłości, jak objaśnia Pismo, a potem Tuomas Envall, który je ponownie zinterpretował i właściwie wyjaśnił - Mark oddycha powoli i ostrożnie, przygotowuje się.

Kiedy wzywają na nabożeństwo, Barbara rozmawia właśnie z panią Thorn przy wspólnym namiocie na posiłki, musi więc usiąść na samym końcu rzędu ośmiu brązowowłosych Gardnerów - na brzegu trzeciego rzędu; John zajął miejsce z przodu.

Mark stoi przodem do całej wspólnoty i słońce świeci mu w twarz; na pulpicie leży już przygotowana książka. Stoi prosto i niezachwianie, dorosłe już dziecko, prawie mężczyzna, ale Barbara nie może patrzeć ani na niego, ani na kopczyk ziemi na drewnianym stole, ani na płonące niewidocznym płomieniem świece w szkle, bo Natalie nie powróciła. Jej oczy błędzą w dali, spoczywają na niektórych szczegółach, na dziobiących coś na ziemi gawronach na wzgórzu, na drgającym od upału powietrzu unoszącym się nad horyzontem albo na żółtym traktorze, powoli zjeżdżającym po zboczu odległego pola. Traktor niekiedy znika albo zatrzymuje się przy furtce. Wygląda jak kleks, ale jaskrawy, świecący; Barbara obserwuje, jak słońce pada na żółtą farbę, a kładący się za traktorem cień jeszcze bardziej uwydatnia jego jaskrawość; jakaś jej cząstka pragnie być teraz w tej maszynie albo w samolocie, który przeleciał nawet nie zauważony, zostawił jednak po sobie biały szlak na niebie; być w jakimś innym życiu, byle nie w tym...

Jej myśli krążą jałowo wokół tych samych nielicznych spraw, w nadziei, że uniknie gorszych, w kółko i w kółko jak małe czerwone muszki, które Barbara wydaje się przyciągać, tylko ona, i które zbierają się nad jej głową, jakby wiedziały o istnieniu czegoś związanego z jej osobą: że nie porozumiała się z resztą społeczności i że przywiozła niewierzącą dziewczynkę, dziwną, i powierzyła jej swą tajemnicę, o której nikt inny nie ma pojęcia, której nigdy nie wyznała, i nawet teraz nie wstanie, nie może wstać i o niej mówić, choć ta cisza ją ponagla. Ze czasem wydaje jej się, że kocha tę dziwną istotę bardziej niż własnego syna; że wyciągnęła Andertonów w środku nocy, żeby szukać tej dziewczynki, która jeszcze nie wróciła.

O wiele lepiej myśleć o setce kotletów, sześćdziesięciu mięsnych i

czterdziestu orzechowych, których nie da się przyrządzić na jednej patelni, ale jednocześnie na różnych kuchenkach, muszą więc być gotowe mniej więcej w tym samym czasie; sałata już umyta i owinięta ściereczkami, jeszcze tylko pokroić chleb i posmarować masłem, i oczywiście wszyscy pomogą zanieść talerze i tak dalej...

Razem z nią umyka gdzieś jej puls; słońce grzeje w tył głowy i kark. Cisza rozrasta się, jakby ktoś wrzucił w nią Barbarę, w jakąś straszliwą bezkresną pustkę, w której nie ma nic oprócz uczucia strachu, który wypełnia jej osobę.

A wtedy jej syn wstaje, zaczyna czytać Kazanie na Górze, Ewangelia wg świętego Mateusza, rozdział 6 - cały rozdział, jak uzgodniono. Czyta dobrze, powoli i donośnie. Ćwiczył to wcześniej; znajome słowa same przychodzą bez konieczności patrzenia w tekst: „Ale skarbcie sobie skarby w niebie, gdzie ani rdza zepsuje, ani mól stoczy, i gdzie złodzieje nie wykopują ani kradną...”

Te słowa nie są przeznaczone dla niej... Lub to właśnie do niej szczególnie się odnoszą: „Albowiem gdzie jest skarb twój, tam i serce twoje...”

Jej uszy odmawiają posłuszeństwa, nie chcąc przyjmować tych słów, zupełnie jak jej oczy, które nie chłoną stołu na kozłach, na który nasypano kopczyk ziemi, i jak całe jej ciało, co zbuntowało się przeciw Milczeniu. „Światłem ciała twego jest oko twoje”, Na jej ramieniu sadowi się jedna z tych brunatnych wstrętnych much o czerwonych oczach, a ona zmusza się, żeby patrzeć, jak mucha trze nóżką o nóżkę. Obserwuje i pragnie, by odleciała, bo jak mucha odleci, wmawia sobie, to wszystko będzie dobrze. Odlatuje. Ale nie jest dobrze. Mucha wraca, Barbara odgania ją, przylatuje następna.

„Ale jeśliby oko twoje było niegodziwe - czyta Mark - całe ciało twoje mrok spowije”. - „Moje całe ciało - myśli ona - jest przepełnione mrokiem”. Widzi tył głowy męża i jego ramiona, często napięte od niewypowiedzianego trudu istnienia, lecz teraz odprężone. Ręce spoczywają zapewne na kolanach, przymknął oczy, rozluźniona zuchwa, którą mu ogoliła, nadal jaśnieje bielą,

odcinającą się od opalenizny na reszcie twarzy. Nie myśli o niej, tylko o tekście: „Nikt nie może dwom panom służyć...” A kobieta może? W chwilach niedoli John zawsze jej mówił: Pan nam towarzyszy, On wyciągnie nas z wszelkich tarapatów; wszystko przemija, posłuchaj, a On ci rzeknie: „Niebo i ziemia przeminą, lecz me słowa nie przeminą”. Tak właśnie mówił John, gdy płakała bez ustanku i chciała zapłakać się na śmierć, rozpląnąć się we łzach w nicość. Mocno ją tulił, lecz jedynie mówił te słowa. Żadnego cudu, żadnego zmartwychwstania, żadnego „Nie umarła bowiem dziewczeczka, ale śpi”, żadnego „bo nie masz nic niemożliwego u Boga”. A teraz przepadła też ta druga dziewczynka - z jej winy. Powinna była przewidzieć. Jeśliby się wtedy dobrze zastanowiła, mogła coś powiedzieć...

Żółty traktor, który już znikł, wylania się ponownie zza żywoplotu okalającego pobliskie pole; spośród różnych dźwięków Barbara wybiera cichy puls jego silnika i uczepia się go, nie jakiejś rzeczy, słów, nawet nie dźwięku, lecz czegoś przypominającego dotyk.

Mark robi krok naprzód. Wilgotnieją mu wargi, zupełnie jak parę tygodni temu, gdy po raz pierwszy przejawiał przed zgromadzonymi wiernymi. Zamyka oczy.

- Będzie to o naturze wiary - wyjaśnia - oraz o drogach, które do niej prowadzą. - Jego lewa noga za czyna lekko wibrować, drgania, choć niedostrzegalne, wstrząsają całym ciałem, nawet jego głosem, mimo to kontynuuje: - Powiedziano uczniom, iż muszą wykroczyć daleko poza to, czego, jak sądzili, będzie się od nich wymagać, i, co najistotniejsze, że nie mogą służyć dwóm panom naraz. Także my, co oczywiste, nie możemy...

Staje się lepki od potu, lecz głos się uspokaja, a słowa płyną z ust jedno za drugim, żarliwe, ale i pełne ładu. Jeszcze więcej ich czeka w jego wnętrzu. Czuje, jak się przepychają, próbując się wydostać. Mruży oczy pod światło i czeka, aż wierni się przygotują. Spogląda w ich twarze, a oni patrzą na niego. Choć czuje, że rozdział pasowałby tematyką, nie chce mówić o wyspie, lecz

raczej o tym, co leży u podłoża pragnienia jej.

- Envall twierdzi, że wiara to paradoks. Jakaś wewnętrzna wiedza, znajomość czegoś, czego nie da się udowodnić, tylko co trzeba wiedzieć. Nie wiedzieć o czymś, tylko wiedzieć za pomocą tej wiedzy. Tak to ujmuje w swych Objasnieniach. Środki prowadzące do wiary są zarazem jej celem. Mówi nam przez to, jak należy otworzyć serce.

Słowa przestają się liczyć z tym, co nimi kieruje, torują sobie własną drogę przez Marka, gromadząc wokół siebie ciszę, dostosowując kształty jego ust, gardła i tempo oddechu do własnego rytmu.

- Zaledwie szept, odległość o włos, dzieli wiarę od jej przeciwieństwa. Przypomnijmy sobie Saula. Od wewnątrz jest jasna, od zewnątrz nie. Wiara jest absolutna. Skrajna. Wymagająca. Sprawia, że stajemy poza zwykły mi prawami i zwyczajami panującymi w naszych czasach. Jest za to również szczodra...

Miarowy rytm, dochodzący z zewnątrz do Marka, który ledwo go słyszy, zaburza się, po czym ustaje. Mark zerka na lewo i widzi, jak żółty traktor toczy się po ścieżce w dziwnej ciszy. Słowa gubią się i rozpraszają. Wszyscy też patrzą na traktor, który przesuwa się obok zabudowań gospodarstwa, wypłuwa z siebie jakiś mechaniczny kaszel na wpół z wybuchem, po czym silnik wraca do jednostajnej pracy. Jedzie i jedzie na prawo, tuż na kraniec pola, na którym się zebrali. Zmierza w ich kierunku, zupełnie jakby miał ich przejechać, i wtem zatrzymuje się parę metrów przed pierwszym rzędem krzeseł. Z jednej strony wysiada Harris, a z drugiej ześlizguję się ja, w dżinsach i w żółtej bluzce, z kasztanowym swetrem Johna zwiniętym po pachę.

- Zguba wraca z Saxby - woła Harris, przekrzykując silnik i popychając mnie do przodu. Barbara rzuca się do mnie i ściska.

- No tośmy przyjechali - mówi Harris. Nikt nie zamierza mu dziękować. Zawraca traktor i rusza w dół zbocza. W powietrzu nadal unosi się odurzający, drażniący zapach diesla.

- Usiądźcie, proszę, Natalie, Barbaro. Mów dalej” Mark. - John do swych

słów dodaje gesty, dokąd mamy pójść, jak kierujący pieszymi, który pokazuje, kiedy przejść przez ruchliwą ulicę. Udajemy z Barbarą, że go nie słyszemy, ale jego głos brzmi stanowczo i urzędowo i przez chwilę wydaje się, że będzie można wrócić do przerwane nabożeństwa, jakby nic się nie wydarzyło: siedzący wierni czekają, czy Mark zdoła doprowadzić swe dzieło do końca, zabrać ich na pokład w miejscu, w którym ich wysadził, i poprowadzić tam, dokąd mieli się udać, jak pilot czy kapitan, który tak steruje statkiem, by pasażerowie, miotani wichrami, uniknęli katastrofy, Wypływając na nieskazitelny błękit. Ale on ma zaledwie czternaście lat. To go przerasta; kręci głową i powoli siada na stojącym za nim drewnianym krześle, sprawdzając Najpierw, czy dalej tam stoi.

Cale zgromadzenie patrzy teraz na mnie. Ja też patrzę prosto na nich wszystkich i mój głos aż pulsuje z przyjemności, którą niesie każde wymawiane słowo.

- Widziałam, jak kosmonauci chodzą po Księżycu! - informuję. Doskonale wiem, że się im to nie spodoba, mimo to mówię: - Widziałam w telewizji!

Następuje krótka, intensywne cisza, po czym wybucha zgiełk. Barbara zjawia się nie wiadomo skąd, bierze mnie w ramiona.

- Zamierzałam wrócić, zanim się obudzicie - mówię do niej; wybucha płaczem. Jej własne cierpienie znika dzięki uldze, którą odczuwa, nie zapomni jednak nigdy widoku Marka, który usiadł na krześle na polu, nagle stając się chłopcem, a nawet dzieckiem.

- Przepraszam - mruczę, a Anderton zrywa się, łapie stojące przed nim krzesło i ryczy najgłośniejszym głosem ze wszystkich:

- Dlaczego jest tu z nami to dziecko?

- Bo - zaczyna Barbara, lecz słowa grzęzną wśród nagłej ciszy.

- Dlaczego? - powtarza Anderton, cały purpuro wiejąc.

- Proszę, przestańcie - mówi pani Thorn, która siedzi w jak zwykle

eleganckiej spódnicy, starannie wyprasowanej i ułożonej bluzce z rozpiętymi dwoma guziczkami przy szyi, odsłaniającymi wilgotną, pokrytą plamami skórę.

- Odprawiamy nabożeństwo czy też nie? Czy oddamy Bogu, co jest Mu należne, czy też nas to przekracza?

Wtedy Thwaite występuje naprzód.

- Nabożeństwo przełożone - mówi - jak wszyscy pójdą ochłonać i wrócą na, powiedzmy, jedenastą, to być może to wszystko przedyskutujemy.

A zatem ustalone. Wierni rozstępują się, idąc z powrotem na drugie pole.

- Nie chcę wracać - wyznaję Barbarze.

- Będzie dobrze - pociesza mnie - sama zobaczysz.

A skąd ona wie? To ja wszystko zaczęłam, choć wcale tego nie chciałam, i nadal nie zdaję sobie sprawy, jakie będą następstwa.

20

Gdy wracamy do przyczepy, siadam niemal na żywopłocie, kryjąc twarz w dłoniach i czekam, aż ktoś zacznie na mnie krzyżeć. Ale nikt tego nie robi: Barbara wydaje się prawie pogodna. Myje twarz i nakłada bluzkę z krótkimi rękawami i dużym kołnierzem, różową z białymi guzikami, teraz krząta się bez celu. Mark leży na plecach na wydartej połaci trawy przed przyczepą i patrzy w niebo. W pewnym momencie śmieje się, po czym wraca do swych obserwacji nieba. Pan Hern siedzi na leżaku, ma zamknięte oczy i zmarszczone brwi.

- Będzie nam potrzebne mleko - oświadcza Barbara. Mark zrywa się.

- Ja pójdę.

- Teraz moja kolej według planu - stwierdza Barbara - mówiąc szczerze, chcę się przejść.

- A ja? - odzywam się cicho - czy mogę...

Ostatecznie cała nasza czwórka wyrusza po dziesięć litrów na podwieczorek, swoisty rodzaj pokuty za zamieszanie, które wprowadziliśmy.

Idziemy przez pole zwartą grupką, klucząc między linkami namiotów i schylając głowy, by ominąć sznury z rozwieszonym praniem, cały czas mając świadomość, że jesteśmy pod obstrzałem spojrzeń. Znienacka, co dziwne, stajemy się czymś w rodzaju rodziny.

- Idziemy po mleko - wyjaśnia Barbara kilku kobietom czerpiącym wodę do butli z kranu przy bramce.

Jedna z nich uśmiecha się i kiwa głową, ale reszta patrzy w inną stronę. Jakby w odpowiedzi Barbara prostuje się i spogląda na nie hardo.

Na ścieżce unosi się pylista woń trybuli leśnej, zagłuszana słodką, spokojną nutą kapryfolium, a wysokie żywopłoty tworzą głęboką szczelinę cienia, która chroni nas zarówno przed spojrzeniami, jak i upałem.

- Przepraszam - mówię, tak na próbę - przepraszam, że sprawiłam tyle kłopotu.

Czy mi wybaczyli? W każdym razie dobrze się czuję, mówiąc te słowa.

- Dzięki, Natalie - odpowiada Barbara - wiem dobrze, że nie zrobiłaś tego umyślnie. Ale szkoda, że nie powiedziałaś nam, co masz zamiar zrobić.

Załóżmy nawet, że bym powiedziała, jak by wtedy postąpiła? Nie pytam o to ani, rzecz jasna, nie wspominam o fotografii, o której mi opowiedziała - wszystko zawisło na najcieńszej, najbardziej wystrzępionej niteczce, która pięknie przy kolejnym lada obciążeniu. Ale jednocześnie nikt nie zachowuje się tak, by do tego dopuścić.

- I przepraszam cię, Mark - dodaję - że zepsułam twoją mowę.

- Mark - delikatnie podpowiada mu Barbara.

Pochyliła głowę, nie podnosząc spojrzenia.

- Nie mam już na to żadnego wpływu - odzywa się.

Malowana tabliczka każe nam zamknąć za sobą nową aluminiową bramę. W oddali słychać jazgot kurczaków, choć żadnego nie widać, podobnie jak psa, który szczeka gdzieś nieopodal, wpadając w szał. Na ścieżce, po której idziemy, miejscami odcisnęły się głębokie ślady po wielkich kołach, gdzieniegdzie leży

popiół; dróżka prowadzi nas do otwartej stodoły z dachem pokrytym falistą blachą, w której zaparkowano na ukos żółty traktor. Do stodoły przylega kilka dalszych zabudowań i parę długich, niskich szop. Sam dom stanowi mieszaninę starego z nowym, ma stolarkę niedawno wymalowaną na niebiesko. Omijamy lśniące drzwi wejściowe, idąc ścieżką z betonowych płyt wokół boku domu, gdzie sterczy niewidoczna od frontu parterowa dobudówka, postawiona na równym terenie. Dalej zaczyna się duży, brukowany plac, ogrodzony pomalowanym na niebiesko płotem z drewnianych żerdzi. Znajduje się tu pusta suszarka wirowa na ubrania; pod ścianą budynku ustawiono rząd doniczek z ziołami i parę krzaczków pomidorów nakrytych papierowymi stożkami. Uchylone na wpół przeszkłone drzwi przytrzymuje haczyk; z wnętrza domu sączy się muzyka. Pukamy i zerkamy do środka na liczne tacki z jajkami, piętrzące się na wielkim stole.

- Skoro już tu jesteśmy, może byśmy zadzwonili do twojej mamy - proponuje Barbara; mówię jej, że próbowałam wczoraj, ale telefon w domu nadal nie działa.

Do drzwi w końcu podchodzi jakaś kobieta w obcisłych dżinsach i ogromnej męskiej koszuli, o bosych stopach. Ma intensywnie błękitne oczy, bladą karnację i farbowane na głęboką czerń włosy, z grzywką ściętą na pazia. Na serdecznym palcu nosi błyszczącą złotą obrączkę. Gdy nas lustruje, na jej twarzy maluje się coś pomiędzy ciekawością a rozbawieniem; cały czas kiwa głową w nieubłagany rytm dochodzącej muzyki. - Harris już idzie - informuje nas. - Ale pogoda, pić się chce, prawda? - pyta. Kiedy zwalisty, pogrążony w cieniu Harris wtacza się do kuchni, ona wychodzi. Muzyka staje się głośniejsza, przechodząc w końcu w rozszalałe bębnienie, i zniemacka urywa się na niskiej nucie.

- To znowu ty! - mówi Harris, szczerząc zęby w uśmiechu i dźgając mnie wielkim paluchem.

Prowadzi nas przez błotniste podwórko, na którym wala się słoma, do

kamiennej szopy. Ma butelkowane mleko: ludzie obecnie takie wolą. Otwiera lodówkę i wskazuje gestem rzędy butelek, lśniących matowo w świetle zamontowanej w środku żaróweczki.

- Weźcie z lewej górnej półki. A na dole wszystko w porządku? Macie, co trzeba? - Harris siada ociężale na przewróconym do góry dnem pojemniku na butelki, ziewa. Jest na nogach od piątej rano, kosił siano i znajdo wał zgubione dzieci.

- To przeurocze miejsce - mówi Barbara. Nie udaje mi się jakoś ściągnąć na siebie jej spojrzenia.

- Tak więc - odzywa się Harris, pocierając energicznie pokrytą jasną szczecina szczękę - podobno nie przepadacie za telewizją?

John Hern tylko się uśmiecha. Sięga po butelki i zręcznie umieszcza je w odpowiednich przegródkach pojemnika, po dwie za jednym zamachem.

- Ja też nie mam odbiornika - ciągnie pogodnie Harris. - Jakoś wytrzymuję. Wystarczy policzyć koszty i zmarnowany czas: traci się podwójnie. Mówię Belindzie: jak się ma trochę wolnego czasu, to zawsze mogę wymyślić coś do roboty o nieco lepszego! Pewnie dzieciom jest ciężko - gestykuluje, wymachując rękoma na boki w moim kierunku; też siedzę na pojemniku na butelki. - No ale co z tego macie?

John stawia dwie butelki, które właśnie miał włożyć na miejsce, na klepisku. Na chwilę mocno zaciska oczy. Harris przygląda mu się z zainteresowaniem.

- Łaskę Bożą - odzywa się w końcu John, patrząc prosto na Harrisa; jego twarz jest otwarta i ruchliwa - pokój. Pewność. Żarliwość. - Twarz rozświetla błogi, niemal dziecięcy uśmiech.

Woń wilgotnego kamienia w szopie przynosi jakieś niespodziane ukojenie. Niewiele widać w ciemnym świetle: stos pustych worków, widły do siana, parę psich misek z nierdzewnej stali, na których zaschły resztki jedzenia. Mark opiera się o ścianę i ssie źdźbło słomy. Barbara stoi nieruchomo z

opuszczonymi luźno rękoma.

- Nie wierzę w nic oprócz ciężkiej pracy - mówi po chwili Harris. Wstaje i przeciąga się. - W sierpniu mam tu hipisów, przyjeżdżają z różnych zakątków, i tak że tego chcą, nieba na ziemi, w ich pojęciu; cały dzień muzyka, całą noc wolna miłość i oczywiście narkotyki. Na końcu zostaje potworny bałagan - ale, zwróćcie uwagę, płacą i wracają co roku.

- Mam ze sobą trochę książek - mówi John.

- Ze mnie to żaden czytelnik - odpowiada na to Harris. Prostuje się, podając wszystkim wielkie łapsko.

Mark i Barbara biorą jeden pojemnik z mlekiem, a John i ja idziemy za nimi; taki układ jest podyktowany wzrostem.

- A czy ja mogę obejrzeć te książki? - pytam Johna, kiedy opuszczamy już teren gospodarstwa.

- Oczywiście - odpowiada - oczywiście, że tak, Natalie.

Pojemnik uderza mnie w bok nogi; kiedy próbuję go odsunąć, bolą mnie ręce.

Mijamy kobiety opiekujące się młodszymi dziećmi, od których nie można wymagać, żeby wytrzymały do końca zebrania: Alison, chudą dziewczynę z Berwick, która założyła wełniany sweter, nie zważając na upał, Gail Vickers, Julię Jowett, która karmi własne maleństwo. Znacznie młodsza ciężarna siostra Gail, Caroline, siedzi pod markizą namiotu służącego do przygotowania jedzenia i trzyma spuchnięte nogi w oblepionej nasionami traw misce z letnią wodą. Kładziemy parę butelek w wiaderku z tyłu namiotu, żeby się ochłodziły; kobiety kiwają głową w podziękowaniu, po czym zerkają po sobie - najwyraźniej rozmawiały właśnie o nas.

Z położonego niżej pola dochodzi zgiełk chaotycznej dyskusji, przemieszane głosy o różnych tonacjach. Przenosząc się na dół, wiele osób porzuciło krzesła, zadowolając się kocami i poduszkami, więc potworzyły się nieoficjalnie rzędy przetykane gdzieś nielicznymi przypadkowymi

krzesłami, za którymi powstały luki. To głównie starsi ludzie pozostali przy krzesłach, ustawiając je w większej odległości od siebie, jak gdyby tym daremnym wysiłkiem chcieli wywołać powiew wiatru, który by ich wachlował. Niektórzy mają osłony lub małe parasole przypięte do oparcia krzesła. Z całej reszty wyróżnia się Anna Herrick swą prostą szmizjerką w kolorze wahającym się między fioletem a niebieskim. Pani Thorn zmieniła strój, w którym uczestniczyła w nabożeństwie, przebierając się w bluzkę bez rękawów i dodając duże okulary słoneczne w białych plastikowych oprawkach. Dziadkowie Timothy'ego i Petera, starsi państwo Andertonowie, założyli identyczne panamy i przez moment zdają się sami być bliźniakami.

Na przedzie stoi Anthony Thwaite, o wyświeżonej twarzy, ubrany w szorty khaki i białą koszulę; z racji swego zaangażowania w zorganizowanie całego obozu przejął półoficjalną rolę przewodniczącego zebrania. Atletycznie zbudowany i tryskający energią, zdaje się zadowolony ze swego zadania. Co jakiś czas nurkuje w tłum, by odnotować jakieś pytanie czy wniosek lub by rozwiązać bardziej praktyczny problem w rodzaju podparcia osłony przeciwsłonecznej czy stabilnego postawienia krzesła na nierównym gruncie.

Zanurzamy pojemniki z mlekiem w rzece, by je ochłodzić, po czym wracamy w pośpiechu. Zajmujemy miejsca na krzesłach z przodu, które trzymane dla nas, a szmer głosów na polu opada, po czym w ogóle cichnie, jakby stoczył się po urwisku. Anthony Thwaite wyjmuje z tylnej kieszeni jakieś złożone kartki i krótko je studiuje.

- Należy zacząć od tego - odzywa się - że jest to ważna chwila. Spróbujmy jej sprostać poprzez...

Ale Anderton już zerwał się na równe nogi.

- Należy zacząć od tego - przerywa - czy musimy prowadzić tę dyskusję w obecności kogoś niewierzącego, unurzanego w grzechu? Czekam na odpowiedź. - Widzę, jak jego pierś unosi się i opada. Odsuwa kłęb wilgotnych włosów z czoła, rozgląda się po polu.

- A jeśli tak - mówi - to czy ona ma uczestniczyć? Ale jak? Jak w ogóle może? A nawet jeśli przyjmiemy, że tak, to po co w ogóle tu jest? - Odczekuje moment, a następnie opada ciężko na krzesło obok filigranowej żony.

Siedzi cztery rzędy dalej, mimo to czuję jego zapach i widzę wijące się włosy na ramionach i w rozchyleniu koszuli - istny owłosiony kutas, mówię do siebie, ale to nic nie daje... Znienacka tracę grunt pod nogami. Nie podoba mi się sposób, w jaki każdy z nich mówi o mnie, zupełnie jakby mnie tu nie było, a przecież słucham. I chcę po prostu trzymać Barbarę za rękę, ale między nami siedzi Mark, poza tym ona i tak nie patrzy w moją stronę - łapię za siedzenie mojego krzesła i zaczynam kopać, w przód i w tył, w przód i w tył.

- Mnie niewierzące dziecko na pewno nie przeszkadza - mówi Helen McAllister, zdenerwowana i gniewna; jej głos drga jak struna skrzypiec. - Zawsze jest pośród nas jedna lub dwie osoby w stanie grzechu czy zwątpienia, a nigdy nie zalecano nam, by ich wykluczano z zebrań, nie czynił tego ani Envall, ani tym bardziej sam Chrystus!

- Tak - woła Barbara. - A jeśli osoba popełniająca grzech nie rozumie tego...

Anderton znowu wstaje i podnosi rękę: zwątpienie, któremu nie towarzyszy wewnętrzne zaangażowanie, różni się całkowicie od niewiary. Pierwsi chrześcijanie, przypomina wszystkim, spotykali się w tajemnicy w czasach prześladowań i podejmowali wszelkie kroki, by uniknąć zdrady.

- Przez cały rok - kontynuuje - zmagamy się z wrogim nam światem po to, by żyć w zgodzie z naszymi przekonaniem. Wszyscy wiedzą, jakie to trudne. Tu mamy wyjątkową okazję, by przebywać wyłącznie we własnym gronie, wraz z Panem, i odnowić w sobie siłę. A tu przerywa się nabożeństwo, bo jakieś dziecko umyśliło sobie czmychnąć, by oglądać telewizję...

- Tak. Ale Natalie nie zdawała sobie sprawy z tego, co robi - ripostuje Barbara. To tylko w połowie jest prawdą, i nawet ona mówi o mnie tak, jakbym była nie obecna. Łup, łup, łup, walę piętami w trawę.

- Nawet małe dziecko - odparowuje Elsbeth Anderton - należy nauczyć przyjęcia pewnej odpowiedzialności. Natalie - mówi, patrząc w moją stronę - nie powinna była przyjąć zaproszenia tutaj. Albo jej matka powinna była tak zrobić. Albo też, z czystego szacunku dla nas, powinna była powstrzymać się od zrobienia czegoś, co, jak wiedziała, może nas zmartwić. Nie uczyniła tak jednak, więc jak możemy jej teraz ufać?

Zrywam się i mówię:

- Wszyscy słuchali o tym w radiu!

- Czy nie potrafisz zrozumieć, że nie mamy nic przeciwko samej wyprawie, jesteśmy tylko przeciwni wizerunkom i obrazom. - To Simon Thorn odpowiada ze spokojem, jakby dyskutując z jednym z dzieci, których tak bardzo chciał się doczekać z żoną.

- Ale to były obrazy i zdjęcia na żywo - oznajmiam - w każdym razie kosmonauci nie dotarliby na Księżyc, gdyby nie zdjęcia, potrzebowali ich do nawigacji...

- Czy właśnie po to tu przyjechaliśmy, żeby wysłuchiwać takich rzeczy! - pyta Anderton, kiedy znów siadam.

Barbara wskazuje mnie luźnym, ogólnikowym gestem.

- Natalie - mówi - powiedziała nam dziś rano, jak bardzo jest jej przykro z powodu tego, co się stało.

- Naprawdę? - pyta Thwaite.

- Tak - przytakuję, jakby potwierdzając znany fakt, który jednak nie ma ze mną zbyt wiele wspólnego.

- Jeśli ktoś tu zawinił - dodaje Barbara - to na pewno ja. Nie wyjaśniłam jej należycie wszystkich spraw. I być może powinnam była zasięgnąć opinii innych osób. To nieporozumienie. Przepraszam.

Thwaite wyciera twarz dużą pomiętą chustką. Dziękuje Barbarze. Wyciąga ponownie swe kartki, odchrząkuje.

- Czy możemy przejść do dalszych punktów? - pyta. - Mamy do

omówienia wiele poważnych i zasadniczych zagadnień...

- A co - ryczy Anderton - może być poważniejszego od tego, byśmy się uchronili przed grzechem?

- No cóż - mówi Thwaite - a dlaczego spotykamy się tutaj, a nie w Elojoki? Czy nie nadszedł czas, by zmierzyć się z problemami, które staną przed nami tak że w przyszłości? Co tak naprawdę oznacza ściśle przestrzeganie zasad wiary w obliczu nowych okoliczności dotyczących przepisów paszportowych? Weźcie pod uwagę rzeczywistą sytuację, jej wpływ na życie poszczególnych ludzi: moje własne utrapienie, na przykład, związane z zaręczynami z Eiją, albo problem McAllisterów: stypendium, na które Alistair miał jechać do Helsinek wraz z Pekką Saarikangasem...

- Musimy z całą pewnością zadać sobie pytanie, czy w drugiej połowie dwudziestego wieku, którego natury Envall nie mógł przewidzieć, czy w zamierzeniach Pana Boga mieściły się aż takie trudności w życiu codziennym, wręcz graniczące z niemożliwością, jakie zaistniały obecnie? Na pewno nadszedł czas, by poruszyć ponownie pytanie o różnicę dzielącą „czynienie sobie” wizerunków a „kłanianie się” im, a co się z tym wiąże, różnicę między „duchem” a „literą”. Czy na pewno nie możemy rozszerzyć znaczenia słów „oddać cesarzowi, co cesarskie” tak, by mieściło się w nich również noszenie ze sobą tak niezbędnych dokumentów? Czy mógłbym poprosić teraz o chwilę ciszy, w czasie której każdy z nas poprosi Boga o pomoc w rozwiązaniu tych ważnych kwestii? - I pochyla głowę; inni idą za jego przykładem.

- Jeśli to dziecko - syczy znów znajomy głos, już nie grzmiąc - jeśli ona zostanie z nami, to ja i moja rodzina nie możemy. Kto myśli podobnie?

- Czy tego chcecie? - pyta zgromadzonych Thwaite - właśnie tego?

Wpycha z powrotem papiery za pasek.

A teraz, znowu bez udziału mojej woli, mam zeszywniałe nogi. Nie mogę nimi poruszyć. Wpatruję się bez przerwy we własne kolana i mocno trzymam się boku krzesła. Oddycham płytko, tylko tyle, ile trzeba, nie więcej,

choć tak naprawdę pragnę zaczerpnąć haust powietrza i głośno wyrzucić je z siebie. Gdy zaczynają mi kapać łzy, patrzę tylko na zazielenione od trawy kolana džinsów, nie chcąc, by ktokolwiek wiedział, jak bardzo mnie to wszystko dotyka.

- W porządku - mówi Thwaite - ustalmy więc. Ci, którzy chcą, by Natalie odeszła, niech podniosą teraz ręce.

- Mark - prosi Barbara - pozwól mi usiąść koło Natalie.

I to jest ostatni moment. Dżinsy na kolanach całkiem już przemokły.

Thwaite zaczyna głośno liczyć. Na wyżej położonym polu małe dziewczynki w kucykach, ze spinkami we włosach i krótko ostrzyżeni chłopcy chlapią się w żółtej kałuży, wpychają plastikową piłkę do wody, odbijają ją tak, że podskakuje w górę, polewają się nawzajem wodą z wiaderek. Piszczą i rozbryzgują wodę, obserwując, jak zmarszczki na jej powierzchni kładą się cieniem na dnie kałuży.

Czterdzieści dwie osoby chcą, żebym odeszła: wszyscy najbliżsi przyjaciele Andertonów, Josie Gardner, choć nie jej mąż, Adrian Jowett i jego podeszły wiekiem ojciec, Lattenowie, dwa potężne klany rodzinne ze wspólnoty wiernych z Hull. Ale, co mnie zaskakuje, nie Mark. Siedzi, wpatrując się we własne dłonie, całkiem jak ja w kolana. Przypuszczam, że zrezygnował z roli proroka.

- A kto chce, żeby Natalie została? - pyta Thwaite. Dwadzieścia pięć osób chce, żebym została. Dwadzieścia siedem, w tym Mark, nie opowiada się po żadnej ze stron.

Nie po to tu przyjechałam. Palce Barbary, które wpiła w szczyt mojego ramienia, zaczynają boleśnie uwierać.

- To okropne! Tak mi przykro - mówi. Ale powinna przecież to powstrzymać, właśnie teraz! Odsuwam się.

- Dokąd - pyta Thwaite - to dziecko ma pójść?

- Oczywiście ze mną - oświadcza Barbara. Sięga pod krzesło po torebkę.

- Ty należysz do nas - przypomina jej John.

- Nie mogę - odpowiada, rzucając mu gniewne spojrzenie - biedne dziecko nie może cały dzień błąkać się samopas!

- Któraś ze starszych dziewczynek mogłaby wziąć ją na spacer - woła Josie Gardner.

- Nie wyślę jej z kimś, kogo nie zna, po tym wszystkim. Każdy rozumie, że...

Barbara kuca przede mną, rozcierając mi ramię i trzymając za rękę.

- Natalie - mówi niskim łagodnym tonem - to na pewno jakoś ucichnie. A teraz ja i ty pójdziemy sobie do wsi. Zjemy lody. Wszystko się ułoży.

Ale John Hern wstaje i odciąga ode mnie Barbarę, trzymając ją mocno w czymś w rodzaju uścisku. Ona wyrywa mu się, uwalniając ramiona. Zawiesza je w powietrzu, ma zaciśnięte pięści, jakby na jego plecy czy głowę miały się posypać ciosy.

- Usiądź proszę, kochanie - naciera na nią tak, że Barbara zaczyna się lekko chwiać - zostań, proszę cię.

Nieoczekiwanie Barbara staje się posłuszna, siada na krześle tak mocno, że niemal wywraca się ono do tyłu. On ujmuje jej dłonie i patrzy niewzruszenie w jej twarz. Oczy płoną mu jakąś szaleńczą czułością.

- Kocham cię - słyszę, jak szepcze, jednocześnie trzymając kurczowo jej dłonie. - Ja ciebie potrzebuję, mojej żony, żebyś teraz była ze mną, tu i teraz. To, co się dziś zdarzy, będzie ważne...

Ona sztywnieje, uwalnia jedną z dłoni, wali nią o kolano - widzę, jakie to trudne i jakaś część mnie pragnie niemal, żeby pozwolić jej odejść. Ale tylko część. A wtedy...

- Mamo - odzywa się Mark - mogę iść z Natalie. Nie ma sprawy. Już wszystko dobrze.

- Nie chcę z nim iść! - wrzeszczę na nią i wycieram nos o ramię - chcę z tobą. Chcę iść do wsi. Już mi się tu wcale nie podoba.

Ona patrzy raz na mnie, raz na niego. Ma spoconą twarz.

- Jeśli zostanę, to tylko dlatego, że mnie o to poprosiłeś - oświadcza Johnowi Barbara. - Nie zgadzam się na to, co się tutaj dzieje. Czy tego chcesz? - i kręci głową, jakby jej coś brzęczało w uchu.

- Dziękuję - odzywa się John, pochylając głowę - chcę, żebyś została.

- Zrozum, proszę - zaczyna ona, starając się do mnie dotrzeć wyciągniętą ręką i tonem głosu - nic z tego, co zaszło, nie jest twoją winą. Ale...

Nie ma już sensu czekać na to, co nastąpi po „ale”. Wstaję i pędzę po zboczu, mijając Thwaite'a, i przez bramkę wbiegam na ścieżkę. Bramka zatrząskuje się za mną, nie oglądam się ani razu.

Jestem w połowie drogi na szczyt wzgórza, kiedy słyszę Marka:

- Natalie! Natalie! Natalie! - woła swoim głupiutkim głosem, który załamuje się na końcu zdania. - Czekaj! Idę z tobą, Natalie.

Jak dotąd, po raz pierwszy słyszę, że Mark używa mojego imienia. Zdaje się, że do tej pory istniałam w jego umyśle jako „jej, ona” czy „ty”. Ale te trzy sylaby, zestaw głosek, wymykają się z łatwością z jego ust, i spodziewam się, że zostawiają za sobą jakiś interesujący zamęt, niczym pierwszy kęs cudzoziemskiej potrawy, wyrafinowanej, ale niepewnej, wziętej do ust przez przypadek, i której nie da się wypluć, bo już się zaczęło przełykać.

- Natalie, proszę! Poczekaj, proszę!

Spieszę się coraz bardziej, mknąc w górę, przedzieram się przez żywioł muszek i świerszczy, czuję woń pyłku kwiatów i żywicy, moje klapki japonki objają się o pięty.

21

Przez noc brzozy pokryły się kropeczkami zieleni, a w kuchennych ogródkach zjawily się jak spod ziemi kępki kopru. Powietrze pachnie mchem i sokiem drzew.

Heikki wrócił z urlopu.

Przestałam korzystać z jego kopiarki i myszkuję teraz w księgach oraz zapisach parafialnych, zgromadzonych tymczasowo we wnęce jego pokoju, rząd za rzędem potężnych oprawnych w skórę tomów z wytłoczonymi na grzbietach datami i grubymi zdrewniałymi kartami: narodziny, śmierci, śluby, przyjazdy, odjazdy, cała materia naszej podróży w czasie.

- Co się więc stało z pana byłą żoną? - pytam go.

- To, co zwykle - mówi, podchodząc do małego stolika, przy którym siedzę; wniesiono mi go na czas wertowania książek.

- Czyli co?

Heikki wzrusza ramionami, wpycha ręce w kieszenie.

- Pani opowieść byłaby z pewnością o wiele ciekawsza - odzywa się, udając, że ogląda wnikliwie rzędy tomów.

- Nie określiłabym jej takim przymiotnikiem.

- Nie chciałem popełnić jakiejś niezręczności - wyjaśnia - przecież pani wie - obraca się nagle, by spojrzeć mi w twarz i kładzie obie dłonie na moim maleńkim biurku, zmuszając mnie tym samym, żebym pod niosła wzrok. - Chodzi mi o to, że chciałbym się czegoś o pani dowiedzieć, a tak naprawdę chcę powiedzieć, że jako mężczyźnie wcale nie przeszkadza mi to, jak pani twarz jest...

To nie tobie może tu coś przeszkadzać, prawie mówię. To ja mam wspomnienia, czuję je od środka. Udaje mi się jednak jakoś to zdławić i wstaję, bo czuję, że gdy siedzę, on ma przewagę.

- Tak naprawdę, podoba mi się - dodaje, i tego już za wiele.

- To wyjątkowo miło z pana strony, panie Seppa - odpowiadam i kłaniam się w na wpół szyderczy, na wpół poważny sposób. Nie potrafię się powstrzymać; ostatecznie Heikki opuszcza własny gabinet. Patrząc, jak odjeżdża samochodem, wtedy siadam i nie wychodzę, aż kończę to, po co tu przyszłam. Wówczas orientuję się, że nie po prosił mnie o zwrot kluczy, wracam więc do pappili. Właśnie w tym miejscu wolę obecnie przebywać.

W tylnym pokoju Tuomasa z zatrzaśniętymi okiennicami i o ścianach pokrytych boazerią znalazłam nie tylko jego pierwszy notatnik, ale wpadło mi w ręce również dwadzieścia innych osobistych zapisków, głównie na pojedynczych arkusikach papieru wsuniętych między karty książek lub, jak jeden z nich, wepchniętych za stojące na półce tomy. „Zalóżmy, że postąpiłbym wówczas inaczej. Jak można rozważać jeden grzech względem drugiego? Czy wszystko poprawiłem, czy pogorszyłem?”, zapytywał sam siebie w chwili odosobnienia w styczniu 1900 roku. Wiecznie tylko pytał, ten Tuomas, i nigdy niczego nie wyjawiał. Ale jednocześnie nikt nie miał oczywiście pojęcia, że targaly nim najmniejsze choćby wątpliwości. Ciągłe powtarzał te same rzeczy (bezsprzecznie miało w tym udział tchórzostwo, ale i rodzaj altruizmu), więc jego zwolennicy przekazali dalszym pokoleniom to, c^o powiedział, niczym biegacze sztafety pałeczkę...

192 Nie tropię już Tuomasa. Tak bardzo przywykłam do jego gigantycznego biurka, subtelnego, przesianego w cętki światła z bocznego okna. Lubię tu pracować albo siedzieć i rozmyślać. Jestem w jego gabinecie ze swoim notesem i przyborami do pisania. Brzmi to, jakbym była szalona, lecz czasem odnoszę wrażenie, że mnie ktoś lub coś nawiedza. W każdym razie czekam, że Tuomas - jego historia - przyjdą do mnie, i jestem pewna, że to w końcu nastąpi.

Kiedy naturalne potrzeby biorą nade mną górę, wracam wąską ścieżką do domu. Na progu siedzi jakiś młody mężczyzna w koszuli z wełnianej, grubej tkaniny. Chociaż od razu się przedstawia, sędzę, że i tak wpadłabym na to, kim jest, nie tyle zgadując po jego twarzy, na w pół ukrytej pod gęstą brązową szczecina, ile po jej wyrazie - tej specyficznej, szybko zmieniającej się mieszaninie urazy i pretensji. Być może taki zestaw wydaje się nieco bardziej pociągający u mężczyzny, do tego młodego, mimo to nie przepadam za czymś w tym rodzaju. Jako że moja własna twarz jest taka sztywna i napięta, zwykle myślę: jeśli się ma wybór, trzeba z niego skorzystać. Lecz być może tego nie czynimy.

- Mam na imię Pekka, jestem synem Kirsti Saarinem - odzywa się. Nie wstaje, tylko dalej siedzi na progu. - Ona twierdzi, że pani się na nią gniewa, więc nie mogła tu przyjść osobiście - mówi wolno, za to wymawia ociężałe samogłoski i leniwie spółgłoski, przez co jeszcze trudniej go zrozumieć. Wzruszam ramionami, zmieniam pozycję, by poprawić laptop i teczkę przewieszoną przez ramię, czekam na to, co dalej. Następuje długa cisza.

- Mama chciałaby wiedzieć, jaki ma pani interes, żeby przychodzić do pappili?

A więc wtedy, gdy jeżyły mi się włosy albo stawałam się nagle czujna, chwilę przed zaśnięciem, to nie duch Tuomasa mnie nawiedzał, tylko któreś z nich, pewno on, zaglądało przez okno i zmykało, zanim zauważyłam. No cóż, to rodzaj ulgi. Uśmiecham się do niego.

- Moja praca naukowa - mówię - czytam papiery Tuomasa Envalla i tak dalej. Próbuje ustalić, co sprawiło, że wymyślił enwallizm.

- Jeśli wolno, stało się to z Bożego natchnienia.

- Tak oczywiście twierdził. Ale nie jestem przekonana. A w pappili nie ma sprawnej toalety, więc muszę te raz dostać się do środka, jeśli mi pan pozwoli. A potem...

On nawet nie drgnie.

- Moja matka miała ciężkie życie - mówi, wpatrując się w czubek buta - nawet kiedy był tu ojciec, też było ciężkie, może nawet na swój sposób cięższe. To ja się nią opiekuję. Pozostali zajmują się nim, to samolubni złościcy.

- Ach tak, przepraszam - mówię - ale ja naprawdę muszę teraz wejść.

- Czy mógłbym zobaczyć, co ma pani w torbie? - pyta.

- Nie - odpowiadam - oczywiście, że nie.

Prawda jest taka, że prawie od tygodnia nie znalazłam niczego nowego, nie mam więc nic, do czego mógłby mieć zastrzeżenia, ale to tylko szczęśliwy zbieg okoliczności. Kiedy na coś natrafiam, zanoszę to tego samego dnia do domu kultury, dokumentuję, sporządzam dla siebie fotokopię i zostawiam

oryginał w zamkniętej na klucz szufladzie szafki na akta. Nie mam pojęcia, do kogo faktycznie należą te dokumenty ani też jaki posiadają status prawny, a kiedy zastanawiam się nad tajnikami tej historii, którą nazywam prawdą o Tuomasie Envallu, i różnymi twierdzeniami, które jej dotyczą, spostrzegani, że są one istotnie złożone i sprzeczne - jednak mimo to nic mnie nie powstrzyma przed kontynuowaniem pracy. Pochylam się, by ominąć syna Christiny, i wkładam klucz do zamka.

- Co pani chce odkryć? - pyta, kiedy przeciskam się bokiem. - Muszę jej przecież coś przekazać.

Tak jak przypuszczałam, dalej tam jest, parę metrów od drzwi, kiedy znów wychodzę na zewnątrz z dwiema butelkami piwa w brązowym szkłe; podważa z łatwością kapsel, kiedy ja mocuję się z otwieraczem przyczepionym do kółka z kluczami. Jak mam jej wyjaśnić, za jego pośrednictwem, że już nie prześladowuję Tuomasa? Że nie chcę już jego zguby, ale pragnę, bardziej niż czegokolwiek innego na świecie, go zrozumieć...

- Proszę jej powiedzieć, żeby przyszła na mój wykład - mówię, zajmując tylny stopień schodów i podwijając rękawy (wieczory stały się już na tyle ciepłe, że można sobie na to pozwolić) - wygłoszę go w drugą sobotę czerwca. Proszę jej przekazać - dodaję - że znacznie bardziej polubiłam Tuomasa Envalla, niż się spodziewałam.

Pekka odkłada pustą butelkę na stopniu koło mnie, lekko skinąwszy głową na znak podziękowania. Chciałby, tak wyczuwam, nie musieć w ogóle porozumiewać się mową, lecz mimiką, gestami i raz na jakiś czas pomrukiem.

Czekam, aż sobie pójdzie, po czym dzwonię do domu Heikkiego Seppy.

- Myślę, że to nie było w porządku! - dzieli się ze mną.

- Chyba nie - potwierdzam.

- Ale co z kolei byłoby jak należy? - pyta.

- Chyba nie ma na to jednoznacznej odpowiedzi - przyznaję - może wypijemy razem drinka?

To, jak sędzę, randka. Jestem na randce.

Ostatnie promienie słońca ogrzewają nasze twarze, gdy siedzimy z Heikkim, pijąc piwo nad rzeką, która już taje; w oddali jęczy tartak, w tle zieleń, realna czy odbita w wodzie, jak tylko okiem sięgnąć. Jesteśmy w niedużym barze w maleńkiej miejscowości, w której stoją drewniane malowane pastelowymi farbami domki, w pół drogi między Elojoki a domem Heikkiego.

Ubrałam się na tę okazję w białą bluzkę i wełniane spodnie - niemal letnie rzeczy - Heikki za to ma na sobie spodnie od dresu i sweter w tradycyjne wzory, który wydaje się za gruby, jak na tę porę roku.

- Myślę, że Tuomas Envall był homoseksualistą - mówię mu.

Heikki zaczyna się śmiać.

- Nikt ci nie uwierzy - stwierdza.

Wzruszam ramionami: akurat tym się nie przejmę.

- Ale jeśli jednak uwierzą - dodaje, śmiejąc się głośniej - staniesz się jeszcze mniej popularna niż ja!

Tartak po drugiej stronie zatoczki milknie na chwilę. Na wodzie tańczy światło. Lada moment zapadnie noc.

- Nie potrafię cię rozgryźć - mówi Heikki.

„Potrafisz - myślę. - Chcę, żebyś to zrobił”.

- On naprawdę wierzył w to, co głosił - tłumaczę Heikkiemu - niemal do samego końca. I trzeba zauważyć, że bez wątpienia wielu ludzi coś z tego wyniosło, i to trwa nadal. W sumie unikanie wizerunków to praktyka, która jest od dawna obecna w tradycji judeochrześcijańskiej, a także w islamie, nie wspominając też o...

Nie przestaję mówić, pijana po półtora kufla piwa.

- Natalie, chciałabyś zobaczyć, gdzie mieszkam? - pyta on, kiedy już zabrakło mi słów.

Dawno już minęłam zabudowania gospodarstwa, kiedy dogonił mnie Mark.

- Wracaj - powiedział.

- Niby dlaczego? Nie chcę.

- Przecież to o ciebie chodzi, może nie? - dorzucił. - Nie bardzo się przejmujesz innymi.

Znowu udałam, że nie słyszę, skręciłam w lewo przy końcu alejki i szłam dalej wzdłuż wąskiej szosy, którą jechaliśmy samochodem dwa dni wcześniej, zjeżdżając uprzednio z głównej drogi. Czasem szedł obok, czasem za mną.

- Dokąd idziesz? - spytał. - Sama nie wiesz, prawda? - dodał.

Chwilę później doszliśmy do rozwidlenia, a ja stanęłam, żeby przeanalizować napisy na drogowskazie. Czekał parę kroków dalej. Było bardzo gorąco. Choć Barbara wysmarowała mi ramiona, zaróżowiły się już, a piegi na nich ciemniały i zlewały się ze sobą. Czułam, jak się pocę pod włosami, czułam też jego spojrzenie, takie jak zwykle.

Drogowskaz nic mi nie mówił. Ledwo zdołałam poskładać razem litery, nie wspominając już o zamianie ich na jakiegokolwiek dźwięki w moim umyśle.

- Chcę znaleźć morze - oświadczyłam.

- Jedziemy na plażę w stronę - powiedział - to kawał drogi.

- W którą stronę?

- Prosto - powiedział. Poznałam, że zgaduje tak samo jak ja, niemniej ruszyłam dalej. Po drugiej stronie skrzyżowania dróg zatrzymał się i obejrzał za siebie, że by w razie czego rozpoznać to miejsce. - Musimy mieć słońce po swej prawej stronie albo za nami - powiedział.

Szosa, jeszcze węższa niż poprzednia, wspinała się stromo w górę. Stał tam wielki kamienny dom, wyglądający na opustoszały, a potem nie było już niczego. Maszerowaliśmy niecały kilometr w milczeniu. Droga zaczęła się wiać w niewłaściwym kierunku.

- To tędy - powiedział, wskazując na lewo, gdzie dróżka zdawała się

przecinać zbocze, dochodząc wprost na szczyt wzgórza. - Ale to daleka droga.

Powietrze gęstniało od cykania świerszczy, krzątaniny pszczoł i much. Wzdłuż nas ciągnął się żywopłot, kalejdoskop drobnych cieni i szalonych kolorów. Szliśmy bez ustanku, nie zważając na odgałęzienia na lewo. Pamiętam, jak minął nas pojedynczy samochód z przytroczoną do dachu walizką; na półce z tyłu leżały wiadra i łopaty. Jakiś czas potem czekaliśmy w prześwicie wykopu kolejowego na zmianę świateł. Obserwowaliśmy przejeżdżający pociąg. Następnie przeszliśmy na drugą stronę i kontynuowaliśmy wędrówkę tą samą drogą.

Dotarliśmy do małej wioski, w której stały zarówno kamienne stare domki, jak i nowoczesne parterowe domy. Nad miejscowością unosiła się woń pieczonego mięsa.

Mark poczekał na zewnątrz, a ja weszłam do sklepiku, by kupić Tizera, gazowany napój, i zapytałam obsługującą mnie otyłą bladą kobietę, która godzina i jak dojść do morza.

- Jest druga. Mam też mięso w cieście - poinformowałam Marka, nie przyznając się, że nie zapłaciłam za nie. - Zjemy, jak trafimy na miejsce. Idziemy na lewo, na prawo, a potem będzie ścieżka aż do urwiska.

Na pastwisko porośnięte szorstką zdeptaną trawą wchodziło się po dwóch schodkach; pole wznosiło się łagodnie w stronę ogrodzenia z drewnianych kołków i drutu. Nie było wyraźnej ścieżki, ale gdy doszliśmy prawie do ogrodzenia, nagle rozpostarł się przed nami widok morza, odcinającego się od wyblakłego, gładkiego błękitu nieba na widnokręgu. Rozległe i migoczące, bez przerwy poruszało się w niemal niedostrzegalny sposób, zdając się jednocześnie nieruchome; wydawało się, że jest skórą jakiejś monstrualnej, uspionej bestii.

Pchnęliśmy druty, przytrzymując je sobie nawzajem, by nas nie uderzyły, i zaczęliśmy się gramolić. Ciągący się przed nami cienki pas ziemi był upstrzony drobnymi krzaczkami. Kiedy przechodziliśmy, pomarańczowo-brązowe motyle wzbijały się w powietrze, po czym znowu gdzieś przysiadły,

kiedy już je minęliśmy. „Nie podchodzić za blisko do krawędzi urwiska i umocnień”, ostrzegała pomalowana łuszczącą się białą farbą tablica przybita do pala. My jednak szliśmy dalej, aż mogliśmy podziwiać widok tuż przy krawędzi. Nie można było mówić o jakichś falach, morze bowiem rozlewało się rytmicznie i delikatnie szumiało. Urwisko rozpościerało się w obie strony. Na prawo wyłoniło się parę byle jak skleconych domków letniskowych o dachach pokrytych papą asfaltową, które przycupnęły we wnękach klifu; ich elewacje były obłożone deszczułkami lub kamykami, a okna wy malowane jaskrawymi farbami. W oddali ujrzeliśmy białe dachy czegoś, co przypominało kilkaset przyczep kempingowych, ustawionych w schludnych rzędach, niczym Przy ulicach, na polu znacznie większym niż nasze. Na lewo widać było pastelowe kolory zabudowań na plaży, ciemniejsze budynki na wzgórzach. Aż do krawędzi urwiska rosła trawa. Same klify mierzyły jakieś sześć metrów wysokości w miejscu, w którym staliśmy, a jeszcze w innych więcej i składały się z miękkiej na oko skały, podobnej do brunatnopomarańczowej gleby z nieco bledszą warstwą na szczycie. Nie tyle stały, co osuwały się, plaża w dole była więc usiana wielkimi bryłami, które musiały spaść z góry, masą drobniejszych kamyków i rozrzuconymi gdzieś tam wielkimi okrągłymi głazami. Brązowawy piasek był gładki i wilgotny. - Jest przyływ - powiedział Mark. Znowu oczy wiście zgadywał. Nie mieliśmy zegarka. Nie dało się określić, jak długo jesteśmy w drodze i ile czasu zabierze nam wędrówka z powrotem. Bolały nas nogi.

- Lepiej zatrzymajmy się tu - powiedział - nie możemy zostać zbyt długo. Usiadłam na trawie, wyjęłam z kieszeni owiniętą w celofan małą porcję wieprzowiny w cieście i położyłam ją między nami. Zżułam japonki i obejrzałam stopy. Były obrzydliwie brudne, brązowe od kurzu na szosie i polach, otarte do krwi między dużym palcem a następnym. Odchyliłam paluch i podmuchałam w to bolące miejsce. Potem ostrożnie zaczęłam odkręcać butelkę Tizera, tak żeby nie wyleciały bąbelki i by się nie zmarnowała część płynu.

- To mój ulubiony napój - oświadczyłam i piłam miarowymi łykami, przymykając oczy. Znów mnie obserwował - łowił wzrokiem jasność mojej karnacji, prześwitującą między brzegami ubrania. Butelka mlasnęła, kiedy oderwałam ją od ust i przemknęła przez nią lawica nowych bąbelków. - Czy oni mają zamiar mnie wyrzucić? - zapytałam, wręczając mu napój. Próbowałam to powiedzieć jakby od niechcienia, ale zdradził mnie głos i sposób, w jaki na niego patrzyłam, szukając jakichś wskazówek.

- Nie wiem - odparł Mark, popijając słodką i ciepłą ciecz. Z pewnością zaczynał się czuć panem sytuacji. Niewątpliwie pomogło mu to gapić się tak na mnie, taksować spojrzeniami, nieco marszcząc brwi, jakby usiłował nadać mi jakąś odpowiednią nazwę: stworzeniu, które nie istniało wcześniej, terminowi z encyklopedii, który znieacka przyoblekł się w ciało.

Jedno oko miałam nieco większe od drugiego. Pod nimi rysowały się lekko fioletowe cienie. Białych powiek nie pokrywały żadne piegi. Miałam spękane wargi, suche pod chwilową warstewką napoju, który zabarwił ich obrysy na pomarańczowo. W kącikach ust zastygł brud. Jeśli wpatrywanie się we mnie kiedyś przerażało Marka, teraz działało na niego wręcz przeciwnie. Im więcej we mnie wlepił wzrok, tym bardziej czuł się kimś na równi ze mną, nawet kimś wyżej. Zgadywał, co mogę teraz powiedzieć albo zrobić i wychodziło mu to. Nic, co mówiłam, już go nie zaskakiwało.

- Twoja mama chce, żebym została - odezwałam się - twój ojciec też. Ma mi pokazać książki. Ale wtedy nie poszła ze mną. A ty nie głosowałaś...

Mark wzruszył ramionami. Odłożył butelkę.

- I co? - zapytał. Na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech.

- Dalej mnie nie cierpisz? - spytałam i natychmiast tego pożałowałam. Wiedziałam, że uważa, że ja cały czas czegoś od niego chcę, a teraz chcę jeszcze więcej. A skoro już zdarzyło się najgorsze (albo tak sądził), to sam fakt, że czegoś chcę, dawał mu władzę, proporcjonalną do natężenia moich pragnień. Czuł, jak jakiś nowy, ożywczy płyn krąży w jego żyłach. Nie miał pojęcia, jak

go użyć; to coś płynęło przez niego rwącym potokiem i zalewało wszystkie zakątki.

Uśmiech na jego twarzy stał się jeszcze szerszy. Nie powiedział ani słowa otuchy.

- Czy ty kiedykolwiek przestaniesz? - spytałam podniesionym tonem. A kiedy dalej się we mnie wpatrywał, zerwałam się na równe nogi. Miałam ochotę go uderzyć.

- Powinieneś kochać nieprzyjaciół! - zawołałam. - Jesteś obłudnikiem. To grzech, jeśli ich nie kochasz!

Zaczął się śmiać. Wkrótce cały się trząsł, nie potrafiąc opanować śmiechu.

- Powinieneś im wybaczać! - Jego śmiech, czego chyba nie był świadom, stał się donośniejszy, ale teraz i tak nie mógłby już nic powiedzieć, nawet gdyby chciał.

Obróciłam się do niego tyłem, przeszłam parę kroków w stronę poszarpanej krawędzi urwiska; usiadłam na niej, a nogi dyndały mi swobodnie ponad pustką. Poczułam się tak odprężona, jakbym odpoczywała na krześle. Nagły podmuch wiatru porwał moje włosy do przodu, ciągnąc za resztki warkoczy. Popatrzyłam w dół na spadek terenu, czy raczej bardzo strome zbocze; poniżej rozpościerała się plaża. A wtedy, bez uprzedzenia, odbiłam się dłońmi, zawisłam luźno nad krawędzią i znikłam.

23

Podążam za Heikkim już prawie czterdzieści kilometrów, mnie, więcej na południe, i ląduje na par]d śród otoczonych drzewami bloków mieszkalnych. Heikki pokazuje mi matą łódkę, którą przechowuje przez zimę pod brezentem na parkingu. Potem idziemy schodami na czwarte piętro. Mieszkanie, mówi Heikki, nie jest jego naturalnym środowiskiem: drewniany dom w tradycyjnym stylu, który niegdyś dzielił ze swą kapryśną żoną Marią po rozwodzie przypadł

jej; w dni powszednie mieszka w mm tez Kirsi.

Mimo to mieszkanie wydaje mi się dość przytulne: duży przedpokój z wieszakiem na płaszcze i głębokimi szafami pokój gościnny, w którym całą ścianę zajmują książki. Heikki otwiera drzwi do czyściutkiej kuchni miniaturowego pomieszczenia na prysznic i dwóch sypialń też niewielkich, ale świetnie urządzonych. „To mieszkanie jest jak łódź - myślę - pełna niezbędnych i niespodziewanych przedmiotów, z których każdy ma swoje starannie obmyślane miejsce”. Przypominam sobie wtedy, jak oprowadzał mnie po domu Tuomasa - jak zaglądał do wszystkich sprzętów i pokoi - i biorę go za rękę nim on weźmie mnie.

Jak stracił palec, pytam.

Kiedy miał czternaście lat. Trochę pijany, oprawiał szczupaka. Niecierpliwy...

„Ale teraz - rozmyślam - w połowie życia nie spieszysz się; wydajesz się kimś, kto potrafi czekać. Mężczy zna, który porządkuje ubrania, odkłada narzędzia po użyciu na miejsce, wie, jak złożyć ponownie mapę, ma dość cierpliwości, by naprawiać rzeczy”.

Odczekuje chwilę. Teraz przyciąga mnie do siebie, tuli mocno.

- Ale tylko po ciemku - oświadczam i sięgam do wyłącznika - po ciemku jest lepiej.

Oczywiście muszę się ukrywać. Być, ale nie być widzianą. Dochodzę jednak również do tego, że dzięki ciemności skóra staje się jedynym zmysłem, i niewidoczna, przeżywam swą nagość od środka.

24

Ściągnęłam dzinsy i stanęłam wśród utworzonych przez wodę koronek, tuż przy brzegu morza, szturchając patykiem kawałek wodorostu. Obserwowałam, jak około stu metrów na prawo ode mnie Mark ześlizguje się po urwisku. Kiedy był dostatecznie blisko, żebym mogła usłyszeć, zatrzymał się

i zawołał:

- To była czysta głupota! Co ty sobie wyobrażasz, że niby co robisz?

Teraz wracamy do domu.

- Nie. Nie ruszę się, dopóki mnie nie polubisz - oświadczyłam. - Ja nawet nie mam nic przeciwko wierze w to wszystko - dodałam chwilę później - jeśli ktoś by mi odpowiednio wytłumaczył, o co w niej chodzi.

Rozmawialiśmy tak, jakbym nigdy się nie zesunęła po urwisku i nie zmusiła go, by poszedł w moje ślady, i jakbyśmy kontynuowali wcześniejszą pogawędkę. Wiatr i miękki plusk fal tłumiły końcówki naszych słów. Cienki pas piachu, na którym stałam, ciągnął się całymi kilometrami w obie strony; w miejscach, gdzie się tworzyły głębsze zatoczki, zbierały się stadka opalających się wczasowiczów i pływaków. Podeszedł parę kroków bliżej.

- Nie możesz tego powiedzieć tak po prostu. To musi szczerze płynąć z serca. Przychodzi do ciebie Bóg. Uczestniczysz w nabożeństwie. Czytasz pisma. Praktykujesz. Doświadczasz nawrócenia. W końcu czynisz wyznanie wiary, a wtedy musisz wspólnie z nami przyjąć komunię, chleb i wino, które dosłownie są ciałem i krwią Chrystusa. I naprawdę musisz w to wierzyć, inaczej popełniasz grzech, biorąc w tym udział. A następnie musisz się zmienić, naprawdę zmienić. Ale ty - obliział wargi, a ja zrobiłam to samo, smakując sól - nie wierzę, że mogłabyś się zmienić - powiedział - nie jestem pewien - dodał, a w jego głosie dało się wyczuć nagłą ulgę - że mógłbym cię kiedykolwiek naprawdę polubić, bez względu na to, co byś zrobiła.

Tak czy owak, musiał chyba wyraźnie uświadomić sobie, podobnie jak ja, że nie czuł się dokładnie tak jak przedtem. Przez jego stopy przemknęła fala, a on nawet tego nie spostrzegł.

- Masz mokre buty - zauważyłam, dorzucając: - I jest jeszcze coś.

- Co takiego?

- Nie mogę krzyknąć - wyjaśniłam. Podeszłam do niego. „Ostatecznie - mówił zapewne sam do siebie - ona teraz zmierza we właściwym kierunku -

jeśli uda mi się ją wyprowadzić z plaży na szosę, może złapiemy autobus do domu albo zatrzymamy jakiś samochód, który nas podwiezie”. - Ale zanim opuścimy to miejsce, musi się stać coś jeszcze, tu na plaży, gdzie wiatr mamił nas delikatnie, owiewając nam uszy. Ja to wiedziałam i on to wiedział, lecz nie wiedział co. Czy miałam zamiar go dotknąć? Czy on tego w ogóle chciał?

Przykucnęłam obok niego, plecami do morza, i pokazałam, żeby zrobił to samo. Wokół nas rozpościerał się wilgotny piasek, na którego powierzchni widniały gdzieniegdzie zagłębienia utworzone przez muszelki i kamyki.

- Mark, popatrz - rzekłam i przycisnęłam palec do piasku przy stopach.

Powoli ciągnęłam palcem, który zostawiał bruzdę naruszonego piasku. Od spodu nasiąkała morską wodą-Czy wiedział, co to jest? - spytałam, a on odparł, że nie, ale kłamał, i nawet już zanim linia nieco podskoczyła, poczym zakrzywiła się, wracając do pozycji wyjściowej, i zanim można ją było nazwać, puszczając doprawdy wodze wyobraźni (on by nie musiał fantazjować), wizerunkiem, ta sama rzecz zaczęła się dziać w jego własnym ciele, sprawiając, że tkwił tam, patrząc z przerażeniem, zahipnotyzowany, jak wcisnęłam palec, żeby zrobić otworek u góry:

- To męski kutas - rzekłam - jak sterczy.

- Tego już za wiele!

Zanim zdążyłam dorysować organa kobiece, chwycił mnie za ramię i pociągnął nas oboje tak, że zerwaliśmy się; powiedział, że musimy iść prosto do domu. Ale wtedy już, oczywiście, dotykaliśmy się, a on ciągnął mnie za sobą, niemal biegnąc, i rozglądał się jednocześnie za miejscem, w którym nikt by nas nie zobaczył.

Wkrótce leżeliśmy już obok siebie we wklęsłości terenu porośniętego trawą i krzakami, gdzie dawno temu runęło urwisko. Mark wpatrywał się uporczywie w moją twarz, jakby nie wolno mu było spoglądać w dół na własne krocze, bo tam przez bawełniany, prążkowany ukośnie materiał pchał się jego męski kutas, pragnąc Natalie Baron, dziewczyny, która go narysowała. Musi

patrzeć tylko na moją twarz, na jej pejzaż, filar subtelnych złocistorudych włosów, przemieszczających się w wydłużonym trójkącie od brwi w górę, pośrodku czoła aż do linii zarostu, i zbierających się również nad górną wargą. Są też jeszcze nawet drobniejsze włoski na policzkach, prawie białe; wszystko to sprawiało wrażenie delikatniejszej wersji podłoża, na którym leżeliśmy, z wyjątkiem tego, że gdy doszedł do oczu, napotkał wzajemne, czujne i zaciekawione spojrzenie - a w ich czarnym centrum znajdował się maleńki obraz jego samego.

Złapał mnie za ramiona: żeby powstrzymać przed zrobieniem czegokolwiek, przypuszczam, że tak by to określił. Lecz trzymając mnie w ten sposób, unieruchomił też siebie, zwłaszcza nogi. Wiedział, że nie powinien podnosić lewej i pchać prawej, zanim nie położy się na mnie, a tego cały czas uparcie pragnął. Zamiast tego wpił palce w moje ramię i nie puszczał, co również tak skrepowało mu ruchy, że nie mógł się wyrwać.

- Puść mnie - powiedziałam; moje podniecenie wynikało z czegoś zupełnie innego. - Nie robiłam tego wcześniej, ale wiem, jak trzeba postępować - poinformowałam go.

- Ja też! - odparł. - Ale to grzech. Przestań. Przestań.

- Puszczaj - powtórzyłam - rób, co ci każe.

I najwyraźniej jego mózg, stając chwilowo po stronie tej siły, która go niemal obezwładniała, powiedział mu, że nie możemy tak utknąć na wieki. Rozluźnił więc uściśł rąk, które wnikliwie obserwował kilka godzin temu polu służącym do zebrań i którymi wcześniej ustawiał krzesła. Nie miało sensu udawać lub próbować wracać do tego, co się zdarzyło wcześniej. Niezgrabnie wykonywał moje polecenia:

- Ściągnij spodenki. A teraz majtki. I buty!

Sznurówki stawiały opór palcom, co doprowadziło go do czegoś pomiędzy śmiechem a łzami, cały czas zaś było to coś, nowy piąty członek jego ciała, dostrzegalny i przez niego, i przeze mnie; zmusił go do poruszania się w

odmienny sposób, całkiem, jakby jego ciało istniało po to, by to coś nosić.

Leżałam bez ruchu, wydając mu rozkazy; miałam obrzydliwie brudne kolana i czyste od morskiej wody stopy. Podparłam się na łokciach i obserwowałam go. Jego ciało było muskularne i blade. Zauważyłam z ciekawością i ulgą, że wokół kutasa porastały mu włosy, nie miał jednak żadnych na klatce piersiowej i innych częściach ciała, nawet na nogach. Nie był jeszcze w pełni mężczyzną, pomyślałam. Pewnie nie mógłby mi zrobić dziecka.

Miałam pulchne, białe uda, nosiłam białe bawełniane figi w różowe kropki; między brzeżkiem bluzki a bielizną wystawał blady pas ciała.

- Kobiecie musi być przy tym dobrze - poinformowałam go, kiedy zdjął już w końcu buty i skarpety - albo nic z tego nie wyjdzie. Masz mnie wszędzie głaskać.

- No to zdejmij ubranie, inaczej nie mogę.

Przez chwilę ogarnął nas oboje podobny strach. Teraz przyszła jego kolej, by patrzeć, jak moje palce zmagają się z perłowymi guziczkami i maleńką mosiężną agrafką, którą wpięła mi Barbara, kiedy odpadł jeden z nich. Oczywiście wtedy moja skóra była bez skazy. Pod rozchyloną bluzką po całym ciele, począwszy od dekoltu, rozpierzchły się piegi, a ich płonąca gładkość przerywały dwa sutki, blad różowe niczym lody truskawkowe, i pejzaż rozpościerającego się poniżej ciała, misterny, miękki, zupełnie odmienny od Marka.

- To zaczynaj - powiedziałam - pieść mnie - a wtedy, ku mojemu zaskoczeniu, wszystko stało się skórą.

Pamiętam, że przez cały czas mówiłam, tłumacząc mu „właśnie tak” albo „nie, nie tak” i co może się zdarzyć dalej, i jak wyglądała jego twarz, a czasem się śmiałam. „No, dalej, już, teraz, dalej!”, kazałam i wówczas przez kilka chwil znalazłam się w jakimś rozkosznym miejscu, zawieszona między pożądaniem a obietnicą spełnienia. Wtedy wszystko we mnie zebrało się w całość i pognało naprzód, zacierając całą resztę. I było po wszystkim dla nas obojga.

- Kocham cię - powiedział Mark w trakcie tych ostatnich niezmiernych chwil. Miał czternaście lat. Zamknął oczy i napiął mięśnie twarzy. Wsunął się cały we mnie. Z pewnością mówił to w jakimś stopniu na serio, ale już parę chwil później wrócił z rozkoszą do bycia sobą, do słonego powietrza i nieba nad nami, tak nowych i zastanawiających, do złotej substancji, która kielkowała z mojej głowy i wiała mu w twarz i do cętkowanej skóry, która wcześniej go tak przerażała.

- Widzisz? - rzekłam; nigdy nie wspomniała o miłości. - Moje buty i spodnie leżą tam na plaży i dodałam, że jestem głodna. Poszedł znaleźć ubrania. Nie miał racji z przyływem, bo następował teraz odpływ i zniemacka zjawilo się więcej ludzi, nadciągających w naszym kierunku z zebranych w zatoczkach grup; szli z obu stron.

Z początku nie widział spodni i butów. Potem, kiedy już je znalazł, zaczął przeszukiwać piasek, by znaleźć wizerunek, który nakreśliłam palcem, lecz ten już znikł. Nad rozbryzgiem fal górował pisk dzieci, a on biegł z powrotem do urwiska, systematycznie torując sobie drogę. Siedziałam na trawie, ubrana w bluzkę, i czekałam.

- Możemy tamtędy dostać się na szczyt urwiska - powiedziałam - musimy się pospieszyć. Twoja mama się zabije.

Jego twarz zwiotczała. Po raz pierwszy, odkąd zostawiliśmy pole kempingowe, musiał sobie przypomnieć, kim jest i do jakiego świata należy. Następstwa, konsekwencje tego, co uczynił, spiętrzyłyby się przed nim jak niezdobyte góry jakiejś nieznannej krainy, o wiele za rozległe, by je ogarnąć wzrokiem, nie mówiąc już o tym, by się do nich zbliżyć. Mimo to jedno było jasne:

- Ona nie może się dowiedzieć. Nikt nie może wiedzieć - oświadczył, kiedy ruszyliśmy, drapiąc się po urwisku wzdłuż wyrwy w czerwonej ziemi umocnień, półbiegnąc, trzymając się za ręce, a potem mknąc wśród zarośli na górze w stronę pola, a następnie szosy.

Zanim dotarliśmy do wsi, już kulałam. Ściągnęłaś buty, ale stopa dalej bolała.

- Co, do licha, zrobimy? - spytał. Nie miałam pojęcia.

Mark załomotał do drzwi sklepu i wyjaśnił łysiejącemu mężczyźnie, przebudzonemu z popołudniowej drzemki, że poszliśmy za daleko i do tej pory pewnie wszyscy na nas czekają. Czy sprzedaje plastry? Musielibyśmy wrócić i zapłacić za nie jutro.

- To twoja siostra? - spytał mężczyzna.

- Tak - odparł. Mężczyzna zawołał żonę, tę, u której kupowałam butelkę Tizera.

- Są z obozowiska Harrisa - powiedziała - to ci religijni, jak im tam - spojrzała na Marka - jak się nazywacie?

- Enwalliści.

Przyniosła plaster, z własnej apteczki, powiedziała, dodając, że Mark niezbyt się spisał w opiece nad siostrą. Wsunęłam z powrotem japonki i wstałam. Nie czułam żadnej różnicy i nigdy w życiu nie byłam tak zmęczona.

Czy ktoś ze wsi, spytałam, nie jedzie przypadkiem w kierunku gospodarstwa Harrisa?

Niby dlaczego ktoś by miał jechać?, stwierdziła kobieta. Ona na pewno nie wyprowadzi swej furgonetki. Wcześniej dziś zamykają. Pracuje wraz z mężem przez cały tydzień, a teraz muszą jeszcze wstawać po niedzielną prasę. Nie można jej jednak było nazwać nieużyta; w szopie leżała para starych tenisówek, za dużych, ale lepszych niż nic. Możemy je zabrać, a jeśli trzeba, to parę skarpetek też, w ten sposób na własnej skórze nauczymy się lepiej przygotować na następny raz - a o czym myślała nasza matka, wypuszczając nas bez jedzenia i w takim obuwiu? Czy nasz Bóg nie ma nic do powiedzenia w takiej sprawie?

Wyruszyliśmy ponownie. Mark stwierdził, że przez pewien odcinek drogi może mnie ponieść na barana. Spostrzegłam, że gdy usłyszał, co mówi,

wstrząsnęło nim to tak mocno, jak kiedy przyznał wcześniej, że jestem jego siostrą. Ale ostatecznie widzieliśmy się nawzajem bez ubrań, zrobiliśmy to, na co nie znaliśmy właściwego określenia, staliśmy się więc złączeni wspólną tajemnicą i pragnieniem, by szybko wrócić. Do tego wszystkiego dochodziła uciążliwość drogi i w sumie było to tak okropne, że aż śmieszne.

- Naprawdę szkoda - powiedział zupełnie od rzeczy, sięgając po moją dłoń - że nie pojechałaś do Enojki. Tam jest o wiele lepiej!

25

Był środek popołudnia. Żadnego cienia. Zgromadzeni wierni wiercili się na krzesłach, wachlowali strzępami papieru, książek, kapeluszy; polewali wodą chusteczki i wycierali twarze i karki.

- Anthony Thwaite, chcesz nas przerobić, żebyśmy pasowali do twoich własnych celów. Przygotowałeś się na to, że powiedzisz wszystkich ścieżką własnych pokus. - Przemawiając, Anderton chwycił za stojące przed nim krzesło i oparł się o nie. Od pach rozlewały się coraz szerzej plamy potu, docierając aż do przodu koszu li, niemal stykając się w środku. Jego czerwona jak mięso twarz ociekała potem. Otarł ją chusteczką żony, oddał żonie, podniósł wzrok i się rozejrzał:

- A ty - jego głos, w którym brzmiała nuta szorstkości, wyczerpany własną pasją, oskarżał Jean McAllister o przestrzeganie Bożych przykazań aż do teraz tylko dlatego, że nie było to dla niej dotąd „niedogodne”. Wypychał z siebie słowa jak coś, co mu się cofnęło w ustach, boleśnie lub w wyniku jakiejś konieczności, powodując, że paliło go w gardle, gdy tylko napływały.

- A teraz - odezwał się - stwierdzasz, że to może pociągać za sobą pewne wyrzeczenia, więc chcesz, że by to ponownie rozpatrzono... - Upał zdawał się powlekać Jean bielą, barwa stawała się intensywniejsza.

- Nie - rzekła - chcę, żeby to ponownie rozpatrzono, ponieważ kocham mego syna - tu zaś dołączyła się Josie, matka Christiny: wychowała sześcioro,

więc jeśli ktoś wie, co to znaczy kochać dziecko, to ona...

- Ale nie to - odparła Jean, a wtedy Elsbeth Anderton przypomniała wszystkim, że to Boża miłość się liczy.

Jean wyciągnęła groźnie palec w stronę Andertonów.

- Powiedzmy, że idę do miasta zrobić sobie zdjęcie, bo tego wymaga prawo, a potem...

- Patrzysz na tę fotografię! - przerwał Anderton. Tak, zgodziła się. Nie dało się tego uniknąć, musiałyby widzieć, ale to nie znaczy, że...

W tym momencie Barbara nachyliła się bliżej Johna. Dalej trzymała swą dłoń w dłoni męża, wilgotną, prawie zdrętwiałą; drugą dłoń położyła na wierzchu i szeptała mu do ucha, dotykając go niemal wargami:

- Rozumiem, o co chodzi Jean. A ty, kochanie?

Zalóżmy, ożywiała w sobie resztki nadziei, wbrew faktom, że on zmieni zdanie? A wówczas...

- Nie widzieć, lecz patrzeć - Anderton poprawił Jean - wrzucić do szuflady, w której znowu można na nią patrzeć. I myśleć, że jest nieszkodliwa; wtedy zaczyna się pragnąć zobaczyć także inne takie rzeczy: Obraz jest oknem, przez które może wślizgnąć się diabeł! Ile mamy mu podarować? - Niektórzy słuchacze w tym miejscu okazali radość.

- A co to ma za znaczenie dla samego lana? - spytała matka Christiny, gdy ucichła wrzawa. - Czy na pewno będzie kochany i ceniony przez społeczność wiernych, bez względu na to, czy pojedzie na studia do Helsinek, czy też nie?

Jean krzyknęła:

- Zapytajcie go! No proszę! - i wskazała na pole, gdzie leżał na plecach Ian, mniej więcej w połowie drogi między miejscem służącym do zebrań a namiotem do przygotowania posiłków, i kopał rytmicznie jedną nogą w powietrze. Wtedy usiadła, położyła głowę na oparciu pustego krzesła, a jej mąż rozcierał jej plecy wnętrzem dłoni, tuż przy nadgarstku, w górę i w dół.

Barbara obróciła się tyłem do tego widoku, zwracając się do Johna, który

siedział ze schyloną głową i zamkniętymi oczyma, w pozycji dumania: uwolniła swą dłoń, musząc się powstrzymać od potrząśnięcia nim i krzyku: „Jak możesz nie rozumieć?” I znowu zaczęła ta Elsbeth, prawiąc o różnicach między miłością ludzką i boską, i jak czasem należy odłożyć na bok ziemską miłość, na przykład...

- Wszyscy tu zgromadzeni - oznajmiła, a jej wilgotne policzki lekko się zaróżowiły - wszyscy wiedzą, jak musieliśmy utracić naszą córkę...

Po latach powściągliwości i prób, żeby wzbudzać w sobie jak najlepsze myśli, Barbara nie mogła już tego dłużej znieść; zanim się zorientowała, stała już wyprostowana, krzycząc:

- Nie musieliście jej stracić! Po pierwsze, nie zasłużyliście, żeby w ogóle ją mieć! I dlaczego musieliście odprawić Natalie? Dlaczego?

Było oczywiste, że Elsbeth lada chwila wybuchnie płaczem, ale zanim to się stało, gdy zapadła kompletna cisza, wszyscy zorientowali się, mniej więcej w tym samym czasie, że przyjechał Paul Leverson. A oto i on, siedział na bramie prowadzącej na pole, obserwował ich i słuchał. Od jak dawna tam był? Kiedy zsunął się z bramy i podchodził do zebranych, w jego jasnych włosach, krótkich po bokach, a dłuższych i kręconych na czubku głowy, przebłyskiwały refleksy słońca. Miał rozpiętą pod szyją luźną białą koszulę i beżowe spodnie, ściągnięte wąskim paskiem i odprasowane na kant.

- Leverson! - objął go Anthony Thwaite, a w jego ślady poszedł John i pozostali. Wkrótce zginął w tłumie. Przyniesiono mu z tyłu wolne krzesło i postawiono je, bez żadnych dyskusji, przy Thwaicie. Julia Jowett przyszła z dzbanem chłodnego napoju pomarańczowego i nałala mu szklanekę.

Leverson nie siadał, lecz ustawił sok na siedzeniu krzesła i stał z jedną ręką założoną z tyłu.

- A więc kim jest ta Natalie? - spytał.

- To dziecko - odezwała się Jean.

- Niewierzące - dodała Elsbeth - sprowadziła ją tu Barbara Hern.

- Ale przecież przeprosiła - podkreśliła Barbara, rzucając słowa w przestrzeń i usiadła.

- Co ważniejsze, jest to kwestia - usiłował tłumaczyć Anthony Thwaite - litery i ducha...

Leverson uniósł dłoń, by ich uciszyć.

- Bracia i siostry - rzekł, gdy wszyscy już zamilkli - to istna wieża Babel. Musimy zapomnieć o wrogu z zewnątrz i zbadać swe wnętrze, każdy z osobna, albo wiem to, co w środku nas samych...

Wydawało się, że ktoś lub coś przyniosło go do nich (nikt nie usłyszał samochodu), nietkniętego podróżą, z jakiegoś innego chłodniejszego kraju. Wyznawcy ponownie usadowili się na swych miejscach. Choć ich skóra już się prawie rozpuszczała, mózgi wręcz zagotowały, od razu poczuli się ochłodzeni i czekali spokojniejsi, natchnieni nadzieją, a Leverson zbierał myśli.

- Któż jest bez grzechu? - zaczął. - Grzech wyznany jest wybaczony i pokonany, nie wyśpiewany zaś zagnieżdża się w naszym wnętrzu. Nie wyznane grzechy to kamienie - grzesznik dźwiga je samotnie aż do chwili spowiedzi... Kamienie noszone w naszych ciałach lub do nich przytroczone, noc i dzień. Zginają nas w pół, wykręcają we wszystkie strony, sprawiają ból, zmuszają nas, byśmy wypaczali własne ja po to, aby miały w nas siedzibę i oparcie. Pochylają nam głowy, rozpychają się w organach i tkankach; z upływem czasu dźwiganie ich wymaga coraz więcej uwagi. A im dłużej grzech pozostaje w naszym wnętrzu, tym więcej kosztuje nas wysiłku, by znieść to nałożone przez nas samych brzemie i utrzymywać je w tajemnicy. I nawet jeśli postępujemy właściwie w innych sferach życia, to dzień po dniu dalej nie zdołamy w naszym sercu odnaleźć Boga i wiedzieć, czego od nas wymaga - przebywamy już, można rzec, w piekle... Ale jeśli tylko przypomnimy sobie lub ktoś nam przypomni, że należy jedynie zrzucić swój ciężar, przyznać się do niego, to od tego momentu można znowu się wyprostować, widzieć świat jasno i przestać się czuć samotnym. Bracia i siostry, zaiste takich ludzi nam teraz

potrzeba w naszym zgromadzeniu, bardziej niż kiedykolwiek.

W tym miejscu Paul Levenson zawiesił głos, a jego oczy - słynne dzięki swej zdolności do migotania i płonienia, roztapiania serc, kojenia, rzucania wyzwania - przesuwały się z wolna po wszystkich.

- Każdy z was wie - powiedział najłagodniejszym, pełnym współczucia tonem - co w sobie nosi. Każdy z was przypuszczalnie właśnie teraz o tym rozmyśla... Mówcie.

W piersi Barbary waliło miarowo serce. Kiedy zmuszała się, by spotkać jego wzrok, czuła, jak piecze i kłuje ją skóra. Jakaś część jej samej gnała naprzód, niczym napływająca do policzków krew, zdecydowana w akcie desperacji, by uczynić to, o co prosił. Odkryła jednak, że potrafi się temu oprzeć, tak więc kiedy Leverton podpowiedział jej „Siostrze?”, nie nadała swej twarzy żadnego wyrazu i odwzajemniła jego spojrzenie. „Bracie?”, usłyszała, jak pyta kogoś innego. Wtedy, mrugając zażawionymi oczyma, ujęła dłoń Johna i delikatnie pogładziła kciukiem jej kościsty grzbiet.

26

Z okna sypialni Harrisa i Belindy dobrze widać obydwa pola. To najlepsze pomieszczenie w całym domu. Belinda usunęła dywan i wylakierowała klepki parkietu, po czym kupiła kobierce i zawiesiła na ścianach.

- Są tam cały dzień. Czy to na stole, to ziemia? Ale życie! Myślisz, że się dużo pieprzą? - pyta ona.

Harrisa zawsze to kręci, kiedy słyszy, jak Belinda używa sprośnych słów, wymawiając je swym nienagannym południowym akcentem - żeńska szkoła z internatem, połowa studiów na socjologii, potem, korzystając z resztek dobrej woli rodziców, uczelnia artystyczna The Slade - wszystko rzuciła, dla niego. Ryzyko po obu stronach, oczywiście, ale od samego początku wiedział, jak ich związek może funkcjonować. Ma maszynę drukarską w starej zmywalni naczyń, gdzie suszy prace na tackach z siatki drucianej; on daje odbitki do oprawy i

wysłała do Londynu. Z powrotem przychodzą pieniądze.

Lekko przesuwa dłońmi w górę i w dół boków Belindy, przyciąga do siebie. Na polu zaczynają znów śpiewać.

- Dzieci to im tam nie brakuje - pokazuje Harris - ale ta dziewczynka, którą im zawiozłem, nie jest od nich. A chłopak jest w złym stanie, nie rozmawia.

- Wariaci - znowu odzywa się Belinda, robiąc krok do tyłu tak, że staje na jego stopach, trzymając pośladki na jego pachwinie - jak ich widzę, ciarki mnie przechodzą.

- Ja ich lubię - odpowiada Harris.

- I ty sądzisz, że ci się uda ich zmusić, żeby nam zapłacili - mówi Belinda, kiedy Harris przesuwa dłoń mi, by dotrzeć do przodu jej ciała; jedna ześlizguje się do jej dzinsów, druga sunie w górę jej koszulki: nie ma biustonosza. - Już ja cię znam.

27

Jest prawie szóstka, kiedy wracamy na pole kempingowe, słońce, choć nadal przygrzewa, zmieniło odcień z rozpalonego do białości na złotawy. Pole służące do zebrań nadal zapełniają do połowy wierni, ale co mniej odporni dorośli i prawie wszystkie nastolatki, i dzieci z matkami, głodne i zgrzane, poszli już stamtąd i siedzą teraz lub bawią się w kwadratach cienia przy swych przyczepach. Idziemy prosto do przyczepy Hernów, niewiele zauważając po drodze, z wyjątkiem samochodu Leversona. Mark pokazuje gestem: ciemnoniebieski humber, zaledwie kilkuletni, lśniący czystością, zaparkowany niedaleko bramy.

Zrobiliśmy sobie kanapki z serem i pomidorem, które okraszamy majonezem z poprzedniego dnia; kroimy prawie cały bochenek. Jemy prędko. Kręci mi się w głowie; wydaje mi się, że się pochoruję. Mark pomaga mi wejść na łóżko. Przykrywam się, mimo upału, szydełkowanymi kocami i puchową

kołdrą, naciągając końce, by się szczelnie opatulić, po czym zasypiam, jakby ktoś przekręcił wyłącznik.

„Co się stało? - zastanawia się Mark. - Czy z mamą wszystko w porządku? Powinienem jej dać znać, że już wróciliśmy...” Ogarnia go jednak nieprzemierzona senność. Zamiast wyjść na pole, siada na moment na schodkach przyczepy na miejscu ojca, słuchając tępo stukania gałązek głogu o dach. Znowu wchodzi do środka, zaciąga zasłonki, wdrapuje się na swoje łóżko i leży w przyćmionym, zielonkawym świetle.

Po pewnym czasie uświadamia sobie, jakby z dna jakiejś nieskończonej głębokiej studni, że wrócili rodzice; dobiega go cichy śmiech matki i sykanie, którym ucisza ojca. Kiedy się budzi, na stole stoi lampka, a pod nią karteczka z informacją, że wszyscy zbierają się nad rzeką, i „oni oboje” są zaproszeni; słowo „oboję” zostało podkreślone. Znajduje latarkę i idzie najpierw do kranu, myje się wodą prosto z wiaderka, nie zaprzatając sobie głowy, by ją zagrzać. Z oddali słychać, jak zgromadzenie śpiewa Psalm 150 w aranżacji Envalla. Ich głosy wzbijają się wysoko, opadając z wdziękiem pod koniec każdej frazy. Dźwięki przechodzą przez pola i złagodzone tą podróżą brzmia niemal tak, jak należy, a on zaczyna je nucić pod nosem. Dopiero wylewając mydliny na żywopłot, Mark zdaje sobie sprawę, że ktoś się zbliża, idąc ścieżką, a wtedy odszukuje go snop światła, więc albo musi zrobić to samo latarką, albo zostanie oślepiiony; wpatrują się w niego dwie pary oczu bliźniaków od Andertonów, mrugając, podobnie jak on.

- O, cześć - mówi - co się działo po południu?

- No, to chyba my powinniśmy cię o to zapytać - odpala Peter.

- Dokąd się wybieracie? - pyta Mark.

- Donikąd. Możesz pójść, jak chcesz - stwierdza Peter. Mark waha się, po czym obniża latarkę i, zostawiając wiaderko, przyjmuje zaproszenie. Idą na lewo przez furtkę ze schodkami i docierają wkrótce do miejsca, z którego widać światelka, niektóre się przemieszczają, inne tkwią nieruchomo nad rzeką.

Tim mówi, że tu wystarczy; siadają razem.

- A więc - odzywa się Peter - przyjechał Levenson. Podał wszystkim ręce, poklepał po tyłkach i obiecał, że rano wydarzą się wielkie rzeczy...

- Palisz? - pyta znienacka Tim.

- Nie - mówi Mark - jasne, że nie.

- Szkoda. - Timothy zapala papierosa, którego skręcał, odkąd usiedli, i mocno się zaciąga. - W każdym razie - dodaje po chwili - witamy. - Podaje papierosa bratu.

- Co masz na myśli? - pyta gwałtownie Mark, mrugając w gęstym dymie.

- Byliśmy na wzgórzu. Widzieliśmy, jak wracacie z tą twoją rudą. To całkiem jasne, co robiliście.

- Więc witamy - wtrąca Peter - w Republice Grzechu. Opuściłeś Królestwo Boże i udałeś się w lepsze miejsce.

- Czy to narkotyki? - pyta Mark.

- Sara zdobywa je na uczelni - wyjaśnia Tim. - Wszystko jest możliwe. Na przykład ja i Pete wyjeżdżamy do Londynu zaraz, jak skończymy szesnaście lat. Załatwimy sobie mieszkanie. To jak było z Natalie?

- To nie to, co myślicie - tłumaczy Mark. Bliźniacy śmieją się i krztuszą od dymu, próbując rozpędzić go rękoma. Poniżej śpiew ustał i światła oddzielają się dwójkami i trójkami od grupy, podążając chaotycznie w różnych kierunkach. Noc jest bardzo ciepła. Znikł księżyc, który, jak zauważył wcześniej Mark, świecił zza cienkiej popołudniowej chmurki.

- Chodzi mi o to - upiera się Mark - że muszę wszystko przemyśleć, zadać sobie pytania, modlić się i postanowić, co robić. Wszystko wywróciło się do góry nogami i nie wiem, co to znaczy.

- Nie wiedział, aż się dowiedział - rzekł Pete, po woli wypuszczając dym.

- Albo to w ogóle nic nie znaczy - dorzucił Tim. Dym, ledwo widoczny, rozprasza się wokół w ciemności. Mark odnosi wrażenie, że przebywa z wizytą w jakimś życiu, o którym ktoś mu mówił, że należy do niego, i odkrywa, że to w

połowie pomyłka, a w połowie coś znajomego.

Zostawia ich tam i wraca pospiesznie do przyczepy. Rodziców jeszcze nie ma. W środku jest ciemno i duszno. Widzi, że zesunęłam koce i leżę kompletnie ubrana, nawet w pożyczonych skarpetkach. Oddycham przez wpełuchylone usta; leżę, jakby ktoś mnie wprowadził w nagły trans, a nie naturalny sen. Dla Marka to rodzaj eksperymentu, żeby tak stać i obserwować, co się zdarzy; polega to na tym, że bardzo powoli, tak, by mógł temu zapobiec, ale bez szczególnego pośpiechu, chyba że zrobi się za późno, rośnie w nim pragnienie, do tego stopnia, że gdyby to było bezpieczne, wspiąłby się na moje łóżko. Ale to nie jest bezpieczne. Z pola dochodzą głosy. Otwierają się i zamykają drzwi, po cienkich zasłonach okien przemykają z rzadka światła. Zdobywa się tylko na to, by sięgnąć w górę i włożyć mi do ust koniec palca wskazującego, pocierając nim wzdłuż luźnej wilgoci po wewnętrznej stronie mej dolnej wargi.

To, co zdarzyło się owego popołudnia, nie wydaje się grzechem; to, co teraz zrobił, też nie. Musi porównać to wszystko do wszelkich prawd wiary, które wpoily mu przez całe dotychczasowe życie ważne dla niego osoby. Rozważenie tych spraw wydaje się zarazem warte wysiłku. Stoi tam i gorzej, jakby to określił święty Paweł, a kiedy słyszy dobiegające z zewnątrz głosy rodziców, wślizguje się do swego łóżka.

Drzwi się otwierają, zamykają.

- Jutro będzie nowy dzień, najdroższa - mówi jego ojciec.

- Nie powiem, że się na niego szczególnie cieszę - odpowiada ona - i zupełnie nie wiem, jak biedne dziecko odbiera całe te zajścia.

Kiedy rozmawiają, o ziemię rozbryzguje się woda, którą płuczą zęby po wyszczotkowaniu ich. Podają sobie na zmianę wspólny kubek.

- Nie da się mieć wszystkiego - tłumaczy dobro dusznie jego ojciec - ale musisz oddać Andertonom, co im się należy - wycofali się przecież.

- Tylko dlatego, że stawiają na swoim w ważniejszej sprawie - odzywa się ona. Kiedy się rozbierają i kładą ubrania w samochodzie, robi się cicho.

Ona gramoli się prosto do łóżka. On starannie zamyka drzwi na zamek. „Niech Bóg cię ma w opiece”, mówią sobie nawzajem. Oddech ojca Marka zmienia tempo, wpadając w równy, płytki rytm twardego snu.

- Nie śpisz? - pyta za jakiś czas jego matka. Widzi jej niewyraźny, blady kształt, kiedy siedzi na łóżku. - Dokąd poszliście? Czy z Natalią wszystko w porządku?

Bała się, że ją wyrzucą, wyjaśnia Mark, na wpół wychylając się z łóżka. Leżę zaledwie niecałe pół metra nad jej głową. Jego dzieli od matki niewiele więcej, lecz w ciemności rośnie odległość i rozmowa upodabnia się do telefonicznej. Nagle Mark przypomina sobie, jak dzwonił do niej, kiedy miał kontuzję kostki u nogi podczas gry w piłkę i musiał jechać po lekcjach do szpitala na prześwietlenie. To konieczne, powiedziała mu. Wszystko będzie w porządku, żeby tylko na to nie patrzył.

- Dziś rano było okropnie - mówi ona.

- Tak - przytakuje Mark.

- Ale może z tego wyniknąć coś dobrego. Nie martw się, nie trzeba. Lubię Tony'ego Thwaite'a, Jean też. Jest bardzo dzielna. Czy dobrze się czujesz?

- Tak - odpowiada - świetnie.

Po chwili i on gdzieś odpływa, i Barbara zostaje jedyną osobą, która czuwa na jawie; leży z szeroko otwartymi oczyma obok męża, w zamkniętej na zamek przyczepie, czekając na lekkie powiewy wiatru, pchające się przez okna, na szelest liści. 28 Chłodny poranek, nieco zachmurzone niebo. Bluzki, ręczniki, majtki, ścierka furkoczą na rozwieszonym między przyczepą a żywopłotem sznurku. John znowu siedzi na stopniach, a Barbara i Mark na krzesłach przy żywopłocie. Ja rozłożyłam sobie kocyk na trawie. Trzymam na kolanach mały oprawny w skórę egzemplarz Zapomnianego przykazania, kazania Envalla; po jednej stronie wydrukowano tekst po fińsku, po drugiej zaś dość osobliwą wersję anglojęzyczną. Czytając, wodzę mozolnie palcem po wersach i usiłuję cokolwiek zrozumieć. Mam świeżo zaplecione warkocze. Założyłam, niebieską

sukienkę w kratkę i żółty rozpinany sweter; jestem w pełni szczęśliwa, że stałam się dzieckiem enwallistów i że wszystko zbiegło się naraz.

- Musimy się ruszyć - mówi John. Ludzie zaczynają zmierzać w kierunku pola, na którym odbywają się zebrania, każdy niesie własne krzesło lub jakiś sprzęt.

- Najpierw powinnam z tobą zamienić słowo, John - słyszę głos Barbary.

- Ponieść ci krzesło? - pyta mnie Mark, gdy starannie zamykam książkę, zaznaczając czytaną stronę źdźbłem trawy. Odkąd wróciliśmy, działa mi na nerwy, więc udaję, że nie słyszę. Wchodzę do środka, by odłożyć książkę i ociągam się, stając na granicy między naszym kącikiem a resztą pola; oglądam się za siebie. Barbara Położyła dłoń na ramieniu męża, drugą zaś trzyma w kieszeni spodni. Obdarza mnie przelotnym, za to olśniewającym uśmiechem, po czym macha na nas, dzieci, żebyśmy się pospieszyli.

- Chodźcie już.

- Dobrze się czujesz? - pyta Mark, kiedy razem wyruszamy na drugie pole.

Oczywiście, że tak, informuję go. Wszyscy są teraz dla mnie bardzo mili, wszystko się ułożyło. Uparcie patrzę przed siebie i nie daję po sobie poznać, że pamiętam to, co zdarzyło się wczoraj. Daję mu szansę, by zapomniał, co zaszło, bo sama chcę tak uczynić po to, by móc sobie poradzić z nową sytuacją. Ale Mark wcale nie dzieli tego przekonania. Ściąga brwi i sięga po moją dłoń, którą mu wyrywam i wpycham do kieszeni sukienki. Bardzo, bardzo by chciał znowu pójść ze mną na spacer. Może jak się skończy to zebranie. Jest wiele spraw do omówienia. A może przed podwieczorkiem? Co o tym sądzę?

- Nie wiem - mówię, obrzucając go w końcu prędkim spojrzeniem.

- Może jednak?

- Powiedziałaś, że nie wiem - powtarzam, wyciągając ręce, nie do niego, lecz w stronę krzesła, chcąc usiąść.

W powietrzu unosi się atmosfera rozgorączkowania; wierni sadowią się w

koncentrycznych kręgach wokół dwóch metalowych beczek na ropy, połączonych ze sobą kawałkiem nie heblowanej deski, która spina je jak most To dzieło Paula Levensona. Deska ma służyć jako rodzaj kładki, po której wszyscy, jeden za drugim, całe zgromadzenie albo tyłu, ilu uda się przekonać, przejdą z zawiązanymi oczami. Każdy będzie niósł plecak z kamieniami, symbolizującymi nie wyznane grzechy. Na drugim krańcu pola wytrząsną kamienie na ziemię, nazywając je tak, by wszyscy słyszeli. Mark mówi, że pamięta, jak czytał 226 w gazetce parafialnej o Levensonie, który będąc w odwiedzinach u jednej ze wspólnot kanadyjskich, sam dźwigał kamienie w znacznie bardziej skrajnej scenerii: idąc po sosnowym balu nad prawdziwym urwistym wąwozem, i jak po tym wyczynie „napelni! go duch”.

- Ale, oczywiście, nie musisz tego robić - dodaje.

- Mogłabym - mówię, choć wszyscy widzą, że deska jest za cienka i będzie się chybotać - mogłabym mieć na to ochotę.

- Ale nic o wczorajszym...

- Czemu nie? - pytam. - Zrobię, co zechcę. Powiem, co zechcę i na pewno, na pewno to zrobię, jeśli mi nie dasz spokoju.

Elsbeth Anderton spytała, czy może iść pierwsza.

Krążą pogłoski, że Paul Levenson tak bardzo popiera pomysł Marka na wyspę, teraz nazywaną Wyspą Andertona, że jest gotów rozpocząć zbieranie funduszy na ten cel, ofiarowując tysiąc funtów z własnych oszczędności. Anthony Thwaite, jego adwersarz, jest absolutnie temu przeciwny: wczoraj wyszedł wcześniej z kolacji razem z McAllisterami, żeby pójść na spacer i wszystko przedyskutować...

- Ktoś może spaść i uderzyć się w głowę albo coś w tym rodzaju - zauważam - i czyja to będzie wina?

Wszyscy czekają.

Kiedy przyjdzie Barbara?

Moje nogi znów zaczynają kopać.

Obie połowy drzwi przyczepy są zamknięte. W środku znieruchomiałe powietrze jarzy się bursztynowo od wpadającego przez dach światła. Szafki z jasnego drewna, składany stolik i pomarańczowe wyściełane ławki tłoczą się pośrodku niewielkiej przestrzeni, na której stoją Barbara i John, jakieś pół metra od siebie. John podnosi wzrok z zaciekawieniem i odrobiną lęku i kieruje go na marszczącą brwi żonę. Jej niesforne włosy dotykają dachu przyczepy. Przygryza dolną wargę. Jest dalej piękna, niepokojąca i zarazem pociągająca.

- O co chodzi, Barbaro?

- Nie chcę wstać na polu i tego powiedzieć. Chcę o tym pomówić z tobą, tylko z tobą - oznajmia, biorąc jego dłonie w swoje.

Z blasku jej oczu mógłby niemal wnioskować, że ma mu do zakomunikowania coś cudownego: ciąża, wizja. Ale on wie, że to co innego.

- Prawda jest taka, John, że od czasu śmierci Ruth przechowuję jej fotografię; wyjmuję ją i patrzę, kiedy tylko mogę - przemawia cichym, stanowczym głosem, którego nie sposób źle usłyszeć lub nie uwierzyć w jej słowa. - To tylko jedno zdjęcie, John. Nie spowodowało, że dążę do posiadania dalszych wizerunków. Jestem pewna, że tu nie mają racji. - A wtedy mówi, że jest jej bardzo przykro, a on obejmuje ją ramieniem i przyciąga do siebie. Przyciska dłoń do jej pleców, a drugą pieszczotliwie ujmując tył jej głowy. Ona schyla się, by odwzajemnić jego uścisk. Przytulają się jak najmocniej, czując napór i wznoszenie się mięśni, które pomagają im, każdemu oddzielnie, zaczerpnąć oddech i go wypuścić; cały świat poza nimi znika.

„A więc dalej istniejesz!” myśli zdumiona Barbara. I wydaje się, kiedy po każdym oddechu następuje kolejny oddech, jego, jej, jego, znowu jej, jakby wszystko mogło jakoś się ułożyć. Być może się jednak myliła, i jedna rzecz nie musi być okupiona inną? Być może w tej właśnie chwili on się odmieni, dla niej. Być może potrzebowała jedynie odwagi? Przesuwa dłonią w górę i w dół jego pleców, mocno. Zniżonym tonem mówi mu bez przerwy, jak bardzo go kocha.

Mijają minuty, a on stopniowo uwalnia się z uścisku. Nadal ją tuląc, bada jej twarz, jakby szukał jakichś fizycznych oznak, które przeoczył przez te wszystkie lata, czegoś, co, gdyby w porę dostrzegł, pomogłoby mu się zorientować, że to się w końcu stanie... Poważnie kręci głową z boku na bok:

- Musimy pójść na to pole - odzywa się.

- Nie - odpowiada ona.

Bierze ją za rękę i przytrzymuje we własnej, za silnie.

- Nie mogę - dodaje ona - tego wyznać. Przepraszam, że cię ranię. Przepraszam, że okłamywałam cię, wszystkich. Ale nie jest mi przykro z powodu samej fotografii. To była moja córka! Nie chcę - urywa, jej twarz, całe ciało, zastyga, kiedy uświadamia sobie, co ma powiedzieć - nie chcę, by mi wybaczano!

- Gdzie jest ta podobizna? - pyta on. - Tutaj w przyczepie?

- Oczywiście, że nie! John, mam nadzieję, że jesteś w stanie pojąć, że...

On siedzi jak głaz, a w miarę jak narasta jego wściekłość, czuje, że staje się coraz cięższy.

- A więc w domu?

- No, tak - mówi ona - ale posłuchaj: chcę - nagle zaczyna krzyczeć na niego - chcę, byś zrozumiał, że jej potrzebowałam!

- Gdzie to jest? - reaguje krzykiem John. Ich głosy obijają się po mizernych ściankach pokoiku. I nagle następuje cisza. Już się nie dotykają. Ona siada i chowa głowę w dłoniach. Myśli o swej bratowej Rose, z którą czekała dwanaście lat temu przed krematorium; stała bliźko, objął ją ręką talię Barbary i wsunęła jej w dłoń kołko perły:

- Nie wiem, czy to właściwe, Barbaro. Nie musisz patrzeć. Zawsze ją możesz wyrzucić...

Chociaż, gdy do tego miało dojść, wiedziała, że nie potrafi tego uczynić. A ponieważ Rose, a zapewne również Adrian wiedzieli, że przyjęła to zdjęcie, musiała się trzymać od nich z daleka. Tak więc także całe to leniwe popołudnie,

przesycone wonią miodu w ich słonecznym ogrodzie - włączając w to moment, kiedy Rosę, która poszła po herbatę, musiała porwać aparat, naprędcie ustawiając ostrość i skierowała go na niemowlę na kolanach swej szwagierki, nacisnęła migawkę, po czym wsunęła aparat z powrotem do szuflady w kuchni, dociskając ją i przytrzymując sobie koniec palca, gdy Barbara podniosła wzrok - całe to popołudnie znikło. Dla fotografii Barbara zaryzykowała wszystko - i wygląda na to, że przegrała.

John przysiadł na krawędzi stolika, za blisko.

- No to gdzie? W sypialni, naszej sypialni? - pyta. Choć to wykluczone, jego głos brzmi tak, jakby był pijany.

Ona wzrusza ramionami, patrzy w przestrzeń za nim, przez boczne okienko o zaokrąglonych rogach, na sznur z praniem, kawałek drzew i wzgórz. Nad nimi, jeszcze mieszcząc się w ramie, wisi na niebie miękki, gruby rogalik przybywającego księżyca. „Całkiem możliwe - myśli Barbara - że ci dwaj mężczyźni, którzy po nim chodzą, patrzą właśnie w tej chwili na ziemię i rozmyślają o ludziach”, jest jednak pewna, że nigdy, przenigdy nie wpadliby na to, co teraz dzieje się z nią, tu w przyczepie na polu Harrisa. W całej tej niezmiernej obcości, w której czy z której, czy pośród której żyjemy (z Bogiem, czy też bez Niego, bo On być może mimo wszystko istnieje, skrywając się w szparach i szczelinach tego wszystkiego, całkowicie odmienny od tego, jak Go sobie dotychczas wyobrażała lub nie wyobrażała, lecz który nadal istnieje); w całej rzeczywistości, zdaje się jej, że nie ma ani jednej osoby, która umiałaby jej podpowiedzieć najlepsze wyjście ani przewidzieć, co z tego ostatecznie wyniknie.

- Nie wiem - mówi on - dlaczego się uśmiechasz! - Nagle ktoś raz a gwałtownie stuka do drzwi.

- Co tam robicie? - wołam do nich.

- Paul Levenson chce, żeby wszyscy przyszli, zanim zaczniemy - dodaje

Mark.

Barbara nas wpuszcza.

- O co chodzi? - pyta Mark.

- Twoja matka - informuje John - właśnie wyznała, że posiada fotografię.

Wizerunek, który...

- Patrzę na nią - mówi Barbara - to prawda, robię to. Ale nie wyznałam. Ja tylko...

- To zdjęcie dziecka, które zmarło. Wiedziałam o tym wcześniej - mówię, uzmysławiając sobie na widok twarzy Johna, że niechcący pogorszyłam sytuację. Siadam na łóżku Marka; on siada obok, więc trochę się odsuwam. Wydaje mi się, że wszyscy traktują tę sprawę poważniej, niż trzeba.

- Bóg jej wybaczy - zauważam.

- Ona nie chce się zgodzić, by pójść na to zgromadzenie! - odpowiada pan Hern.

- To nie grzech - stwierdza ona i słycać wszystkie drobne dźwięki i szelesty, które wydajemy: oddechy i przełykanie, pocieranie materiału o materiał i materiału o skórę.

- Co teraz zrobimy? - pytam po, jak się wydaje, długiej ciszy.

- Wracamy do domu - mówi John, zwracając się do mnie i Marka. - Żeby znaleźć fotografię - tłumaczy, jakby był to najrozsądniejszy krok na świecie.

- Ja nie chcę! - oświadczam.

- Musimy - mówi on.

- Natalie - odzywa się Barbara, wyciągając do mnie ramiona; jej twarz otwiera się szczerze, jakby właśnie wróciła z długiej podróży, podczas której tęskniła za mną w każdej minucie każdego dnia - chodź tu, kochanie.

Doprowadzamy razem przyczepę do porządku, a Mark pakuje stojący na zewnątrz sprzęt do gotowania, butle na wodę, sznur do prania i tak dalej. Tłum, który się zebrał, stoi w pewnej odległości, tak jakby miało to jakieś znaczenie. W większości tylko nas obserwują w milczeniu lub rozmawiają szeptem między

sobą, lecz Elsbeth Anderton woła do Marka:

- Ucałuj ode mnie mamę!

Podchodzi jej mąż, staje blisko Marka, który pakuje rondle do pudła i upiera się niskim, poufałym tonem, że musi wejść do środka i przekonać jego ojca i matkę, by zmienili zdanie; naprawdę muszą zostać. Teraz nadszedł moment, mówi, w którym wszystko się zmieni na lepsze i jeśli tylko zostaną...

- On chce po prostu znaleźć to zdjęcie - wyjaśnia Mark.

- Ale przecież to nieważne - odpowiada Paul Levenson z zastanawiającą łagodnością - fotografia może sobie leżeć na swoim miejscu aż do końca tygodnia... Natomiast dołączenie do nas w tej chwili...

Mark uśmiecha się, wzrusza ramionami i dalej pakuje do pudła emaliowane miseczki śniadaniowe i kubki, wyciera brudne łyżki, owija je razem w szmatkę.

Barbara wpuszcza Jean McAllister, choć wcześniej odprawiła z kwitkiem Edith, która powtarzała w kółko, iż cały czas wiedziała, że coś jest nie tak i chciała tylko pomóc.

W środku przyczepy obie kobiety obejmują się i Barbara mówi:

- Dziękuję.

Wychodząc, Jean zatrzymuje się, czeka, aż Mark wstanie i ściska mu dłoń, oficjalnie, jakby mieli na sobie najlepsze ubrania i uczestniczyli w jakimś przyjęciu. Życzy mu powodzenia.

On układa sznur i niedoschnięte pranie w stos, który kładzie na pudle z naczyniami i podnosi je.

Teraz nie pozostaje już nic innego, tylko ruszać. Barbara założyła okulary przeciwsłoneczne i przebrała się w sukienkę w paski. Zatrzymuje się na krótko przy drzwiach dla pasażera, by powiedzieć, że przeprasza wszystkich za wywołanie niepokoju, po czym wślizguje się do środka. Mark i ja wsiadamy z tyłu. John ściska dłoń Paulowi Levensonowi, klepie Andertona po ramieniu, podaje rękę osobom, które wyciągnęły do niego dłonie, obejmuje paru z nich,

obiecuje, że zobaczy się ze wszystkimi w przyszłym tygodniu na nabożeństwie w domu Gardnerów.

Próbuje aż trzy razy, zanim silnik zaskoczy. Przy bramie zebrało się więcej ludzi. Bliźniacy o szczerych i dziwnie dziecięcych twarzach pokazują Markowi: opuść szybę. Mark ich nie słucha, więc teraz wykonują w moją stronę gesty pokazujące pieprzenie, ale rzucam im takie spojrzenie, że przestają. Nadjeżdża żółty traktor Harrisa i musimy zawrócić, jadąc prostym odcinkiem dróżki prowadzącej do gospodarstwa Harrisa.

W końcu jesteśmy na szosie.

W boki samochodu uderzają gałązki, na przedniej szybie rozbija się cicho wiele owadów. Przyczepą za nami szarpie, gdy wchodzimy w zakręt, a z przodu rzezi zbuntowany silnik, wciąż na drugim biegu.

- Proszę, nie przejmuj się tak - mówi Barbara.

- Poproś ojca, żeby bardziej uważał - wydaje chwilę później polecenie Markowi.

- Ona ma rację, tato - odzywa się w końcu Mark - nie warto ginąć za takie rzeczy.

Po chwili John zmienia bieg. Skręcamy w główną drogę, na której słychać całkiem zwyczajny świst wyprzedzających się samochodów i widać sznur nadjeżdża 233 jących pojazdów; wszystko to stwarza pozory powrotu do normalności.

Sprawy nie mają się jednak tak jak przedtem: siedzę z prawą stopą zahaczoną o lewe kolano, co tworzy podpórkę dla tomu Wyznań Envalla. Jedną dłoń trzymam na siedzeniu samochodu, drugą zaś za koniuszek warkocza, owijając go sobie wokół wskazującego palca, a czasem łapię się nią za brodę. Albo też wącham czubki palców, sprawdzając, czy nie został na nich jakiś ślad zapachu, który chciałabym zapamiętać. Teraz to Mark chce rozmawiać, ale ja mu nie daję.

- Pssst - pokazuję, kładąc palec na usta.

- John - mówi Barbara, gdy on zwalnia, by dostosować się do ciężarówki
- Rose zrobiła tę fotografię bez mojej wiedzy.

- John - zaczyna znowu - wiem, że mówiłeś mi, wiele razy, jak wiara pomoże nam przeboleć śmierć Ruth. No cóż, nie pomogła i nie potrafię tego wyjaśnić, ale na swój sposób jestem pewna, że gdyby przez wszystkie te lata ta fotografia stała na półeczce nad kominkiem, gdyby była, naprawdę była tam, a nie w ukryciu, gdyby była jawnie wystawiona, wtedy życie byłoby - gdy ona szuka właściwego słowa, on obrzuca ją baczny spojrzeniem - łatwiejsze. Lepsze. Co w tym złego?

- Nie mogę tego teraz omawiać - informuje ją John.

- Ale mógłbyś spróbować! - odpowiada ona; chwilę później obraca się na swym siedzeniu, uśmiechając się promiennie. - Proszę, nie martwcie się, moi kochani, oboje - mówi - wszystko się dobrze skończy. - I podnosi swe okulary słoneczne tak, żebyśmy mogli zobaczyć jej oczy, w których jest jakiś ból, choć nadal błyszczą; ciągle jej wierzę.

- Nie rozumiem - zabieram głos - teraz, kiedy już się do tego przyznałaś, nie uzyskujesz przebaczenia?

- To jeszcze za mało - wyjaśnia Mark - nadal jest przywiązana do wizerunku. - W jego głosie dźwięczy nutka nonszalancji, niemal sarkazmu. Sięga po książkę, dotyka jej, przyciąga parę kartek do siebie, stuka palcem: „Rozdział piąty”. Ociera się drugim ramieniem o moje. Na stronie widnieją słowa, ale on nie musi nawet czytać: „Kiedy przemawiam do ciebie o grzechu, pamiętaj, że czynię tak za każdym razem jako ktoś, kto sam zgrzeszył. Gdy mówię o poszczególnych grzechach, związanych ze sporządzaniem i oddawaniem czci podobiznom czegokolwiek, co znajduje się na ziemi, zgrzeszyłem być może w tej mierze bardziej niż ktokolwiek spośród was. Dalej jednak mogę znaleźć się w stanie łaski”.

Jego głos załamuje się, po czym opada na fałszywym tonie. Wyprzedzają nas samochody i gnają dalej. Kosmonauci pędzą w stronę ziemi, pogrążeni we

śnie. Na polu pasą się krowy. Nie chcę wracać do domu.

29

Jest pisany ręcznie, dlatego trafia do domu kultury z adnotacją „Wykład”.
Otwieram list bez namysłu:

Droga Natalie, ten list doręczy Ci Pekka, nie możesz więc powiedzieć, że nie dotrzymuję naszej umowy. Dziękuję za zaproszenie. Chcę doprowadzić sprawę do końca, dlatego, oczywiście, przyjdę. Przepraszam za pismo, lecz zepsuła mi się maszyna do pisania.

Z wyrazami szacunku, Christina

Tak naprawdę jej litery są zgrabne, potwornie schludne. Każde zdanie, jako że dodała interpunkcję, zaczyna się od nowej linii, co wygląda, jakby włożyła w ich układ mnóstwo energii i wysiłku. Wyobrażam sobie, jak siedzi przy wielkim stole w pełnej ozdóbek kuchni, zalanej światłem elektrycznym, pochylona nad kartką; pisząc, wysuwa czubek języka, całkiem jak dzieci.

- Jaka znowu umowa między wami? - pyta Heikki.

- Nie mam pojęcia. Nigdy się z nią nie umawiałam.

- A co znaczy cała reszta? Co ona chce doprowadzić do końca?

To może być cokolwiek, mówię, albo zupełnie nic. Może to pogrożka, że mnie ukarze. Albo też daje mi szansę, żebym nie zrobiła tego, czego się po mnie spodziewa.

- A jeśli to uczynisz?

- Nie chcę o tym myśleć - odpowiadam - niewykluczone, że chodzi tu o coś tak osobistego, że trudno to zrozumieć. Jakiś drobiazg...

- Aha - mówi Heikki i oczywiście zaczyna rozprawiać o czymś, co nie ma żadnego związku z moimi słowami, czego nikt przy zdrowym umyśle nie zdołałby pojąć. A mnie ogarnia przerażenie, że - co wnoszę z wyrazu jego oczu - będzie się chciał dowiedzieć wszystkiego tego, czego jeszcze nie chcę mu mówić, nie jestem gotowa. „Proszę - mówię do niego w myślach, zwrócona do

niego plecami - proszę, pamiętaj: to ja zadaję lawinę szczegółowych, nieistotnych pytań, które na samym końcu łączą się w całość (albo nie muszą: po pro stu zostaję poinformowana na zasadzie osmozy). To ja pragnę poznać wszystkie bezużyteczne detale, to ja na potykam przeszkody w postaci na wpół zapomnianych tajemnic - zawsze tak było i zawsze będzie. Ostatecznie właśnie tym się zajmuję. I dopóki to ja nie zmienię zna ku, droga pozostanie jednokierunkowa”.

- Moja była żona to trudna osoba, bardzo skrajna - oznajmia mi bezpośrednim tonem: to potwierdza moje podejrzenia, tak mi się z początku wydaje. Ale potem, kiedy siada przy biurku i nie zwraca na mnie uwagi, uświadamiam sobie, że on też rozmawia ze mną w myślach, mówiąc mi rzeczy, o których nic nie wiem; i nie mam pojęcia, co z tego wyniknie.

30

W gasnącym blasku kończącego się dnia skręcamy na światłach; wjeżdżamy w znajomy układ uliczek biegnących to na lewo, to na prawo, który doprowadza nas - znienacka, jak się nam wydaje po wielu godzinach spędzonych w drodze - do domu. John Hern wysiada, otwiera bramę, wjeżdża na wybrukowany podjazd, trzymając się blisko prawej strony i znowu się zatrzymuje. Wyglądamy przez okna, każdy przez swoje, czując, jak narasta panujące wśród nas milczenie - a trwa ono już długo - gęstniejąc tym bardziej, że ucichł silnik.

Musiało tu padać: ogród ledwo się mieści w posadach. Rosną splątane krzewy i kwiaty, walcząc z chwastami o miejsce, a wszystko wylewa się z brzegów. Trawnik usiany jest stokrotkami i koniczyną, a łączenia między płytami chodnika wypełnia mech i trawa. Sam dom, stojący pośród tego rozkwitu, opiera się mu niezłomnie, ma zamknięte okna i zasunięte kotary. Wewnątrz na pewno stoi nieruchome gorące powietrze, a na powierzchni stołów i parapetów musi zalegać gruba warstwa kurzu. Bezszelestna lodówka,

wyłączona przed wyjazdem, ma uchylone drzwi; stan licznika elektrycznego zatrzymał się w miejscu. Dom odpoczywa, nabierając sił. My w samochodzie jesteśmy wyczerpani i tak nam zdrętwiały nogi, że aż przyłgnęły do siedzeń, mimo to nie chce się nam ruszyć; wygląda na to, że moglibyśmy tak zostać, aż buj 238 na wegetacja wtargnęłaby do samochodu, wypychając nas na zewnątrz.

A wtedy ja zdejmuję z nas zakłęcie: pochylam się do przodu, wciskając ramiona między przednie siedzenia. Powietrze drga, ożywione możliwością słów.

- Czy mogłabym zostać? - pytam.

- Och, cicho, dziecko - odzywa się Barbara, prędko się obracając. Jej miękki jak puch głos jest podobny do subtelnie rozprutej tkaniny. Wyciąga rękę i zakłada mi za ucho kosmyk włosów, jak to ma obecnie w zwyczaju. - To nie jest odpowiedni czas - dodaje. A więc kiedyś ta ki nastąpi? John Hern z powrotem włącza silnik.

- Musisz jechać prosto do domu - tłumaczy mi.

- Ale nikt się mnie tam nie spodziewa - sięgam przez szparę między przednimi siedzeniami i dotykam jego ramienia, którym szuka hamulca ręcznego.

- Nie trzeba tam jechać samochodem. Ona ma tylko jedną torbę - mówi do męża Barbara - odprowadzę ją do domu.

- Ja odprowadzę - reaguje Mark.

- Nie - ucina ojciec - ty możesz mi pomóc - i znowu wyłącza silnik.

Barbara otwiera drzwiczki samochodu. Wyciągam się na swoim miejscu. A może się uprę i nie wysiądę? Kiedy Barbara z moją torbą w ręku otwiera drzwi z mojej strony, dalej się nie ruszam.

- Nie zrobiłaś nic złego - mówi - nie masz się o co martwić. Wszyscy jesteśmy zmęczeni... Może przyjdiesz nas odwiedzić rano.

Obracam się w stronę Marka i patrzę mu prosto w twarz. Obserwuję go bacznie, wodząc oczyma z lewa na prawo, z góry na dół. Dalej marszczy swe

niesymetryczne brwi, ale bardziej oznacza to zbicie z tropu, a nie wrogość. Zmęczone, zagadkowe oczy o czarnych jak smoła źrenicach. Rozchylił nieco wargi, odsłaniając sam koniuszek języka. Zmienił się, choć jednocześnie jest taki sam.

Jestem pełna emocji, dojmującej trwogi, przeraźliwego, nie wydanego krzyku, o wiele intensywniejszego, niż wymagają tego okoliczności - przecież to nie moja rodzina, nie moje nieszczęście. On odwzajemnia moje spojrzenie, uważnie na mnie spoglądając.

- Nie wiem, co robić - mówi, dotykając mego ramienia. Gramolę się z samochodem, zabierając ze sobą panikę, ale też i ciepło, zapach zgniecionej trawy i soli. Idziemy z Barbarą ramię w ramię, kiedy kierujemy się z powrotem do bramy.

Czy zastaniemy Sandrę? Kto jeszcze może być w domu? Nie sposób się dowiedzieć. Nie wiadomo, jak mam sobie wyobrazić spotkanie tych dwóch kobiet, co im u licha powiem, żeby się wytłumaczyć ze swych kłamstw - na razie odsuwam po prostu tę myśl i idę dalej, krok za krokiem, patrząc na domy i ogrody, zupełnie jak za pierwszym razem.

John zmierza w stronę domu. Mark ma się zająć przyczepą, wyjąć kluczyki ze stacyjki, wnieść torby do przedpokoju i zostawić je tam, wszystko jak najszybciej. Przez parę minut czeka w samochodzie, zanim wejdzie do przyczepy i otworzy wszystkie szafki, wywlekając torby, aż lądują ciężko na podłodze; przyczepa się trzęsie przy każdej z nich, a on czeka, aż się uspokoją drgania, zanim sięgnie po kolejną. Ma pustkę w głowie: stara się tego nie zmieniać, napęniając ją dźwiękami i doznaniem, których dostarcza mu ta praca. Wnosi po jednej torbie do domu i, zginając ostrożnie nogi w kolanach, układa bagaże w rzędzie. Nigdzie nie widać jego ojca.

Kiedy już skończył, zabiera się do roboty z przyczepą, odłączając ją od samochodu, po czym przykuca na chwilę przy każdym jej rogu i obraca nią, by zachowała 240 równowagę; całkowicie pochłania go zgrzyt urządzenia

zapadkowego w lewarku. A kiedy się z tym upora, idzie powoli do domu i liczy schody w górę. Słyszy ojca w sypialni rodziców; zanim wejdzie, już niemal wie, że zobaczy odsunięte od ściany łóżko, z którego zdarto niedbale, choć pieczołowicie wszystko; piętrzy się na nim pościel, na szczycie której położono modlitewniki i Biblie rodziców. Pozostałą zawartość szafek nocnych opróżniono na podłogę, podobnie jak szuflady dwóch komódek, które ułożone naprędce w stos stoją obok sterty białego papieru do wyściełania i kopczyka bielizny, koszul nocnych, pończoch i skarpet. Ojciec klęczy przy szafie, wyjmując z niej buty. Kiedy widzi Marka, podciąga się i wstaje, zdejmuje naręczce ubrań Barbary z wieszaka i rzuca je na łóżko.

- Przeszukuję wszystko - wyjaśnia, ciężko oddychając z wysiłku i z jeszcze większych emocji. Ma rozpiętą koszulę; plamy potu pod pachami rozszerzają się nie regularnie na klatkę piersiową. Nadal uderza przez moment brak zarostu na brodzie, co może zbić z tropu, jego twarz bowiem stała się przez to jednocześnie bar dziej stanowcza, ale i w pewien sposób obnażona. Stoi przy łóżku, czekając przez chwilę, jakby chciał, by go ktoś powstrzymał.

- Czy musimy to robić teraz? - pyta Mark. - To znaczy, skoro tak długo już tu jest? Może rano...

- Ukryty wizerunek ma większą moc niż wystawiony na widok publiczny - stwierdza ojciec, nadal ciężko oddychając - nie sądzisz? - i Mark kiwa potakująco głową; w pewnym sensie się zgadza, choć nie z następstwami tego zdania - i nie umiałby wyjaśnić dlaczego, nawet za cenę własnego życia. Ale podczas tej krótkiej wymiany zdań jego ojciec staje się mniej obcy, gdyż po wraca do swego znanego zwyczaju rozważania i porównywania różnych aspektów sprawy, udowadniając, że w pewnej niewielkiej mierze ma rację.

- Jak sądzisz, gdzie mogła to położyć? - pyta.

- Nie wiem - odpowiada Mark. Nigdy nie ukrywał żadnej materialnej rzeczy ani w ogóle niczego, aż do nie dawna, kiedy to zaczął ukrywać zdarzenia, do których doszło na plaży, a także nową niepewność, która wdarła się w jego

wiarę, nie próbował ich po prostu nazywać.

- Dobry z ciebie chłopak - mówi teraz z uśmiechem ojciec. - Pomóż mi. Poszukamy wszędzie, we wszystkich pomieszczeniach. Jeśli są tam jakieś wizerunki, znajdziemy je i zniszczymy. A wtedy wszystko wróci do normalności i będzie jak zawsze... Szafki na strychu, twoja sypialnia, nie zamieszkane pokoje - ty się nimi zajmiesz. Uważnie. Zaglądam pod papier w szufla dach, posuwaj się wzdłuż brzegów dywanu, sprawdź, czy je kiedykolwiek podwijano.

Mark stoi w miejscu. „Nawet jeśli masz rację - myśli - to to jest nie w porządku”. I ta refleksja sprawia, że ściąga brwi.

- O co chodzi? - pyta ojciec. „Chciałbym ci się przeciwstawić wprost”, rozmyśla Mark, ale czuje przerażenie; matki nie ma w domu, a on nie do końca potrafi działać.

- Proszę - odzywa się ojciec, pokazując na łóżko, szafę - tyle tam rzeczy do przetrząśnięcia.

- Nie wiem jak - mówi Mark. Czuje ciężar ręki ojca, spoczywającej na jego ramieniu, gdy ten prowadzi go przez drzwi do mniejszego pomieszczenia, w którym nikt na razie nie mieszka. Różowe kotary są rozsunięte, a światło elektryczne dławi wszystkie kolory i sprawia, że kruche przedmioty, które wytworzył człowiek, odcinają się ostro na tle atramentowego nieba za oknem. Uschła roślina, ustawiona na grzejniku olejowym. Nie nakryto wiekiem maszyny do szycia, a z pudła na szpulki i igły zwisają luźno dwie długie białe nitki, jakby po spiesznie wyjęto coś do szycia: coś, co widział u matki niezliczoną ilość razy - odgryzała nitkę, bo sięgnięcie po nożyczki trwałoby za długo.

- Otwórz wszystko, i tyle - dostaje polecenie.

„Ale tam nic nie ma!”, odpowiada w myślach.

A jednak jest; zaskakujące, jak łatwo ją znaleźć. Siada na łóżku. Na wiklinowym stoliku obok leżą dwie książki. Sięga po tę pod spodem, nie do

modlitwy, lecz oprawne w skórę Pismo. Nie musi nawet niczego wytrząsać, bo wystaje z niego niedbale rozek koperty, w środku której, jest o tym przekonany, znajduje się fotografia. Trzyma kopertę wystarczająco długo, by zorientować się, jak jest cienka, że jej nie zakleiono, lecz tylko założono, że ma wytarte rogi i krawędzie. Potem wsuwa ją z powrotem na miejsce, zamyka książkę i zaczyna rozścielać łóżko. Kiedy zdejmuje poszczególne warstwy: zieloną kapę z wypukłym wzorem, różowe koce, bawełniane prześcieradła i obleczki w nieco bledszym odcieniu różu, składa je schludnie na krzesło. Kiedy kończy, umieszcza dwie książki na szczycie piramidy z pościeli, podobnie jak uczynił to ojciec w innych pokojach. Unosi materac i opiera go o ścianę. Uświadamia sobie - tak jakby był kimś, kto obserwuje własne zachowanie - że pozostawia dowody bezskutecznych poszukiwań i wcale nie woła ojca. Czy to zrobi? Nie jest pewien, czy się na to ostatecznie zdobędzie, ale na razie kurczowo chwytą się wersji, że możliwe jest, na tym etapie, by powiedzieć, że nie widział fotografii. Bo nie widział. Wie, że tam jest, ale nie widział. Jego ojciec podarłby ją na strzępy, on też by tak mógł, gdyby chciał, ale nie zechce, ponieważ z pewnej ograniczonej perspektywy niezobaczenie fotografii stanowi różnicę. Stwarza jakiś azyl, daje odrobinę łagodnego cienia pośród nieprzyjemnego, rażącego odblasku dziejących się spraw. Zastanawia się, czy przypadkiem 243 nie powinien skończyć tego, co kazano mu zrobić, po to, by wiedzieć, co dalej.

Idzie więc w stronę szafek, wyjmuje machinalnie deskę do prasowania i żelazko, a także zdejmuje przykrycie z deski i wysuwa luźny kawałek dywanu spod szafek. Kiedy wchodzi ojciec, zastaje go na tej czynności i oznajmia, że jest gotów zejść na dół. Jak Mark coś znajdzie, niech obróci to grzbietem do góry i natychmiast go zawoła: czy słyszy? Nadal głosowi zachęcający, niemal czuły ton. Roznosi się wokół niego woń roboty, słonawa, ciężka. Ma nieco zachrypnięty głos.

Kiedy już wyszedł, Mark siada na podłodze tyłem do ściany. Pod tym kątem widać przez okno tylko korony drzew w barwie indygo i fioletowe niebo.

Wstaje, otwiera okno, znowu siada. Z parteru dochodzą odgłosy otwieranych szuflad, szuranie przesuwanych mebli, głuchy łoskot książek rzuconych w nieładzie na podłogę. Między tymi raptownymi hałasami następują napady zgęstniałej ciszy, w czasie których, jak przypuszcza, ojciec skrupulatnie kartkuje książki albo patrzy w milczeniu na luki i puste miejsca, które są jego dziełem. Gdyby tylko sobie na to pozwolił, Mark to wie, albo by zwymiotował, albo zemdlał. Kusi go, by stworzyć sobie awaryjną sytuację na własny użytek, podejrzewa jednak, że nie mógłby zrobić niczego dostatecznie poważnego - może z wyjątkiem samobójstwa - co oderwałoby ojca od jego zajęcia. Wychodzi z pokoju i wędruje do kolejnego, potem zaś do łazienki i niby to przewraca do góry nogami, nie mając jednak poważnego zamiaru niczego znaleźć. W końcu grzebie między poskładanymi ręcznikami i pościelą, ułożonymi schludnie w szafce, w której się wietrzą, zauważając, niestety za późno, bo nawet nie patrzył, że ma wstrętnie brudne ręce. Wraca do łazienki, by je umyć. Woda jest zimna, gdyż po powrocie ojciec zapomniał włączyć grzejnik.

Idzie znów do różowo-zielonego pokoju. Zauważa teraz, że to pokoik dla dziewczynki; kolory miały być jednocześnie jaskrawe i delikatne. Widzi też, że to rodzaj bałwochwalczej świątyni. Deska do prasowania, geranium w zimie są zbędnymi ozdobnikami w stosunku do przeznaczenia pokoju. Zastanawia się, w jaki sposób matka przypatruje się fotografii? Czy siada w wolnej chwili w ciągu dnia na łóżku? Czy nawet klęka na podłodze, otwierając Pismo, na którego stronicy kładzie zdjęcie? Jak często tu przychodzi? W dzień czy w nocy, może kiedy wszyscy śpią? Czy zdarzyło się jej kiedyś patrzeć na zdjęcie, kiedy w pobliżu był on lub ojciec? Jak często otwiera kopertę? Co roku? Co tydzień? Co dzień?

Podchodzi prędko do krzesła przy łóżku, znowu wyjmuje kopertę i wkłada ją do tylnej kieszonki szortów. Pasuje jak ulał. Zapina guzik i wychodzi z pokoju.

Na półpiętrze panuje teraz ciemność, rozjaśniona jedynie niewyraźną

drobiną odbitego mdłego światła, które pada z uchylonych drzwi pokojów. Schody tworzą jakby przestrzeń, w której wszystko zastygło w zawieszeniu: schodzi po nich szybko do saloniku. Na dole znajduje się sporo przedmiotów i mimo tego że wiadomo, czego można się spodziewać, widok jest bardziej przejmujący niż nawet w sypialni. Leżą tu powywracane do góry nogami fotele i kanapa, ze zdjętymi poduszkami i sterczącymi sprężynami. Półki we wnęce są puste. Lśniące czarne krążki płyt wyjęto z ich prostych białych okładek i ułożono w stosik, nie przejmując się zadrapaniami. Poniewierają się też rozmotane kłębki włóczki z przybornika do szycia. I wszędzie walają się guziki, rozsypane niczym konfetti lub opadłe płatki na trawniku. Mark przypomina sobie pierwszy dzień, w którym do nich przyszłam, mówiąc, że dywan jest jak trawa, i nawet teraz, gdy jego 245 własny dom ulega rozmontowaniu i rozpadowi, dostaje gęśniej skórki na samą myśl o mnie.

- I co? - pyta ojciec. Próbuje podwinąć dywan przy kominku. Do spoconego czoła przykleił mu się kurz. Jedna ręka krwawi. Nie odpowiadając na to pytanie, Mark wychodzi z pokoju, wraca przez przedpokój i drzwi wejściowe, w sam raz na czas, widzi bowiem, jak matka zdejmuje zasuwę z bramy. Biegnie w jej stronę.

- On zwija dywany! - mówi do niej. - Rozgrzebuje łóżka, wszędzie wszystko rozrzuca!

- Coś tam jest nie tak - informuje go matka, nie reagując na jego informacje - jej matka sprawia wrażenie, jakby o niczym nie wiedziała. W kuchni miała potworny bałagan. Próbowałam wyjaśnić...

- Barbaro! - krzyczy z ganku John Hern. Trzyma wazon, jeden z dwóch pokrytych bladą polewą, które przywieźli z Elojoki. - Barbaro, oszczędź nas i powiedz, gdzie to jest!

- Nie chcę, żebyś zniszczył - odkrzykuje ona.

- Nie wejdiesz do domu, zanim nie odnajdzie się wizerunek.

- Ja nie chcę wejść!

- Mark - woła on.

- Zostanę z nią, tato - odkrzykuje Mark, tak zatykając sobie mocno uszy, broniąc się przed jakąkolwiek odpowiedzią, że nie wie nawet, czy ją otrzymuje, czy też nie. - Wejźmy do przyczepy, mamó - odzywa się do Barbary.

W środku siadają na rozkładanych siedzeniach i patrzą, jak w domu zapalają się i gasną światła.

- On tego nie znajdzie, mamó - mówi Mark, szukając po omacku pudełka zapalek.

- Całkiem możliwe, że znajdzie - stwierdza ona - ale i tak myślę o tym biednym dziecku. „No to wróci łaś, co?”, powiedziała jej matka. „A pani, do cholery, to 246 kto?”, zwróciła się do mnie. Myślę, że piła. Na pewno nie dostała listów, które jej przesłałam. Ten mężczyzna, z którym mieszka, nie jest ojcem Natalie. W każdym razie nie było go tam. Powinnam coś zrobić, ale nie wiem co - patrzy z napięciem przez okno. Od domu niesie się dźwięk rozbijanych, upuszczanych i wyrzucanych przedmiotów, na pewno niszczonych.

- Twój ojciec nigdy nie przejdzie nad tym do porządku dziennego - mówi.
- Wiesz, że możesz pójść do domu, jeśli masz ochotę. Ja nie chcę stawać między wami. Szukam tylko mojej robótki.

- Nic mi się nie dzieje - mówi dalej, kiedy Mark znalazł jej druty z włóczką w szafce pod własnym łóżkiem - mogę być sama, nie przeszkadza mi to. - Wyciąga druty z kłęбка włóczki, nabiera energicznie parę oczek. Potem jej dłoń wpada w miarowy rytm, druty zaczynają stukać bezlitośnie i tylko przy końcu każdego z rzędów następuje drobne urozmaicenie, ale za krótkie, by się zatrzymać.

- Twój ojciec ma niezwykle silną wolę. - Wciąga powietrze z trudem. - Ale mógł zrobić wyjątek - pod oprawką okularów skapuje kilka łez, ześlizgując się po powierzchni policzków i kierując się do wewnątrz w stronę ust. Wystawia język i w dziwnie dziecinny sposób oblizuje górną wargę.

- Znalazłem twoją fotografię, znalazłem kopertę - mówi Mark. Ona

podnosi wzrok, by sprawdzić, czy dobrze usłyszała.

- Uważam, że nie powinien być tak na mnie krzyczeć - dodaje Barbara - w końcu postanowili ustąpić w sprawie paszportów.

- Jest w mojej kieszeni - powiadamia ją.

- Doprawdy? - pyta ona. - W której? Nie, nie mów mi. Wolę nie wiedzieć!
- jej głos podnosi się, przynosząc obojgu jakieś rozluźnienie. - No to mamy go z głowy na dłużej! - mówi. Odkłada robótkę.

- Może już kopie pod podłogą!

- A może dotrze do Australii!

Przyczepa przesuwa się, kiedy jego matka przechodzi do części kuchennej. - Możemy sobie zjeść kolację z puszki. Zobaczą, co tu jest. „F z P”? Fasolka z pomidorami? - woła, trzymając wysoko w dłoniach błyszczące konserwy bez etykiet, i kręci nadgarstkami - no i „F z M i C”? Fasolka z mięsem i chili? I są brzoskwinie. Chyba zostało jeszcze trochę kremu.

Mark ją uwielbia za tę wesołość w takim akurat momencie, mimo że nie jest do końca szczerą. Pomaga ponownie podłączyć butlę z gazem i stają obok siebie przy maleńkiej płycie, a w rondlu grzeje się fasolka w sosie pomidorowym, pod rusztem zaś przypiekają się plastry mięsa. Wie, że przyjdzie czas, że zobaczy fotografię ze spoczywającej w jego kieszeni koperty, która tak napręży materiał, że nie sposób o niej zapomnieć. Przyjdzie czas, że skończy się to wszystko, a oni zaczną żyć inaczej. Nakłada łyżką dymiącą fasolkę obok namięklej od ciepła wołowiny z konserwy.

- Zaciągnę zasłonki - mówi matka. - Zamknę drzwi na zasuwkę, na wszelki wypadek. - Siedzą na przeciwko sobie i jedzą łączywie.

- Natalie nie pisnęła matce o nas ani słowa, zupełnie nic - odzywa się po chwili - tak myślę. Czy uwierzysz?

- Co robi tato, jak dalej nie będzie mógł znaleźć? - pyta Mark.

- Nie wiem - odpowiada.

Sandra siedzi wyprostowana na kanapie, a ja, zakopana w najdalej

stojącym fotelu, kończę swoją grzanekę z dżemem.

- Powinnam była coś wiedzieć - mówi - poleciałam wczoraj jak ta głupia zgłosić, że zaginęłaś. Wiedziałam, że nie poszłaś sobie na dobre, ale Luke mi kazał. Teraz będę musiała im powiedzieć, że się pojawiłaś. Ale to może poczekać do rana. W sumie to sama mogłabyś, kurde, pójść i zameldować, że wróciłaś. Ale by się uśmiali - nie będą pytać, czy jesteś mężatką, czy nie.

- To miało trwać tydzień - odpowiadam - ale pokłócili się, więc przyjechaliśmy wcześniej. - Jestem ciągle bardzo głodna; jak studnia bez dna. Wracam do kuchni, przeszukuję kredens i znajduję otwartą paczkę herbatników imbirowych. „Przypuśćmy - rozmyślam, wysypując je na talerz - że osoba, którą chcemy zranić, wydaje się tego wcale nie wyczuwać, choć tak naprawdę może tylko udawać. Jak można się kiedykolwiek o tym dowiedzieć? Jak można kiedykolwiek wybaczyć, choć się najbardziej pragnie właśnie tego? Co teraz można jeszcze zrobić?”

- Mogłaś powiedzieć - mówi dalej Sandra, kiedy wracam do pokoju - przecież, na miłość boską, nie zatrzymywałabym cię. Czy to ona cię tak urządziła z włosami? Tak ciasno je uczesała, że chyba w ogóle odcięła krążenie. Chodź tu, rozwiążę je.

- Nie - protestuję, siadając znów w fotelu. Poluzowana sprężyna uwiera mnie od spodu. - Nie, dzięki, mnie się tak podoba. - Jestem cała wilgotna i przemarznięta; rozglądam się, czym by się tu przykryć.

- Nie, dzięki - powtarza Sandra, unosząc brwi i przez chwilę obserwuje mnie uważnie z pewnym zainteresowaniem - aha, zepsuł się telewizor, ale jest w naprawie i możesz go mieć w pokoju. W piątek mają przywieźć większy odbiornik do salonu na dole.

- Ja już nie oglądam telewizji. - Nawet mówiąc to, wiem, że tej pozycji nie da się utrzymać, przynajmniej nie tu, w miejscu, którego, mimo najgorętszych chęci i usilnych starań, nie udało mi się ani opuścić, ani też w żadnym stopniu zmienić. Dobrze się składa, że nadal nie wymieniono zużytych

żarówek w pokoju na froncie domu; jest tu tylko lampa, na którą zarzucono udrapowany szal, nie widać więc mojego znużenia, które, ogarniając mnie przez całą podróż drogą krajową i narastając w miarę zbliżania się do znajomego terenu, uwydatnia się nieco w oczach - och, mamó, chciałabym zawołać, unosząc na oślep ramiona, i niechby się już to skończyło.

- No to jak tam było? - pyta Sandra, odgarniając włosy z twarzy i zapalając kolejnego papierosa. - Co robiliście cały dzień?

- Gotowaliśmy, no i w ogóle - oznajmiam - graliśmy w krykieta. Poszliśmy na długi spacer wzdłuż plaży - przez moment zastanawiam się, czy jej nie opowiedzieć, co robiłam z Markiem, co mogłoby się okazać dla niej ciekawe, postanawiam, że jednak nie i w zamian kończę - śpiewaliśmy, modliliśmy się, różne takie rzeczy.

- Modliliśmy? - wtóruje Sandra. - Jezu Chryste! Tak mi się zdawało, że w tej kobiecie jest coś dziwnego. Modliliśmy! A o co? O większe kieszonkowe? To mi przypomina, że wzięłaś z mojej torebki dwadzieścia funciaków...

Łapię za nitkę zwisającą z kraciastej sukienki.

- Oddałam im na moje utrzymanie - tłumaczę.

- No cóż, możesz je odebrać - mówi Sandra - to następna rzecz, którą się zajmiesz rano. Możesz tam wpaść i poprosić o zwrot, a ja pójdę z tobą, żeby mieć pewność.

Kulę się w przepaścistej głębi fotela i nie odzywam się słowem.

- Gdzie oni mieszkają? - pyta, a gdy dalej nie ma odpowiedzi, bierze popielniczkę, której używa, jaskrawo żółtą z pubu, opróżnia ją na ławę, po czym pochyła się do przodu i ciska nią w moją stronę: nie trafia we mnie, mimo to wzdrygam się, kiedy popielniczka uderza w ścianę, i potem o podłogę. Dotąd nic podobnego się nie wydarzyło. To droga, którą nie chcę pójść. Wstaję, wychodzę z pokoju.

- Idź spać - słyszę, jak mówi, kiedy zamykam za sobą drzwi, co sprawia,

że bez względu na to, jak bardzo się czuję wyczerpana, wyjście po schodach staje się niemożliwe. Zamiast tego naciskam ukradkiem klamkę przy drzwiach wejściowych i zamykam je bezszelestnie za sobą. Nie mam wątpliwości, że ona dalej tam siedzi, piorunując ścianę wzrokiem, a ja robię to samo z klamką przy bramie. Puszczam się biegiem aż do alei.

Drzwi wejściowe do domu Hernów są otwarte, zupełnie jakby się mnie spodziewali, lecz jedynym oświetleniem jest lampa we frontowym pokoju, gdzie pośrodku morza guzików i płyt siedzi pan Hern z rękoma na kolanach i zamkniętymi oczyma, choć widać, że nie śpi. To nie moja sprawa; w każdym razie rano wszystko wróci do normy, kiedy wstaniemy i zjemy wspólnie śniadanie, tak jak to sobie wyobrażałam... Wychodzę po schodach i zmierzam do pokoju, który sobie upatrzyłam już podczas pierwszej wizyty w tym domu, pragnąc, by był mój. Przyciągam za sobą drzwi tak, że niemal się domykają, biorę pościel i koce ze sterty na krześle, ścielę łóżko i wdrapuję się na nie. Jest miękkie i chłodne. Nad łóżkiem dynda wyłącznik na sznureczku, więc pogrążam pokój w ciemności. Mam wrażenie, że zawisłam w czymś na granicy wody i powietrza, o temperaturze zbliżonej do mego ciała. Jest to czyste, doskonałe, absolutnie fizyczne szczęście, coś, co zapamiętam na zawsze, będę zmuszona. Parę kolejnych wdechów i zupełnie się rozpływam.

31

O ósmej słońce jeszcze świeci wysoko, przeblyskując przez drzewa tak jasno i mocno, że właściwie mogłoby to być południe. Musimy zasunąć żaluzje po obu stronach sali w domu kultury. Mam przemawiać z podwyższenia, na którym ustawiono krzesło, pulpit i mały stolik na moje papiery i wodę. Miejsca siedzące ciągną się w rzędach po dziesięć, ułożone w cztery bloki po trzy rzędy: nie umiem sobie wyobrazić, że się zapełnią - ale, jak za uważa Heikki, z uniwersytetu w Oulu przyjeżdża grupa studentów. A do tego historyk z Helsinek, co najmniej osiem osób z Departamentu Zabytków, plus,

najprawdopodobniej, ich współpracownicy. Co najmniej trzech duchownych i całe miasteczko. - Przyjdą wszyscy - mówi Heikki.

I stoimy blisko siebie, nie dotykając się; szalenie poprawnie, choć już niekoniecznie tylko po koleżeńsku, co da się wyczuć. Moja matka bez przerwy pyta mnie przez telefon:

- Czy coś się stało? - Oczywiście, nie przyjedzie, by mnie posłuchać. - Dokończ to wreszcie, Natty, i wracaj do domu!

A mój dziekan w ostatniej chwili odwołał przyjazd i nie mógł znaleźć zastępstwa, jestem więc tutaj zdana na własne siły... ostrzeżono mnie, że nawet jeśli nie są tak naprawdę wrogo nastawieni czy obojętni, to jako publiczność mogą tak wyglądać; jest to kwestia kulturowa i nie należy tego brać do siebie. No i oczywiście, choć nikt tego nie powiedział, będą sobie musieli poradzić ze swoją reakcją na mój wygląd, nie wspominając już o kłopotach z odbiorem samego wykładu.

A teraz zaczynają wchodzić; ze stolika na uboczu sali wybierają sobie wino, sok lub wodę, potem zajmują miejsca. Zwykli wieśniacy i goście, ci pierwsi przez nadmierne wystrojenie się, ci drudzy przeciwnie, przez niedostosowanie stroju do okazji, w połączeniu z moją nieumiejętnością w ocenianiu ludzi po wyglądzie zewnętrznym, wydają się dziwnie nie do rozróżnienia.

Heikki idzie w stronę drzwi, by powitać kolegów; ja wślizguję się na podwyższenie. Obserwuję, jak wypełniają się rzędy: wjeżdża pani Lohi na wózku pchanym przez młodą kobietę, zapewne wnuczkę, o której wspominała, kilku innych starszych ludzi z mieszkań w jej domu; życzliwa kobieta, która prowadzi ośrodek opieki dziennej i gawędzi ze mną przez ogrodzenie; Maria i Tuomas, para, która właśnie kupiła opuszczone zrujnowane gospodarstwo, by je wyremontować; Katrin z supermarketu z mężem i najstarszą córką. Christina i Pekka z małą grupką popleczników, dziwaczna mieszanina starszych ludzi i nastolatków, wchodzą, siadają z tyłu i sala, ku mojemu zaskoczeniu, jest już

wypełniona w ponad trzech czwartych.

- Kilka słów wprowadzenia - zaczyna Heikki. Zdaje mi się, że się rumienię, choć oczywiście tak nie jest. - Mają państwo okazję poznać doktor Natalie Baron z Uniwersytetu Durham w Anglii. Jest autorką licznych artykułów będących ciekawym ujęciem problemów z dziedziny historii religii - tak przemawia mężczyzna, do którego przylgnęłam całym ciałem, którego wszędzie pieściłam, pozwoliłam, by we mnie wszedł, krzyczałam, tuliłam go. Już trzy razy, ale zawsze robimy to w najczarniejszej ciemności, szczelnie przymykając żaluzje, zasłony i powieki.

- Sądzę, że jest to tak naprawdę pierwszy jej pobyt w Finlandii, który zawdzięcza hojnemu wsparciu wielu instytucji z obu krajów.

Mam tak lekką głowę, że mogłabym odpłynąć w niebyt.

- Czy pewnego dnia zrobimy to tak, by wszystko widzieć? - zapytał mnie dwa dni temu, głaszcząc po ciemku moją dłoń od środka...

- Czemu - wyszeptałam - czemu psuć coś, co jest tak dobre? - A za odpowiedź posłużył pocałunek, i to niejeden, i niechcący zasnęłam, przez co musiałam go poprosić rano, by wyszedł z własnej sypialni, gdy się ubierałam, a potem poszłam z nim do pracy, co każdy mógł zobaczyć...

Ktoś z tyłu za mną majstruje przy żaluzjach. Teraz Heikki uporał się z podziękowaniami dla sponsorów i tak dalej; powoli kończy, podkreślając, że w celu prowadzenia tu swych badań musiałam przywyknąć do fińskich obyczajów i, rzecz jasna, klimatu... Kiedy podchodzi, by zająć miejsce w przednim rzędzie, następuje grzecznościowy szmerek braw.

- Tematem badań, które tutaj prowadziłam, było życie Tuomasa Envalla, dziewiętnastowiecznego duchownego i założyciela sekty, która całkowicie przeciwstawiała się wszelkim przedstawieniom wizualnym. Mówiąc ściślej, jak większość z państwa już wie, chciałam odkryć, co sprawiło, że Tuomas Envall wymyślił tak szczególny rodzaj wiary, oparty przypuszczalnie na skrajnie ujętej i więcej niż dosłownej interpretacji drugiego przykazania, emanującej jednak

wyraźnie z innego źródła, z głębi jego psychiki czy pojmowania świata... Dlaczego to uczynił? Oto pytanie, które przywiodło mnie do Enojki, a dzisiaj, tego wieczoru, podzielę się z państwem moją na nie odpowiedzią.

W pierwszej kolejności należy powiedzieć, że enwallizm to sekta, która mimo przeciwności przetrwała do dziś, choć obecnie jest rozdrobniona na wiele zwalczających się odłamów, z których kilka mało przypomina pierwotną wersję. Pierwszy Kościół enwallistyczny jest najbardziej przywiązany do tradycji. W 1980 roku kupiono parę małych wysepek na północny wschód od Szkocji i większość członków tej grupy albo mieszka, albo zamierza zamieszkać na większej, nadającej się do zamieszkania wyspie albo na położonym w pobliżu „łądzie”, traktując Middle Skerry jako miejsce kultu. Panuje tam zwykle surowy klimat, a tryb życia, który można tam prowadzić, nie jest pozbawiony niewygód i ryzyka. Co zaskakuje, ten mało liberalny Kościół znajduje coraz więcej zwolenników. Ich letnie zgromadzenia przyciągają licznych wiernych, zwłaszcza młodych. W lipcu ten odległy archipelag ulega całkowitemu zatłoczeniu, jeśli chodzi o drogi i zakwaterowanie. Co odporniejsi goście nocują w przyczepach lub namiotach, a mieszkańcy przyległych wysp cieszą się znacznymi dochodami, które uzyskują ze świadczenia noclegów ze śniadaniem i wycieczek łodzią do portu na Midskerry.

Tak się złożyło, że Pierwsza Wspólnota Enwallistyczna zawdzięcza istnienie wyspy początkowemu zakupowi wysepek przez biznesmena Boba Harrisa. Gdyby nie przyływ pieniędzy od gości i turystów, wyznawcy nie zdołaliby się utrzymać ani też spłacić długu Harrisowi. Zgromadzenie letnie nic nie kosztuje, podobnie wstęp o każdej porze do dziwaczного, lecz wspaniałego kościoła w stylu modernistycznym, z asymetrycznym dachem, w którego ścianach wybito ogromne okrągłe okna; został on zaprojektowany i wzniesiony, z wyjątkiem specjalistycznej kamieniarki i elementów ołowianych, przez samą wspólnotę. Datki są mile widziane, a w innych porach roku za uczestnictwo w kursach lub rekolekcje pobiera się spore opłaty. Egzemplarz jednej z rozpraw

Envalla, zaledwie dwudziestostronicowej, składany ręcznie i wydrukowany za pomocą małej prasy na wyspie, kosztuje prawie dwadzieścia funtów.

Mimo to, z trudnych do wyjaśnienia przyczyn, na przykład: „bo czegoś poszukujemy” albo „jakoś mnie tu ciągnie”, na tę mato znaną i wietrzną wyspę, pozbawioną jakichkolwiek wizerunków plastycznych, ciągnie, nie zważając na długą podróż, nieustający strumień ludzi. I znowu można spytać: dlaczego? Odpowiedź jest raczej złożona; proszę więc, by państwo się nad nią zastanawiali w trakcie mojego wykładu...

Papiery szeleszczą mi w dłoni, gdy przesuwam pierwszy arkusz z lewej strony pulpitu na prawą. Zmuszam się do wzięcia paru głębokich wdechów.

- Wracając do Tuomasa: jedyną znaną jego podobiznę, namalowaną, kiedy miał czternaście lub piętnaście lat, można oglądać w Maakuntamuseo. Ukazuje go ona jako chudego, rozmarzonego chłopca o tęsknym wzroku, niezbyt muskularnego; patrząc na niego, nikt by nie zgadł, że zanim minie dziesięć lat, to właśnie on podburzy mieszkańców Elojoki, by składali na stosy swój najcenniejszy dobytek i podpalili go...

I oczywiście, wymawiając te słowa, myślę, nigdy nikt z was by nie zgadł, patrząc na moją podobiznę z 1969, jak będę wyglądać pod koniec owego roku. To jest najdziwniejsze: uświadamiam sobie, dosłownie w miarę mówienia, że doszłam do tego, w jakiś niejasny sposób i stąpając po niepewnym gruncie, że utożsamiam się z człowiekiem, którego zamierzałam oczernić.

- Naturalnie, biografia to nie dziedzina nauki - oznajmiam, rozmyślając o tym wszystkim. - Do jej tworzenia przyczynia się zarówno badanie naukowe, jak i wyobraźnia...

Opowiadam im o rozmowie Tuomasa z Runarem w gabinecie. Opowiadam o przyjeździe Tuomasa do Elojoki, gdzie był umierający pastor, który nie chciał się do tego przyznać; jak nie akceptowano tam Tuomasa, lecz odmówił wyjazdu. Opowiadam, jak odnalazł farby na dnie torby. Jak biskup go lekceważył. Jak przeznaczał na malowanie pewną część każdego dnia, a potem

już większość dnia i tak mijał czas, aż nadeszło lato, choć stary pastor, schorowany i blady, dalej nosił szaliki owinięte wokół szyi. To bardziej brzmiało jak pogawędka niż wykład naukowy, ale przecież przemawiam w sali domu kultury, a nie na uniwersytecie.

- Do tego czasu - kontynuuję - nastąpiła pełnia lata. Jak teraz. Powietrze przepełniały wszelkiego rodzaju dźwięki, śpiew ptaków, szept liści, brzęczenie komarów. Noc prawie nie istniała... - Przez dwa miesiące wszystko było brunatne, lecz teraz można było o tym zapomnieć, bo stało się zielone. Wąsy ogrodowych ogórków owijały się niemal niewidzialnie wokół tyczek i sznurków, które je podtrzymywały.

Tuomas zbił stół z bali i desek, a także sztalugi, by móc malować w plenerze. Prawie nic nie czytał, pracował tylko nieprzerwanie nad swymi obrazami. Teraz nadawał przedmiotom głębię, a przez to wydobywał ich znaczenie. Umiał dobierać kolory albo stwarzać ich złudzenie, ukazywać, jak pada światło. Umiał namalować obraz, na którym las był tak przedstawiony, że widz mógł przez pomyłkę niemal wejść do środka, lecz zaraz po tym, jak opanował tę umiejętność, gdzieś się podziela płynąca z tego satysfakcja. Uzmysłowił sobie, że pragnie oddać na obrazie przedmioty, które tylko on widzi, ulotne poczucie niezwyklej harmonii, która zniknęła, zanim zdążył zmieszać pierwsze farby, kolory, które istniały tylko wtedy, gdy rzeczy się poruszały, drgania światła, niewidzialną istotę ukrytą pod zewnętrznym blichtrzem... „Tak bardzo oddaliłem się od Niego - zapisał długi czas później w Wyznaniach - że gdyby wówczas, kiedy pochłaniały mnie te poszukiwania, do moich drzwi przyszedł pastor z prośbą o pomoc w dziele Bożym, rozgniewałbym się na niego, że odrywa mnie od mojego zajęcia...” Urosły mu włosy, oczy zaś rozszerzyły się od ciągłego patrzenia. Chociaż codziennie udawał się rano do pappili, czasem zapominał, by pójść tam w ciągu dnia, niekiedy zaś czuwał w nocy, malując lub wyobrażając sobie, co mógłby namalować...

Popijam odrobinę wody ze szklanki, ostrożnie odkładając ją na stolik, bez

najmniejszego śladu drżenia. Szybko się rozglądam: publiczność wydaje się uważać, słuchacze mają rozluźnione twarze i wnikliwy wzrok, choć spostrzegam, że jeden z podeszłych wiekiem towarzyszy Christiny zasnął.

Opowiadam im o portrecie: znaną historię, lecz zawsze brakowało w niej pewnych znaczących szczegółów, którymi ją uzupełniam:

- To musiało zdarzyć się w połowie sierpnia - mówię - noce powoli wracały. Wyobraźmy sobie Tuomasa, jak siadywał wieczorami na zewnątrz przy swym stoliku, odziany w kurtkę. Pewnego wieczoru, kiedy wraca do swego małego domku po parę rękawiczek bez palców, podnosi wzrok znad swej pracy i widzi Jaakko, chłopca, który czasem pomaga gospodyni Ulli w cięższych obowiązkach w pappili; stoi teraz na ścieżce, patrząc wprost na niego. Patrzy, nie gapi się i nie ma w tym wrogości. Kiedy Tuomas go zauważa, chłopiec nie przestaje się patrzeć.

- Niech państwo pamiętają - podkreślam - że Tuomas nie usłyszał dobrego słowa, odkąd tu przyje chał Jest późno, Jaakko”, odzywa się Tuomas, kiedy chłopiec podchodzi parę kroków bliżej i kładzie na stoliku małe zawiniątko, które niósł z ostrożnością. „Maluje pan obraz?” - pyta, przysuwając się po trochu.

Tuomas wskazuje gestem na opartą przed nim deskę, burzę zieleni, rozcieńczony, choć atramentowy, niebieski. Kilka wieczorów pod rząd próbuje uchwycić właściwości letniego światła o zmierzchu, to, jak kolory i proste zarysy drzew śpiewają wspólnie matowymi, choć jęklivymi głosami, owe długie chwile, podczas których krawędzie cieni się zacierają i całkiem się rozplywają. To zamierzenie jest niemożliwe: na wpół je kocha i na wpół nienawidzi, nie umie przestać, przerywa i w narastającym tempie odrzuca każdy czyniony wysiłek.

„Drzewa”, mówi Jaakko.

„Brawo!” Obydwie twarze rozjaśnia uśmiech. Teraz chłopiec stoi przy boku Tuomasa. Pachnie potem, dymem, mlekiem. Ma ciemne ubranie, jego

twarz, ręce i bosc stopy lśnią w półmroku czystością.

„To do niczego”, mówi Tuomas. Chłopiec wydaje się obojętny albo też powstrzymuje się od wyrażenia opinii.

„Umie pan narysować krowę?”, pyta.

Tuomas odchyła się na krześle, prostuje. Pięć miesięcy nie wypowiadał żadnych słów, które teraz kręcą się i uwalniają w jego wnętrzu, gotowe, by wypełznąć i buchnąć z jego ust, wszystkie naraz. Udaje mu się to opanować siłą woli. Wie, że samotność doprowadziła go na skraj obłądzenia; nie chce odstraszyć chłopca. Od marca urósł on tak, że przykrótkie nogawki spodni trzepoczą mu wokół łydek. Czy na jego zuchwie aby nie widać cienia zarostu? Trudno stwierdzić.

„Umie pan? Albo czapkę? - pyta Jaakko. - A sowę?”

„Hm, tak, umiem - oczy Tuomasa świecą się - nawet rybę”.

„A mnie? - dłoń Jaakko prędko chwyta ramię Tuomasa, jego twarz przecina niebywale szeroki uśmiech. - Niech mnie pan namaluje!”

„Już noc - mówi Tuomas - zmykaj teraz do domu, zmów pacierz i śpij, ile się da”. - Ale oczywiście Tuomas marzy, by zrobić coś takiego, namalować nie tylko ogrom Boskiego stworzenia, ale małą część Jego człowieczeństwa, tę część, która teraz do niego przemawia, stoi tak blisko i sprawia, że odczuwa ciepło, która nie odejdzie, dopóki będzie ją malował.

„Proszę...”

„Odwróciłem się z powrotem do deski - powiada Tuomas - to również znajduje się w opublikowanych Wyznaniach - i widząc, że obraz jest tak fatalny, że nic już go nie zepsuje, przyciemniłem niebo, umieściłem nad drzewami kleks księżycy, którego nie było, i dalej malowałem, korzystając z resztek światła, człowiek opętany pragnieniem uczynienia wizerunku postaci, opierającej się o pień drzewa...”

- To wszystko, co powiedział na temat malowania w Wyznaniach. Ale sądzę, że pociągnięcia pędzla stawały się niekiedy swobodne i szybkie, czasem

intymne, tęskne i nie tyle przemyślane, co malowane na wycucie, każde zaś odpowiadało szczególnemu spojrzeniu Jaakko, który stał tak nieruchomo, jak tylko potrafił, i był rozczarowany, kiedy się dowiedział, że obraz nie został jeszcze skończony, że musi przyjść innym razem.

- Co pani sugeruje? - zawołał ktoś z tylnego rzędu.

- Proszę - odzywam się na to - pozwolic mi mówić dalej.

- Pytania nastąpią po wykładzie - grzmi Heikki z rzędu naprzodzie.

- Zaraz następnego dnia rano - mówię dalej - stary pastor zastukał w końcu do drzwi Tuomasa i pokazał gestem, by poszedł z nim z powrotem do pappili. Weszli razem do gabinetu i pastor z ogromną, opuchniętą szyją obwiązaną szmatkami przesiąkniętymi wonią olejku z jałowca (zupełnie już stracił głos) wręczył Tuomasowi zwitek papierów - kazanie, które zamierzał wygłosić właśnie owego dnia.

Tuomas stał na krytej kwadratowej ambonie i drżały mu dłonie, pastor zaś siedział w pierwszym rzędzie, wpatrując się w niego, wykrzywając twarz, wyciągając ciało do przodu, jakby czystym wysiłkiem woli mógł sprecyzować, co miał na myśli, pisząc kazanie gęsto stawianymi literkami, upstrzonymi kleksami, które Tuomas usiłował odcyfrować - jakby mógł sprawić, żeby to, co słyszał we własnej głowie, wyszło z ust innej osoby. Mimo że było to szyderstwo i upokorzenie, Tuomas odkrywał znów w sobie jakąś zdolność - niemal pragnienie - by znieść coś nieprzyjemnego, aż się to skończy, czytał więc dalej, głoska po głosce, słowo po słowie, tak jak dziecko czyta elementarz, a pastor bił pięścią w siedzenie obok, co dawało słaby, głuchy stuk, i raz na jakiś czas poruszał bezdźwięcznie ustami, a wierni, spróbawwszy coś z tego zrozumieć, czmychnęli w pośpiechu.

Po nabożeństwie Tuomas poprowadził powoli pastora najkrótszą drogą do domu. Był upał. Niektóre brzozy dopiero co zaczęły żółknąć, a na drodze delikatne powiewy wiatru wzbijały drobny kurz. Czuł, jak kapłan coraz bardziej się pochyla w jego stronę, ciężąc mu, stało się więc jasne, że zanim dojdą do

domu, będzie musiał go dźwignąć, wnieść do środka przez jadalnię do jego pokoju i zawołać Ullę; tak też uczynił.

Nióśł starca bez trudu. Ten nieco doszedł do siebie, kiedy już leżał, i nawet mógł ssać mokrą szmatkę, którą mu podała Ulla. Dalej nie chciał lekarza. Pokazał, że Tuo 261 mas powinien z nim zostać i utkwiał oczy w siedzącym przy jego łóżku młodszym mężczyźnie, tak jak w kościele, choć teraz zadanie stało się o wiele trudniejsze.

„Chcecie milczeć? - zapytał Tuomas. - Czy mam coś mówić? Boicie się? Czy wasza dusza jest spokojna? Czy trapią was jakieś grzechy? Wiecie bowiem, że skrucha jest niczym rosa, co zjawia się nad ranem, a przebaczenie słońcem, które ją osusza. Modlitwa jest niczym powietrze, którym oddychamy; módlmy się” - i zaczął to robić niskim, łagodnym tonem, rozpoczynając od tego, co znane i właściwe w tej sytuacji, przechodząc potem do na wpół zapomnianych rzeczy i słów, co do których nie był pewien, czy ich nie wymyślił. Równie ważny jak słowa był, według niego, dotyk, to, by ująć ręce tego człowieka, który nie był już duchownym, w swe własne dłonie i wymawiając słowa, które podsuwały mu tradycja i intuicja, spoglądać w oczy, które wpatrywały się w jego oczy. Wiedział, że musi patrzeć aż do momentu, w którym tamten człowiek już go nie będzie widział, a kiedy starzec, którym wstrząsnął powolny dreszcz, pozwolił, by opuściły go resztki życia, Tuomas wiedział dokładnie, kiedy odszedł, ponieważ oczy, w które patrzył, nagle znieruchomiały jak woda, która ścina się w lód. Tuomas wstał i przeżegnał go. Poczuł, że coś zaistniało między nim a starym człowiekiem, i czuł, jak przenika go coś boskiego, „rodzaj rozgrzanego do białości żaru, który nie spala”, zostawiając za sobą niezmierne bolesne ukojenie. Nie można się było jednak dowiedzieć - nawet w trakcie tego wydarzenia, a tym bardziej potem - czego doznał starzec.

Nie zastał Ulli w kuchni, ale znalazł ją, ku swojemu zaskoczeniu, w saloniku; czekała tam z dłońmi spierzchniętymi i jakby za dużymi do jej postaci, spoczywającymi na kolanach spódnicy. Wrócili razem do pokoju i patrzyli przez

chwilę w milczeniu. Siwe włosy starca rozrzucone 262 były wokół głowy, opadła mu zuchwa i zapadły się policzki. Miał rozpięte guziki od koszuli, lecz jego szyja nadal była zabandażowana, zdeformowany pomost między ciałem a głową. Trudno było sobie teraz wyobrazić, że tak niedawno jeszcze żył.

A kiedy Tuomas miał zaproponować modlitwę, Ulla rzekła: „Proszę mnie z nim zostawić”.

I Tuomas zapytał ją cichym, lecz dźwięcznym głosem, zaczynał bowiem rozumieć, że była to historia jakiejś ziemskiej miłości, winy, zdrady: „Czy pani chciała być tu z nim przedtem?”

„Tak - odrzekła mu - gdyby pastor sobie tego życzył”.

Wychodząc do przedpokoju, Tuomas poczuł, jak Elojoki, dwieście dusz, dotąd dla niego nieprzeniknionych, zaczęło się otwierać i tajać, odsłaniając się jak ziemia po roztopach. Wyszedł na zewnątrz, znalazł kościelnego i jego syna, posłał tego chłopca, Jaakko, do biskupa z wiadomością, sugerując, żeby jego żona przysłała pomoc Ulli. Do tego czasu zaczęło już szarzeć, więc wrócił do swego domku.

Stolik znajdował się na zewnątrz, tam gdzie go zostawił poprzedniego wieczoru, usiadł więc przy nim na chwilę i spojrzał na to, co namalował. A tam, co prawda namalowany z grubsza, ale och, jakże wyraźnie, stał chłopiec, na którego dopiero co patrzył, oparty o drzewo, z przekrzywionymi biodrami i ściągniętymi do tyłu ramionami, odpowiadając na spojrzenie Tuomasa oczyma o takim wyrazie, jakiego nigdy wówczas nie przybierały: zuchwałym, zapraszającym. „Zobaczyłem, że była to rzecz straszliwa, pełna okropnych pragnień, których do tej pory nie odczuwałem, dopóki nie namalowałem jej i nie spojrzałem na swe dzieło, a nie były to rzeczy, których istnienie Bóg przewidywał w swych zamiarach, lecz raczej...”

- Tuomas powiada, że wziął pędzel, którym się posługiwał, złamał go, po czym wszedł do domku i klęczał godzinami w ciemności, wsparty łokciami o łóżko, jak to zwykle czynił, gdy był dzieckiem. Kiedy skończył się modlić,

zaczął od razu pisać dokument, który stał się jego pierwszym kazaniem, a potem swój esej Zamknijcie drzwi diabłu (1870). W nim właśnie ukuł wyrażenie, które podsumowuje istotę enwallizmu: „Obraz jest oknem, przez które może wślizgnąć się diabeł”.

W dalszej części tekst ten brzmi następująco:

Odtąd zacząłem prawdziwie dostrzegać, że „niebiosa, nawet niebiosa należą do Pana, lecz ziemię darował on rodowi ludzkiemu”: mówi się nam tutaj, że stworzenie tego, co istnieje i wszelkie związane z nim sprawy to dzieło Boże, naszym zadaniem zaś jest żyć na ziemi tak, jak potrafimy najlepiej. A zacząć należy, to jasne, od tego, by przyjąć Chwałę Stworzenia i nie próbować go zastępować zwodniczymi imitacjami, które sami uczynimy. O wizerunkach i bałwanach mówi psalmista: „Mają usta, ale nie mówią, mają oczy, ale nie widzą. Mają uszy, ale nie słyszą; i nie ma oddechu w ich ustach. Podobni są do nich ci, którzy je robią, i każdy, co w nich ufność pokłada...” [* Psalm 135 (134) wersety 16-18 wg Biblii Tysiąclecia (przyp. tłum.).]

Imitacje wnoszą w nasze umysły to, co już nie istnieje albo co nigdy nie zostało stworzone, wołą Boga zaś jest, by to nie istniało ani nie zostało uczynione, nie mieściło się bowiem w Jego zamiarach. Prowadzą one do kontemplowania nas samych i własnej mocy, co odsuwa nas od tego, co Boskie. Otwierają w nas przestrzeń, w którą wkraczają grzeszne myśli i czyny, okno diabła, które musimy szczelnie zamknąć...

- Tak więc - snuję opowieść - przy stole w swym domku, gdzie teraz ja się zatrzymałam, siedzi młody mężczyzna, należący do swej epoki i swego miejsca, który właśnie pierwszy raz w życiu udzielił ostatniej posługi, dryfując pośród morza drzew...

W tym momencie postanawiam się już zatrzymać, choć zostało mi jeszcze parę stron, rozwijających i uzasadniających moją teorię. Ostatecznie pokochałam Tuomasa Envalla i jednocześnie z nim skończyłam. Jeśli o mnie chodzi, można powiedzieć, że to już całkiem minęło, na dobre, jak mój romans z

Armstrongiem, Aldrinem i Collinsem lata temu.

- Dziękuję - mówię, schodząc z mównicy i patrząc na swą publiczność.

Większość z nich odpowiada mi spojrzeniem lub patrzy na strumień światła wlewający się przez żaluzje za moimi plecami. Być może naprawdę nie widzą mnie zbyt dobrze? Mija parę chwil. Nikt nie klaszcze. Siadam i pozwalam sobie na rzut oka w kierunku Heikkiego, który reaguje na to szerokim uśmiechem.

Unoszę w milczeniu szklankę wody, dopijam do dna. Znowu ją napełniam. Kiedy to robię, wstaje dwóch pastorów w przednim rzędzie i skinąwszy głową w moim kierunku, pospiesznie opuszcza salę; zostaje tylko jeden. Ogląda sobie paznokcie; naukowcy pochylają się do siebie i mruczą jakieś uwagi, których nie słyszę. Patrzą jednak cały czas na mnie. Kończę drugą szklankę wody, odstawiam ją na pulpit.

Heikki odchrząkuje i mówi:

- Czy są jakieś pytania? - nadal nikt się nie odzywa. Być może problem polega na tym, że ci, którzy nic nie wiedzą o roku 1969, pomyślą zapewne: Ale co stało się z tobą? Ci zaś, którzy wiedzą, będą chcieli się dowiedzieć: Jak to było?

32

Śpię i śpię w różowo-zielonym pokoju. Mark obudził się, nagle rześki, tuż po północy. Coś wisiało w powietrzu, trudna do wyczucia gryząca woń. Rozsunął kotary i choć okno wychodziło na ulicę, było oczywiste, że coś jest nie tak: nie było ciemno ani nie było jeszcze widno, mimo to dostrzegał, jak każdy liść na drzewach alei płonie złotą barwą. Niezdarnie wygramolił się przez Barbarę, by dotrzeć do okna z tyłu, po czym zbudził ją krzykiem:

- Pali się! Dom się pali!

Klamka od drzwi oparzyła mu dłoń. Ta strona przyczepy, która przylegała do domu, kruszyła się i gięła, rozgrzane powietrze drażniło, utrudniało

oddychanie. Huczał ogień, połykając wszystko na swej drodze, wciągając w swą otchłań to, co dobre. Widzieli przez otwarte drzwi wejściowe, jak zapalają się poręcze i słupki balustrady. Salonik tlił się od żaru, wypełniony płomieniami od ściany do ściany.

John Hern stał na trawniku.

- Czy dzwoniłeś po straż pożarną? - krzyknął do niego Mark. Jego ojciec jednak, którego gryzł w nozdrza zapach benzyny, nie odpowiedział, nie mogąc oderwać wzroku od pożaru.

- Mam nadzieję, że już przepadł - powiedział Bar barze.

- O czym ty mówisz? - spytała, jakby jej pamięć wyparowała pod wpływem żaru.

- Wizerunek! - wrzasnął na nią, jakby również zapomniał, że toczą ze sobą wojnę. - Po prostu nie mogłem go znaleźć!

Do czasu, kiedy wrócił Mark, który poszedł zadzwonić od sąsiadów, płomienie objęły ścianą ognia całe schody. Gdy obserwował dom, wybuchły sznurki od żaluzji w sypialni rodziców, tworząc rząd maleńkich światełek. Sąsiedzi zebrali się, przytykając chusteczki do nosów i ust, tuż za ogrodzeniem. Zawyły syreny i przykuwający uwagę wóz strażacki wypłuł ze swego wnętrza mężczyzn, którzy wyskoczyli biegiem.

- Ktoś jest wewnątrz? - zawołał dowódca. - Jakies zwierzęta? I tak macie szczęście!

Wlekli grube węże przez rabaty z kwiatami, ustawiając dwa z przodu domu. Woda trysnęła łukiem niczym pomarańczowy pióropusz, dodatkowo zagęszczając panującą wokół woń parą wodną i przyprawiając pękające i walące się ściany domu oraz huczący ogień o zajadły syk. Dwóch strażaków wdarło się przez boczną bramkę, do której klucz, rozgrzany do czerwoności, musiał się już gdzieś jarzyć w płonących szufladach kuchennych.

Wyobraźcie sobie - albo raczej nie, lepiej nie wyobrażajcie sobie, jak to musi być, gdy się ktoś ocknie, dławi się, myśli, „gdzie jestem?”, potem widzi

plomień przy końcu łóżka w tym ślicznym różowo-zielonym pokoju. Nie mogę się poruszyć. Wtedy zostaję przytłoczona do parapetu, nie zdając sobie sprawy, jak tam dotarłam. Odległe okno już jest otwarte, wpada przez nie prędko powiew - dobrze się nim oddycha, ale podsyca również żarłoczny płomień. Za mną nacierają płomień, z dołu naciska potworne gorąco, łapię się kurczowo pionowej ramy okiennej. Widzę, jak do ogrodu wbiega drużyna straży pożarnej i z jakiegoś powodu - czystej głupoty, ślepego losu, przeklętej ciekawości - obracam się, by spojrzeć po raz ostatni na to, skąd uciekam. A gdy to robię - jedyna rzecz w całym moim życiu, której żałuję - gdy się obracam, ogień ogarnia grzejnik olejowy. Następuje trzask wybuchu, wprost w moją twarz, wewnątrz mej głowy, i w momencie jestem oślepiona, strawiona ogniem, zmieciona ciosem, wprasowana w parapet. Potem, jakimś cudem, skaczę...

33

Pierwsze pytanie do mnie: kieruje je ten chudy mężczyzna, który mi przerwał całe wieki temu. Jest kimś, kogo raz czy dwa minęłam na ulicy; siedzi teraz przy końcu rzędu Christiny:

- Więc, twierdzi pani, że Tuomas Envall pożądał młodego chłopca?

- Tak - odpowiadam. - Tego właśnie chłopca, który, jak wszystko o czym wspominałam, istniał na prawdę i był prawdopodobnie jedynym. Z drugiej strony jednak nie sądzę, żeby Tuomas uczynił cokolwiek z tymi uczuciami, a na pewno wiemy, że ożenił się i założył rodzinę. Myślę za to, że Tuomas utworzył kolejny grzech, aby uniknąć choćby nazwania tego, co odczuwał owej nocy.

- Ale nigdzie tego nie twierdzi w sposób kategoriyczny...

- Wyznania napomykają tylko o „postaci”. Ale pośród różnych urywków, które odkryłam podczas swych badań, znajdują się uwagi, odnoszące się bez wątplenia do tego incydentu. Na przykład: Urywek nr 18, znaleziony na przedtyle egzemplarza Biblii, który Tuomas dostał od zboru w Helsinkach w 1898 roku: „Nawet teraz ów młodzieniec zjawia się przede mną taki, jak

wówczas, stojąc nie tak, jak stał naprawdę, lecz tak, jak mi się wydawało za sprawką diabła”.

- A gdzie jest ten urywek?

- Przekazałam wszystkie swe odkrycia na bezpieczne przechowanie Departamentowi Ochrony Zabytków. Rozumiem, że wejdą w skład specjalnych archiwów, kiedy zostanie zbudowane muzeum. - Przy tych słowach na sali rozlega się pomruk sprzeciwu zmieszanego z niedowierzaniem.

- Czyja to przeszłość? - pyta ktoś. Ale, ku mojemu zdziwieniu, Christina, która wydaje się bardzo opanowana i spokojna, ucisza swych zwolenników. Wstaje i mówi:

- Natalie Baron, niestety muszę przyznać, że ci wierzę.

Uśmiecha się i jednocześnie wybuch płaczem. Siedzący przy niej Pekka obejmuje ją i coś szepcze do ucha, ale ona zbywa go wzruszeniem ramion i siada, hamując łzy, ile się da; nie odrywa wzroku od mojej twarzy. Już nie patrzy tak, jakby chciała mnie spopielić swym spojrzeniem, lecz jakbym to ja mogła powiedzieć coś, co wyrwałoby ją z całego dotychczasowego życia, nadając mu całkowicie nowy bieg. Ale, oczywiście, tego nie potrafię zrobić. A zawsze chodziło mi tylko o to, by zostać wysłuchaną, nie o to, by mi wierzono. Potakuję więc prędko głową, mówiąc „Dziękuję”, wtedy patrzę w przestrzeń obok Christiny i dodaję z uśmiechem, kiwając głową w nieokreślonym kierunku:

- Muszę powiedzieć, że cudownie było mieć tak otwartą i uważną publiczność. I muszę wyrazić swe zdziwienie, że nikt dotąd nie poskładał tych wszystkich faktów w całość.

Przez cały ten czas rozmyślam: „Czy ktoś zapyta mnie jeszcze o coś innego, proszę?” i z opresji ratuje mnie Heikki.

- Czy słuszne byłoby stwierdzenie, że, jak się wydaje, odczuwa pani wiele zrozumienia i współczucia dla podmiotu swych badań, tego zbłąkanego na manowcach wielebnego Envalla?

- Och, bardzo go lubię - mówię - o wiele bardziej, niż się spodziewałam.
- Ale - ciągnie Heikki - zgodnie z pani teorią, zwiódł on straszliwie wielu

ludzi...

Jakaś kobieta w środkowym rzędzie przerywa mu:

- Mnie niepokoi bardziej fakt, że to człowiek, który żywił w stosunku do dzieci uczucia, których nie da się usprawiedliwić.

- Ściśle biorąc, w stosunku do jednego dziecka i to w szczególnych okolicznościach - mam zmęczony głos. W każdym razie studenci dołączyli do całej batalii.

- Obwołał się autorytetem moralnym...

- Ale skoro nie działał powodowany tymi emocjami...

- Prawda jest taka, że musimy brać pod uwagę kontekst historyczny...

- Lecz w rzeczy samej, taki rodzaj relatywizmu wynika z wyboru, a nie z dostępnych nam...

I już ich nie ma.

Zbieram swe notatki i wkładam je z powrotem do teczki z papieru makulaturowego, który kupiłam w Oulu, tam, gdzie Tuomas zaopatrywał się w farby. Schodzę z podwyższenia. Podchodzi do mnie jakiś młody mężczyzna w raczej wyświechtanej kurtce i drogich okularach, wyjaśniając, że jest z miejscowej gazety. Co, po pierwsze, wywołało moje zainteresowanie tą pomniejszą postacią historyczną? - pyta - i od tego pytania wybawia mnie pani Lohi:

- Doprawdy wspaniały wieczór - mówi, wyciągając do mnie lodowatą w dotyku dłoń, choć ma na sobie robione na drutach wełniane ubranie. - Cieszę się, że przyjechała pani do nas. - Pochyliła się i majstruje przy zapięciu torebki. - Łyżka, pamięta pani. Proszę.

Jest maleńka, niewiele większa od łyżeczki do herbaty, nie nadaje się do zupy. Dziecięca łyżka, z drewna jałowca lub brzozy, wygięta rączka tak wytarta, że aż stała się gładka. Łapię się na tym, że zbiera mi się dziwnie na płacz, kiedy

odprowadzam do drzwi panią Lohi i jej siostrzenicę, po czym wracam na salę z papierami w jednej ręce, a łyżką w drugiej.

Heikki podnosi do góry żaluzje. Otwiera parę szklanych drzwi, by wpuścić do środka zapach lata i po to, by ludzie mogli się rozejść wśród drzew. Naukowcy z Oulu, rozmawiając podniesionymi głosami, wymykają się en masse z napełnionymi szklaneczkami. Pozostali tłoczą się przy stole z bufetem, na którym pojawiły się talerze z serem i wędzoną rybą na chrupkim pieczywie. Sala ożywiła się, zapanował na niej ruch i miarowy gwar rozmów, niezupełnie związanych, o ile mogę się zorientować, z tematem prelekcji.

Powinam znaleźć Christinę, myślę, i odpowiednio z nią porozmawiać. Ale chyba już poszła i zanim zdążyłam pomyśleć, już wypilałam trzy lampki wina.

Czmychamy z Heikki przed całą resztą, idąc za plac zabaw aż na skraj prawdziwego lasu.

- A więc - mówi zniecka Heikki, ujmując w dłoń mój nadgarstek - więc co teraz będzie? Wiem wszystko o Tuomasie Envallu. A czy powiesz mi odrobinę więcej o sobie, o tym, kim jesteś? Czy też pomacham ci tylko na pożegnanie na lotnisku? Albo nawet i to nie? Może jesteś zadowolona z wyników i chcesz kontynuować swe prace?

- Trzymasz mnie za mocno - mówię, wykręcając rękę.

- Tak mi ciężko - odpowiada, puszczając mnie - tak ciężko nic nie wiedzieć. Cały czas snuję jakieś cholerne domysły. Co mam zrobić? Gdybyś mi zaufała - te raz jedną dłonią wygładza tkaninę na przodzie mojej koszuli, sięgając palcami między guziki i przyciągając mnie do siebie drugą dłonią - moglibyśmy się teraz kochać, tu, na powietrzu: poczuć się lepiej, świętować, jak tego wymaga okazja... - - Nie mogę!

- Wiem - mówi, nieruchomiejąc - to przez twoją twarz, twoją skórę. Twój wypadek. Ale czy nie możesz mi nawet powiedzieć, co to było? Nie wszystko, ale chociaż cokolwiek, żeby w ogóle zacząć? Na przykład, kiedy to się stało? Ile

miałaś lat?

Jest dziesiąta wieczór, dalej jasno jak w południe. Nie ma się gdzie ukryć.

- Miałam trzynaście lat - odzywam się. I nagle zdaję sobie sprawę, że jednym z powodów, dla których od tak dawna rozmyślam intensywnie o Historii Mojej Twarzy, jest pragnienie, by móc ją opowiedzieć komuś drugiemu, osobie, która musi ją poznać i która zrozumie jej znaczenie. Ale w chwili, kiedy to zrobię, wszystko się znów zmieni.

34

Mówię i piję, mówię i piję. Jest późno, niebo nasyciło się szafirową barwą, która o tej porze roku uchodzi za ciemność. Niezliczone gwiazdy. Siedzimy razem na trawie, a między nami stoi pusta butelka.

- Barbara pojechała ze mną karetką - opowiadam Heikkiemu. - Pierwszy szpital odesłał nas dalej. Musieliśmy udać się do Billericay, jakieś dwie godziny drogi. Wiem, że zaczęło padać, słyszałam krople uderzające o dach. Raz byłam przytomna, a raz nie, mimo to słyszałam jej spokojny głos, który bez przerwy powtarzał, że to nie potrwa długo, że wszystko będzie dobrze. A potem znaleźliśmy się w jakimś jaskrawo oświetlonym i gorącym miejscu, gdzie nikt wcale nie mówił o tym, że będzie dobrze. Ona sobie poszła i nigdy jej już potem nie widziałam, choć raz próbowała mnie odwiedzić. Żadnego dalszego kontaktu, powiedzieli pracownicy socjalni. Zacząć od nowa.

Heikki bierze mnie znów za rękę. Jest dobrym słuchaczem. Czuję żar jego dotyku, chociaż tyle wypiałam, że moje ciało jest poza zasięgiem.

- Nie pamiętam zbyt dobrze, co działo się przez dobrą chwilę. Tylko wrażenie, że środki usypiające zacieśniają się nad moją głową. Osuwam się gdzieś głęboko. Potem jakieś strzępy, urywki. - Skoro już zaczęłam, chcę opowiedzieć mu wszystko. Chcę skończyć, ale jestem jednocześnie bardzo zmęczona, a moje wargi wydają się zbyt niezgrabne, by wypowiedzieć słowa, których muszę użyć.

Jestem na oddziale oparzeniowym szpitala w Billericay: drzwi się bezszelestnie otwierają i zamykają, na innych salach przytłumione głosy jakichś ludzi, a zaraz obok szeleszczą ubrania, po podłodze ścierają się gumowe koła i podeszwy od butów; coś potężnego - niczym pompa, serce szpitala - huczy bez przerwy.

- Natalie, mam na imię Caroline - informuje mnie, kiedy mój oddech wychodzi z ciała i wchodzi w nie, wychodzi, wchodzi. - Mamy wielką nadzieję, że będziesz znów widzieć - mówi. - Możesz mi powiedzieć, czy czujesz w ręce ból? A w klatce piersiowej?... Przechodziłaś kiedyś jakąś operację?

Nie mogę, oczywiście, poruszać wargami. Daję znaki niewyraźnym chrząkaniem wydobywającym się z czeluści gardła. Odpływam i wracam, ale ona dalej tam jest, przemawiając łagodnym, niskim głosem. - Twoja mama - zdaje mi się, że właśnie tak to powiedziała - twoja mama wkrótce tu będzie. - I wtedy nie jestem pewna, w każdym razie nic na to nie mogę poradzić, i osuwam się z powrotem w nicość.

Jakiś czas później wydaje mi się, że słyszę Sandrę, jej ochrypy, niemal ostry głos:

- Natty, słyszysz mnie?

Ale dalej nie jestem pewna, w każdym razie dzieje się ze mną coś nowego, niedobrego, nie mogę nawet wydawać tych gardłowych dźwięków. Ale być może ona jest tu naprawdę i sama ta możliwość wystarcza, że chcę przebrnąć przez to wszystko, co mnie czeka i czego na wszelki wypadek wolę sobie nie wyobrażać. Nadzieja - nie śpiewający ptak albo tryskające źródło, jak ujęliby to poeci, ale mężczyzna z batem, którym pogania cię naprzód.

To, co mi podają, cokolwiek to jest, przestaje już na mnie działać i ból wpędza mnie w sam środek ciała. Unoszę się pod powłoką ciemności, podtrzymywana falami leków, na wpół w jednym świecie, a na wpół w innym. Mijają dni. Udaje mi się unieść powieki. A teraz jestem pewna: Sandra, rozmazana, w maseczce i kitlu, siedzi na krześle po mojej prawej stronie; głowa

opadła jej do tyłu, ręce zaś nadal spoczywają na kolanach. Śpi. Obserwuję, jak jej pierś unosi się i opada, unosi i opada, tak, jak czuję, dzieje się z moją. Tak długo, jak się da, nie zamykam oczu. Straciłam niemal jedną trzecią swej wagi, którą niedługo, tak mówią, odzyskam, i straciłam półtora palca prawej dłoni, które oczywiście nie odrosną. Ale mam z powrotem Sandrę. Spogląda na mnie, jak śpię; obserwuje mój każdy ruch. Śledzi wszystkie wzloty i upadki, które towarzyszą mojemu powracaniu do zdrowia, i czuje, że jej własne samopoczucie łączy się nierozzerwalnie z moim.

- Leżałam w Billericay prawie pół roku. Krzyczałam za każdym razem, gdy mnie przesuwali na łóżku, codziennie, całymi tygodniami. Ale najważniejsze, że przyjechała moja matka - mówię Heikkiemu. - Przychodziła co rano, zupełnie jak matki innych dzieci, lecz oczywiście była od nich o niebo lepsza: marnotrawna, skruszona, lecz obłądana na swych obcasach, w makijażu i biżuterii; zmieniła się nawet fryzura, bo matka ścięła włosy na pazia, żeby zaoszczędzić rano na czasie. Czasem zniknęła, by rozmawiać całą godzinę przez telefon na monety. Czasem za bardzo flirtowała z lekarzem. Na początek potrzebowała ciotki Sue i pracownicy socjalnej, żeby trzymały ją w ryzach. Lecz mimo to wiedziałam, że nigdy, przenigdy mnie nie opuści, nie przejmowałam się więc, ile mnie kosztowało, by się o tym przekonać. Ostatecznie dalej się tym nie przejmuję, nawet kiedy jest w najgorszej formie. Odzyskałam ją. Jest teraz częścią mnie.

- Teraz już wiesz! - mówię. To nie tylko alkohol, który mi uderzył do głowy, ale jakaś obezwładniająca nie obecność. - Lepiej się czujesz? - zaczynam się śmiać, nie mam dość siły, by dotrwać do końca.

- Wejdz teraz do środka - odzywa się on, pomagając mi wstać. Jedna stopa mi zdrętwiała. Cała drzę. - Musimy pójść do domu. - Najpierw jednak wspólnie pijemy zbyt długo parzoną kawę, która została w ekspresie, a kiedy odstawiamy już filiżanki, przytulamy się do siebie i ściskamy w pustej sali. Kiedy on układa kilka po zostawionych jeszcze krzeseł, jedno na drugim, i

zamyka na zasuwki zamki okna oraz drzwi,. ja wsuwam się do jego jeepa, zapinam pas i z wdzięcznością odchylam się na siedzeniu z wygodnie wyprofilowanym oparciem. Bóg jeden wie, myślę, co z tego wyniknie.

Wsiadając, Heikki dotyka mojego kolana, a potem silnik krztusi się i trzęsie mną, wrywając ze snu.

- Wszystko w porządku - mówi - śpij, jeśli masz ochotę. - Ruszamy, skręcamy na lewo, wjeżdżając w wieś, całkiem wyciemnioną z wyjątkiem minimarketu. Patrzę na Heikkiego, kiedy prowadzi: trzyma rozluźnione ręce na kierownicy, szare oczy przesuwają się, jak w podręczniku, z lusterka na szosę i z powrotem, i tylko raz na jakiś czas napotykają moje spojrzenie.

- Nie mogłabym tu mieszkać - odzywam się.

- Naprawdę? - mówi zaskoczony, z nutką drwiny. - Jesteś pewna?

Ale wracać też nie chcę.

Wkrótce wyjeżdżamy z samego Elojoki i mijamy leżące na obrzeżach gospodarstwa. Zastanawiam się, jak to wszystko przyjmie moja matka - czy pogodzi się z tym pomysłem, pozwoli mi odejść, jak jej o tym powiedzieć? Raptem Heikki naciska gwałtownie na pedał gazu. Pas 277 wpija mi się w klatkę piersiową, a siedzenie uderza mnie głucho w plecy. Zatrzymujemy się w niewielkiej odległości od gospodarstwa Christiny.

- Idiota! - wrzeszczy Heikki do stojącej na drodze postaci. To Pekka Saarinem, o upiornej twarzy, który gmera przy drzwiach jeepa, próbując je otworzyć.

- Chodzi o mamę! - wyjaśnia. - Zawołałem pogotowie. Kazali robić wszystko, żeby nie zasnęła, ale sobie nie radzę!

35

Pokój gościnny na jej farmie jest rześście oświetlony wszelkimi żarówkami i lampami. Christina leży na podłodze, nieprzytomna, przewrócona na bok. Ocieka wodą, którą Pekka ochlapał jej twarz bez rezultatu.

- Inni poszli się napić. Strąciła wazon i obudziła mnie. Od czasu, jak w to wpadła, nie potrafię jej z tego wydobyć. Ile im zajmie, żeby tu przyjechać? - W radiu terkocze jakiś szwedzki DJ; Heikki wyłącza go. - Proszę, zróbcie coś! - woła Pekka.

Podchodzę i przyklękam na podłodze obok Christiny. Dalej oddycha, bardzo płytko, ma schorowaną twarz bez wyrazu, z warg odpłynęła wszelka barwa. Obwisła jej żuchwa. Z kącika ust sączy się strużka śliny. Do policzka przylgnęła spocona kępka włosów; odgarniam ją, po czym mocno łapię Christinę za ramiona, wbijam palce i potrząsam nią, ile sił, choć wiem, że to nic nie da.

- Christina! - krzyczę - obudź się, do licha! Jak śmiesz wyprawiać takie rzeczy! - „I co z tego, że uprzytomniłaś sobie, jak bardzo się myliłaś, i co z tego, że zmarnowałaś tyle lat - rozmyślam. - A co z tymi, których zostawiasz! Co z twymi dziećmi!” Moje serce pracuje w piersi jak wymykający się spod kontroli silnik, przestaję się trząść i pchnięciem przewracam ją na plecy, policzkując tak mocno, jak umiem. Aż mnie boli dłoń. Na skutek siły uderzenia kilkakrotnie rzuca jej głowę na obie strony. Robię tak ponownie, i znowu, w jedną, 279 w drugą stronę, dobrych parę razy. Potem chwytam garść jej włosów i ciągnę.

- Nie, tego już za wiele! - krzyczy Heikki.

Tak naprawdę to wcale nie dosyć. Zwijam dłoń w pięść i walę ją w sam środek ciała, w najczulsze miejsce.

W szyi odzywa się pluskające echo tego ciosu. Nadal pogrążona we śnie, pryska śliną; z ust wypływa drobina rzadkiej cieczy. Ciężko dysząc, przestaję, by popatrzeć.

- Na bok! - mówi Pekka, odpychając mnie.

- Siadaj, Natalie! - zarządza Heikki. A gdy, zaledwie parę minut potem, przybywa karetka, nie pozwala mi z nimi pojechać: - Nie - mówi, jakby odgradzając mnie swoją osobą od mojej przeszłości. - Zastanów się. Zrobią jej płukanie żołądka. Pewnie dojdzie do siebie. To nie twoja sprawa, prawda?

Pojechaliśmy na południe do Savo, gdzie rosną o wiele wyższe drzewa, wyprężając się w niedoścignione, blado-niebieskie niebo. Zrobiliśmy sobie piknik: chleb z serem i ogórkiem, wypiliśmy piwo i teraz idziemy, raz osobno, raz trzymając się za ręce, wzdłuż ścieżki, która, w co wierzymy, czy też mamy nadzieję, doprowadzi nas do jednego z wielu jezior, nadal podobnych do szklą, lodowato zimnego, bez dna, w którym aż roi się od ryb i tajemnic: cel, dzięki któremu nasza podróż nabiera sensu, choć jest to rodzaj pretekstu. Heikki ma jasnobłękitny podkoszulek z krótkimi rękawami i spodnie od dresu; niesie torbę z prowiantem, obficie się pocąc. Połowa mojego ciała nie jest już zdolna wypocić z siebie ani kropelki, więc upał dokucza mi coraz bardziej. Pocieram ramiona od spodu zwilżoną szmatką i co godzina nakładam na twarz, szyję, lewe ramię i dłoń warstwę kremu z filtrem. Nawet w cieniu czuję, jak promienie ultrafioletowe chcą mnie poparzyć. Wiem jednak, jak się mam ochronić. Kupiłam jeszcze jedną parę okularów słonecznych, specjalnie projektowanych dla rowerzystów, szczelnie chroniących twarz. I choć słońce ostro przypieka, jest mnóstwo cienia. Wszystko jest nakrapiane. Nigdy dotąd nie oddychałam tak przeczystym powietrzem.

- Spodobają ci się tutejsze zimy - oznajmia Heikki - w grudniu będzie ci zupełnie brakować światła...

- Czuję zapach wody - mówi mi z uśmiechem - sędzę, że zaraz zobaczymy jezioro. - Schodzimy ze ścieżki i zaczynamy ostrożnie wybierać drogę między ostatnimi drzewami, odsuwając gałęzie, stąpając nie zgrabnie po zwalonych pniach. Wkrótce i ja czuję zapach wody i zaczynam myśleć: „Ależ daleko zaszłam! Znalazłam się w jakiejś innej historii. Lecz czy muszę tym samym nadal być przywiązana do łóżka w Billericay?” Rozmyślam o owym szczególnym, szarym i wietrznym poranku, kiedy, idąc za wskazówkami Caroline, założyłam swą najlepszą turkusową bluzkę. Caroline siedziała po

jednej stronie, a Sandra, którą teraz nazywałam mamą, po drugiej; na moich kościstych kolanach leżało odwrócone grzbietem do góry lustro w oprawie z różowego plastiku i z taką rączką. Zdawało mi się dziwnie obce mimo swej swojskości. Byłam w szpitalu już od czternastu tygodni, codziennie znosząc udrękę zmiany opatrunków. Przeszłam już sześć operacji twarzy, szyi i klatki piersiowej, a przede mną rozciągała się perspektywa nieskończonej ilości dalszych zabiegów.

A teraz nadszedł czas, żebym sama zobaczyła, co się stało z moją twarzą, a nie tylko wyłapywała jej ukradkowe odbicia w oczach i wyrazie twarzy innych ludzi. Ciężko mi było pojąć, w jaki sposób ta wiedza ma mi poprawić życie. Próbowaliśmy już trzeci raz.

Czuję przez materac, jak Sandra drży.

- Jeśli jeszcze nie jesteś gotowa, Natty, to nie - mówi.

- Tylko przez chwileczkę - zachęciła mnie łagodnie siedząca po drugiej stronie Caroline - jesteś dzielną dziewczynką - dodała bez żenady. - Policzę do dziesięciu...

Rozlewa się przed nami ogromny błękit jeziora, rozdzierając atramentową zielenią puszczy.

- No widzisz. A nie mówiłem - oznajmia Heikki, upuszczając torbę, która zostawiła ciemną plamę na jego niebieskiej koszulce.

- Więc proszę - mówię, wręczając mu swój półautomatyczny aparat fotograficzny. Następuje cisza, wystarczająco długa, by docenił charakter mojej prośby i jej prawdopodobne następstwa. Obserwuję, jak waży aparat w dłoni, sprawdza, czy jest w środku film, jaki rodzaj, gdzie jest migawka.

- Jasne - mówi, podnosząc rozjaśniony wzrok - a może tam, na tym kamieniu? - Wydaje się równie dobrym miejscem, jak każde inne. Wydrapuję się, rozpinam górne guziki koszuli, siadam po turecku, nieco hipisowsko, kładąc po jednej dłoni na każdym kolanie. Heikki składa się przy małym srebrnym aparaciku, a wtedy, w ostatniej chwili, przypominam sobie, by ściągnąć okulary.

Dlatego, że dzięki panu Arthurowi Boyesowi mam świetne, choć bezrzęse powieki, i dlatego, że pragnę, by Heikki sfotografował je łącznie ze wszystkim, co się składa na moją osobę: rozliczne rodzaje powierzchni i zgrubienia skóry, które są moją twarzą stworzoną na nowo, a zwłaszcza rzucający się w oczy nietypowo jednolity kawał miękkiej skóry, piegowatej, jak niegdyś całe me ciało, znajdujący się nad brodą, szczęką i szyją. Pochodzi z pleców i został mi przeszczepiony jako płat skórny, wciąż połączony ze swym źródłem między łopatkami; cały proces trwał kilka miesięcy. To zmniejszyło i poluźniło nieco blizny pod brodą, pozwalając mi przestać wpatrywać się w stopy. Pod gładkim obszarem skóry widać znacznie bardziej chropowatą skórę na szyi i klatce piersiowej, gęsto pobrużdżoną i zapadłą. Znacznie niżej, tam, gdzie ich miejsce, są moje sutki, kazałam im je odtworzyć, na wszelki wypadek... Była to moja ostatnia operacja, ponieważ po jej przejściu postanowiłam, że wolałabym na tym poprzestać. Od tego czasu nieco się przemieściły i nie leżą na jednej wysokości. Zdjęcie ukaze umiejętnie założone szwy wokół płaszczyzn policzków oraz zwiększającą nieład łąkę skóry nad prawym okiem, która nie goiła się ponad rok, a potem przez kolejny rok ściągała moją twarz na jedną stronę, tak że nie zachowała ona choćby najlżejszych pozorów symetrii; Heikki, jest tu wszystko: mój znakomicie spełniający swą rolę nos, choć wyglądający dość topornie; moje nie pasujące do siebie uszy; usta z wargami różowymi jak należy, może nie jak pączki róży ani jak użądłone przez pszczołę, ani nawet nie do końca poziome, lecz za to wrażliwe; moje oczy, różniące się kształtem od oryginału i między sobą, nadal jednak zielone; moje włosy, które dzięki lutowi szczęścia rosną tak bujnie i płomiennie jak zawsze. Oto moja skóra, moja twarz, niepodobna do tego, czym była lub czym miała się stać, mimo to moja:

- Gotowa? - pyta Heikki.

Obiektyw to drzwi. Słyszę świst zoomu, mrugam przy szczęku migawki i odkrywam, że przeszłam przez nie.

EPILOG

Nazywam się Natalie Seppa. Stworzyłam tę historię, a ona stworzyła mnie. Teraz mieszkam w nowym kraju, głosuję w wyborach, mówię, a nawet śnię w jego językach. Co rano oglądam w lustrze swoją twarz, ciekawa, jak do takiej skóry jak moja zabierze się czas; nadal jestem próżna, jeśli chodzi o kolor moich włosów.

Lecz chociaż coraz bardziej się oddalam od swej przeszłości, a w miarę jak rośnie dystans, łącząca mnie z nią nić robi się coraz cieńsza, choć nadal jest silna. I będzie istnieć zawsze.

Znam kilka faktów, które zdarzyły się później. Wiem, że John Hern został obciążony zarzutami, lecz gdy sprawa trafiła do sądu, udało mu się uniknąć wyroku. Niedługo potem przejechał go samochód, kiedy błąkał się w nocy po alejkach niedaleko gospodarstwa Thornów; dobrze mu tak, powiedziała mama, kiedy przeczytała o tym w prasie.

Wiem, że Mark wyszedł na ludzi, bo - co najdziwniejsze - kilka razy widziałam go w telewizji. Wyrósł na potężnego mężczyznę, z lekką nadwagą, która jednak nie razi, elokwentnego i zgrabnie się poruszającego. Jest twórcą dwóch seriali dokumentalnych na temat sztuki współczesnej, autorem kilku książek. Na okładce jednej z nich, poświęconej Jacksonowi Pollockowi, zamieszczono informację, że uczęszczał do Winchester Art School. Sądzę, że się do tej pory ożenił i tak dalej. Czy pamięta, jaka byłam wówczas? Czy pamięta pot, zapach toffi i pierwsze, rozszalałe uniesienie? Czy kiedykolwiek myślał z przerażeniem, co się działo ze mną przez te wszystkie lata, jaka mogę być teraz? Czy też zupełnie pogrzebał mnie w niepamięci? Nie wiem.

Wiem za to, że wycofano zarzuty pod adresem Barbary. Wiem oczywiście, że po sprzedaniu działki, na której stał dom, oraz tartaku, zadbała o to, by przekazać część pieniędzy na opiekę nade mną. Przypuszczam, że ona i Mark zatrzymali się u Adriana i Rosę, kiedy pożar zbierał swe żmudne, bolesne

źniwo. Mam nadzieję, że jakoś wszystko się ułożyło, nie mam jednak pojęcia jak. Oczywiście Barbara jest tą osobą, o której najczęściej rozmyślam. Ile może mieć wnuków? Czy nadal przechowuje fotografię dziecka, które utraciła?

Czy chciałaby mieć jedną z moich?

Heikki uważa, że powinnam dać sobie spokój. I oczywiście nie chcę denerwować matki.

Heikki uważa, że powinnam dać sobie spokój. I oczywiście nie chcę denerwować matki. Ale wiem, że Barbara żyje. Wiem, gdzie mieszka: King Street, numer 193, to Christina dowiedziała się o tym specjalnie dla mnie przez Jean McAllister. Tylko spojrzeć - mam już tyle fotografii do wyboru: na przykład tę, na której stoimy przed drewnianym domem, który sami wybudowaliśmy. Albo tę, którą zrobiła moja matka, kiedy spędzaliśmy rodzinne wakacje na Wyspach Alandzkich: Heikki i ja trzymamy się za ręce przed domkiem letniskowym, a Kirsi ocieka wodą, bo właśnie pływała. Chyba chciałaby to obejrzeć? Chcę, by wiedziała, że mimo wszystko miała rację: chciałabym pokazać jej, jak bardzo się cieszę, że otworzyła z zasuwę swą pomalowaną na niebiesko bramę i wpuściła mnie do środka.

Pragnę wyrazić swe podziękowania dla wielu osób, które pomagały mi, kiedy pisałam tę książkę. Niemożliwe byłoby wymienić je wszystkie, mam nadzieję jednak, że będą wiedziały, kogo mam na myśli.